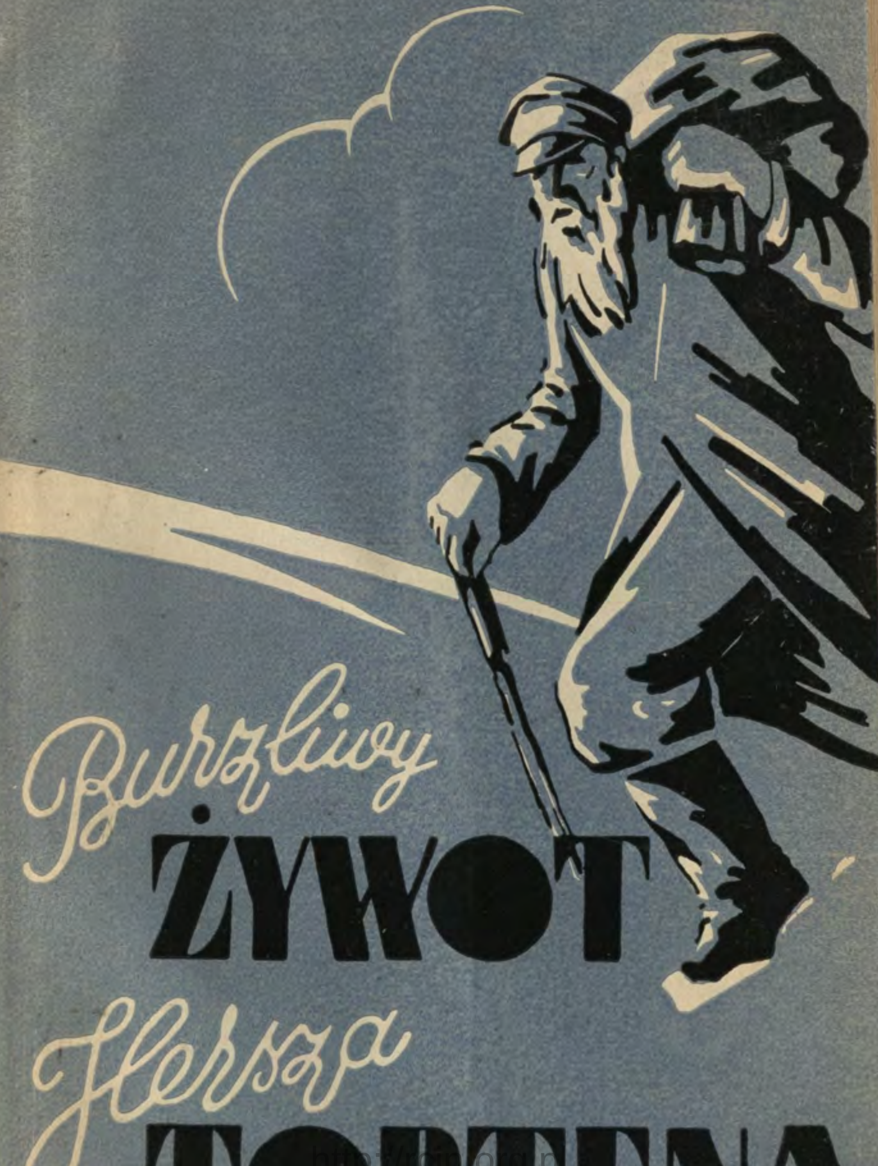
E. TENENBAUM



Burzliwy ŻYWOT Hersza TORTENA

E. TENENBAUM

BURZLIWY ŻYWOT HERSZA TORTENA

(TŁA...)

Powieść.

LWÓW 1936

WYDAWNICTWO „LEKTURA"

I.

Szereg polan wśród starych lasów najrozmaitszego typu i charakteru, jedne pnące się w górę zwolna bez zbytniego wysiłku, inne rade z sąsiedztwa małej rzeczki nachylone w jej kierunku cierpliwie słuchają ledwie dosłyszalnego szumu. To Zbaraska Buda, oddalona od Zbaraża o dwanaście kilometrów złej drogi. —

Tam się urodził Hersz Torten. —

Tylko w tym uroczym zakątku mógł się urodzić lekkomyślny Hersz. —

Czy może być coś bardziej dziwnego od lekkomyślnego Żyda? Można o plemieniu izraelskiem snuć najrozmaitsze teorje naukowe i nienaukowe, ale lekkomyślnego Żyda niewielu widziało. —

Hersz przez panów urzędników... zwany Heniem, był wyjątkiem. Był. Umarł, a śmierć jego rozłożona na raty mogła się wydarzyć tylko takiemu lekkoduchowi, wpisanemu do ksiąg izraelickiego urzędu metrykalnego w Zbarażu. —

Żyjemy w okresie, w którym się bada przyczyny każdego skutku. Nauka dumna ze swych zdobyczy zapewnia — ciekawa rzecz — wierzących, że na świecie nie dzieje się nic dziwnego, że wszystko jest wytłumaczalne. Dlaczego Hersz syn pobożnego

Szmula i wiecznie rozmarzonej żony Szmula (imię jej rozeszło się jak mgła w promieniach słonecznych, idących od rozmodlonego męża), tak żył, a nie inaczej i dlaczego umierał na raty, a przedewszystkiem dlaczego zaprzyjaźnił się z wachmistrzem rosyjskich ułanów, Mikołajem Antonowiczem Markowem? Nie zapytała o to żona. Kochała takiego jakim był, nie innego. Zresztą w pierwszym dniu wojny umarła. W tym samym dniu, w którym Hersz wpłacił wieczności pierwszą ratę ze swego bujnego życia. Ani dzieci nie dociekają przyczyny takiego żywota i takiej śmierci, nie zastanawiają się nad tem, ojciec nie zaskarbił sobie miłości swoich dzieci. Zgubił je po drodze swojego dziwnego życia. Nie lubiły go, nie znały go prawie, przeszkadzał im kiedy — bywało — po kilkutygodniowej nieobecności wracał do domu spać... Musiały zachowywać spokój, a matka wtedy oddalała się od nich, cała przejęta rolą kochanki, goszczącej swojego umiłowanego. Tak jest, Hersz Torten całe tygodnie przepędzał poza domem. Grał w karty. W klubach towarzyskich miast i miasteczek Podola, w pociągach, hotelach i restauracjach. Był karciarzem. —

Zresztą nie był „znaną figurą". nie włożył cesarskiej korony na głowę angielskiej królowej, ani nie wygłaszał plaidoyer z tryuny parlamentów. Nawet nie był Żydem piszącym, wiersze po polsku czy niemiecku czy w innym chrześciańskim języku. —

Był karczmarzem, na pograniczu austrjacko-rosyjskiem. —

Monarchję austrjacko-węgerską od cesarstwa rosyjskiego dzieliła zielona granica. Jeden odcinek

tej granicy i to właśnie ten, na którym żył i przez pewien czas działał Hersz Torten był naprawdę zielony.

Szpilkowy las stanął, zdawało się niewzruszenie w tem miejscu i przedzielił nietylko ziemię, ale przedewszystkiem ludzi.

— Sama natura wytyczyła granice — ironizował w swoim czasie prezes komisji limitacyjnej generał Iwanow na wspólnem śniadaniu, wydanem przez delegację austrjacką, na cześć delegacji rosyjskiej... Natura usłużnie użycza drewna, gliny i kamienia na kasarnie i graniczne słupy.

Jest granica... A po obu stronach słupów granicznych ludzie uzbrojeni, codziennie się spotykają. Nawzajem życzą sobie austrjackiego poważania i rosyjskiego zdrowia. Codziennie nawzajem zapewniają — jesteśmy obcy, szanujmy tę obcość. —

Żyto takie same i pszenica taka sama i kartofle, po obu stronach słupów granicznych.

A ludzie, wieczorami w maju siadają przed domami bez mundurów — zajadając młodą cebulę z chlebem z masłem i popijają zsiadłe mleko.

Po obu stronach granicznych słupów.

II.

Powszechnie znana lekkomyślność Hersza wzięła swój początek w niezrozumiałym dla najbliższego otoczenie — stosunku do przyrody.

Jeszcze stary, pobożny, Szmul podpatrzył swojego jedynego syna i dziedzica karczmy Zbaraskiej, Budzie, kiedy ten, sądząc, że jest niezauważonym,

leżał na trawie, całemi godzinami patrzył w niebo, albo, bez żadnego celu, przemierzał powolnymi krokami, okoliczne lasy i pola. To było w latach dziebyło w latach dzieciństwa. Kochał lasy i pola. Uciekał gód, ponosiło go gdzieś na szerokie przestrzenie. Uciekał z miasta, ze szkoły , z chajderu. Uciekał do swoich towarzyszy pastuszków z którymi uganiał się po polach i lasach... Ciągnęła go w lecie woda a w zimie ślizgawka i saneczki. A przedewszystkiem tęsknił za przyjaciółmi, chłopcami z wiejskiej osady Oni go nauczyli wielu prakiycznych i bardzo ważnych rzeczy, jak tropienie ptaszków i wyciąganie jaj z gniazd, łowienie ryb..., a sińce świadczyły o postępach nauki... Napróżno wysilał się stary Szmul, aby syna wykształcić na... karczmarza mogącego skutecznie oprzeć się — zwykle zwycięskim wobec karczmarzy — falom schłopienia, a przedewszystkiem zwątpienia w specjalną opiekę Najwyższego nad wybranym narodem...

Hersz w najwcześniejszych latach swojego życia, wiedział napewne, że tyle ile umie, wystarczy mu na całe życie, a umiał czytać i pisać w bardzo umiarkowanej formie po polsku i po żydowsku. Szkolnych mądrości posiadał mało i to mu wystarczyło, by się cieszyć tem, co nie jest pisane — wszystkiem, co jest niekorzystne, a wdzierające się w duszę człowieka siłą nieodporną.

— Jest lekkomyślnym — zawyrokował stary Szmul, — boję się, że twój syn nie przyniesie nam pociechy. Żona Szmula wiedziała o tem, że dobry syn jest błogosławieństwem ojca swojego, a zły, przekleństwem matki, która go zrodziła.

W czterdziestym roku życia wydała na świat syna radując niezmiernie ojca w pięćdziesiątem roku życia. Życia łatwego, spokojnego.

Już się nie spodziewali potomstwa i pomogła widać u Pana Boga interwencja staruszka, rabina cudotwórcy z Jeziernej do którego corocznie odbywał pielgrzymkę Szmul ciężko dotknięty, bezpłodnością swojej towarzyszki życia. Urodził się syn. Lekkomyślny syn.

Z rzadka rozsiane schludne, małe domki ukryte wśród drzew stanowiły osadę.

Trudno stwierdzić, czy karczma pierwej powstała czy osada.

Mogło się zdarzyć, że karczma, bo pierwszymi kolonizatorami tego pięknego, a jednak nieznanego zakątka ziemi byli strażnicy celni, kawalerowie. Na pustkowiu, potrzeba jakiegoś centrum zabawowego, dla nudzących się, pełnych życia młodych celników, mogła wyczarować karczmę, szumnie nazwaną kasynem, a zresztą kto wie? Może osada?

Paragrafy stojące rzędami, zadumane nad losem dokładnie wyszczególnionych przypadków kotrabandy, blado i nieprzekonywająco oddziaływują na ludzi z granicy.

Dla chłopów w dzień orzących i obsiewających działki rozparcelowanego gruntu, — którego poprzedni właściciel, wcielał w życie postulat Bismarka i w Monte Carlo przegrywał już trzecią wieś — dla Żydów rozsiadłych po całym pograniczu, dla Mikołaja Antonowicza Markowa i Hersza Tortena, a i dla niektórych celników — paragrafy były tak dalece

oddalone od ich życia, odsunięte w dal mityczną, że o nich nie myśleli.

Starosta z Zbaraża posyłał swoim znajomym, zamieszkałym w centralnych powiatach monarchji, ciemny, rosyjski kawior, jego stangret palił rosyjską machorkę, a okoliczni właściciele dóbr jeździli powozami, ciągnionemi przez rosyjskie konie. Natomiast sztabskapitan Fiodorow dowódca szwadronu ułanów jakiegoś skromnego pułku, rozlokowanego na pograniczu, pijał likiery Baczewskiego, a Mikołaj Antonowicz Markow dla córek, uczęszczających do gimnazjum w Proskurowie wysyłał od czasu do czasu, buciki fabrykowane w Pradze... Wymiana dóbr materjalnych, na granicy, nabiera cech sportu, dla niektórych zaś interesu.

Jeszcze stary Szmul tłumaczył nowicjuszowi strażnikowi granicznemu... — tak po prawdzie, co na tem traci nasz cesarz?... mało ma bogactw?... no, naprawdę, niech pan komisarz pomyśli, co u naszego cesarza znaczy tych kilkadziesiąt koron? Nic! a dla nas to wielki pieniądz... Mama rację?... — Zwykle miewał rację... I racja ta przeszła z ojca na syna, wraz z karczmą i dość gęsto zapisaną księgą wierzytelności należnych od okolicznych ziemian, chłopów i Żydów. Na lekkomyślnego Hersza.

III.

Może być, że to rozmiłowanie się w przyrodzie, było przyczyną, iż młoda czarnooka Horpyna Kuź urodziła córkę.

Hersz był winowajcą. Właściwie winną była ta studnia, stojąca samotnie w gęstwinie leśnej. Stara omszała studnia, — której powstania nie pamiętali najstarsi ludzie osady. O niej to podporucznik armji rosyjskiej, Iwan Fomicz Kułakow, z zamiłowania archeolog, powiedział (kiedy po przekroczeniu granicy natknął się na rodzaj gontyny okrywającej, ocembrowaną sutdnię) — że jest ona starym zabytkiem z czasów pogańskich.

O tem wszystkiem nie wiedzieli, ani Hersz, młody osiemnastoletni, rudawy, blondyn z niebieskiemi oczyma, ani smagła czarnooka Horpyna.

Miłość była nabytkiem jeszcze dawniejszych czasów, od samej studni, a studnia tylko miejscem spotkania.

Naprawdę niewiadomo, kto temu wszystkiemu by winien? Hersz? czy omszała studnia? Czy ten, zawsze ironicznie uśmiechający się na widok Hersza, młody z czarnym wąsikiem podkomisarz pogranicznej straży, Juljan Konieczny.

Nie była winną Horpyna. I dlatego stary Szmul kupił na parcelacji, trzy mogri karczunku i zapisał dziecku Horpyny, a jej samej, jeden morg podarował jako wiano z okazji jej ślubu z bardzo zadowolonym Iwanem Kostomachą.

W tym czasie ożeniono Hersza.

Juljan Konieczny został kawalerem i często grywał z Herszem w karty. Często przegrywał. Hersz nienawidził Koniecznego, swego niedawnego rywala, a nie mogąc człowieka władzy inaczej dosięgnąć, — z całą satysfakcją go ogrywał. Nienawidził go, ale naśladował w sposobie chodzenia, mówienia i ubie-

żania się. Znalazł w nim wzór do naśladowania i zrodziła się ambicja, aby dorównać Koniecznemu.

Juljan Konieczny nauczył Herszka pewnej nonszalancji, lekkości konwersacji i jakiejś towarzyskiej ogłady. On Herszka nauczył: cenić ubiór, dobierać niezwykłych wyrazów i krawatów i... gry w karty. Przyszłego swojego pogromcę nauczył „ferbla", „einundzwanzig". Nie lubił Hersza, ale szukał jego towarzystwa, wiedział, że jest dla niego autorytetem i chętnie zaspakajał tę wewnętrzną potrzebę, stanowienia autorytetu. Od czasu, kiedy go wyrzucono z siódmej glasy gimnazjum w Tarnopolu, upłynęło kilka lat, a w ciągu tego czasokresu nie stracił rezonu, wyróżniał się wśród kolegów, elegancją, wykształceniem, a nadewszystkiem nieprzekupnością. Dopiero Hersz, nauczywszy się od Koniecznego „ferbla" i „21", zdołał w krótkim czasie ogołocić, swojego mentora z pieniędzy, doprowadzić do przymknięcia obu oczu w czasie przeprowadzenia przez granicę dużego transportu nieoclonych jaj, a wreszcie za pośrednictwem anonimu, wytransportować Koniecznego w głąb kraju, do pilnowania trafik i gorzelń.

Hersz Torten zemścił się na Juljanie Koniecznym, ale sam poczuł słodycz zapomnienia w grze w karty...

IV.

Taki był początek karciarskiej namiętności Hersza Tortena i tak powstał rozbrat z przyrodą, Zbaraskiej Budy.

Karty przysłoniły niebo, zieleń pól i lasów, krasę dziewcząt z osady, dom, żonę i dzieci.

Zaczęło się wędrowanie.

Poczęła go nudzić monotonja Zbaraskiej Budy. Karty dawały mu urozmaicenie i rozkosz ryzyka.

— Gram aby wygrać. Nie jestem taki lekkomyślny, by grać dla zabicia czasu, tych tobym sadzał do więzienia... Gra w karty to interes, rozumiesz? — tłumaczył, nieśmiało oponującej żonie — tak samo, jak gra na giełdzie, interes, coprawda ryzykowny, spowodu bardzo szybkiego rozwiązania się zawartej transakcji. —

— Mamy karczmę, ojciec twój zaopatrzył nas dostatnio... Mamy dobre stosunki z rosyjską strażą... możemy robić dobre interesy, ot naprzykład Izak Schok z Zbaraża, chce przewieźć przez granicę partję galanterji... trzeba pomówić z rosyjskim wachmistrzem. —

— Nie opłaci się. —

— Tylko grać w karty — głośniej uczyniła wyrzut...

— Abyś wiedziała, umiem grać w karty... i tylko trochę szczęścia, a kupiłbym dobro, jak mój znajomy Kamm, słyszałaś o nim Mojsze Kamm?...

Hersz nie miał szczęścia w grze... Przegrywał.

V.

A do tego wszystkiego przyjaźń z Mikołajem Antonowiczem Markowem?!...

Przyjaźń bez materjalnych korzyści. To mogło się przydarzyć tylko Herszowi Tortenowi i z kim? z Mikołajem Antonowiczem Markowem?...

Niemiecki uczony z łysiną i rogowemi okularami, albo angielski uczony, naturalnie, lord w kratkowanych spodniach... wzięliby duszę Mikołaja Antonowicza, wypraliby ją z wódki i poddali szczegółowemu badaniu. I nie znaleźliby ani bakterji nihilizmu, ani wschodniego fatalizmu, charakterystycznego dla tego wielkiego tajemniczego kraju „Niczewo". Z małych, świńskich oczu wachmistrza, wyglądała prosta, nieskomplikowana, dusza małorosyjskiego chłopa, a ryży wąs, niewiadomo z jakiego powodu nastroszony à la Kaiser Wilhelm, wyróżniał Mikołaja Markowa spośród innych, małorosyjskich, na jedną miarę skrojonych żołnierzy, strzegących granic rosyjskiego imperjum.

Wachmistrz pił wódkę, nie dla protestu przeciw rzeczywistości. Był z niej rad i z wódki także. Pił wódkę, jak bawarczyk pije piwo.

Wódka rozwiązuje język i wydobywa z głębi duszy szczerość. Trzeźwy człowiek siebie nie zna, nie słyszy siebie samego, głośno mówiącego. A to wolno... a tego wolno, są niewidzialne, ale dotkliwie, po łbie bijące przeszkody. Więc się mówi to, co wolno. Człek tęskni za sobą samym i wódka go wydobywa na wierzch.

Poznali się w tym czasie, kiedy Tortenom już się bardzo źle wiodło...

Napróżno tłumaczył, na naradach familijnych z okazji częstych odwiedzin bogatych krewnych, bliskich i dalekich, że niezależnie od niego, nastały

ciężkie czasy. Przyjeżdżali ratować sytuację, więc mieli pełne prawo konstatować, że Hersz jest lekkomyśny, że grywa całemi tygodniami w karty, że zaniedbuje dom i interes, że zapomina o dorastających dzieciach... Nie mogli mu darować, pilnie utrzymywanej elegancji w ubiorze i zachowaniu się, Oni w chałatach, z Bogiem na ustach i interesem w sercu.

Doskonałe spostrzeżenia, objektywnych krewnych, uzupełnia obrona, żony Herszka. Zawsze zakochana w mężu, nie widzi w nim winy.

— W osadzie powstały dwa sklepy. Właśnie ten sam Iwan Kostomacha, mąż Horpyny założył sklep i... targuje. Ponadto spółdzielnia mleczarska... osada się rozrosła... i narodowe uświadomienie... Do Żyda niechcą chodzić, nawet strażnicy przestali odwiedzać karczmę, od kiedy jeden, zbyt natarczywy wobec najstarszej córki, dostał po gębie. — Bojkot... wolą chodzić do osady, oddalonej, o dwa kilometry... opłaca się... spacer dla zdrowia... i dziewczęta... Na dobitek zmędrzeli, kupcy... przemycający towar... obliczyli, że na innych punktach, droga lepsza... i sprawa się lepiej kalkuluje... omijają Zbaraską Budę i karczmę. —

Więc pusto w domu Tortenów. Córka wyszła zamąż. Dali posag i do reszty, ogołocili się z gotówki. Nadomiar, przepadły wierzytelności, pozostawione przez starego Szmula. Adwokaci i koszta sądowe, wyssały ostatnią gotówkę. Starszy syn służy przy marynarce, młodszy uczęszcza do gimnazjum, utrzymuje się z korepetycyj... Pusto, bo Hersz jeździ po jarmarkach i gra w karty, aby wygrać. I przegrywa... Albo jeśli jest w domu, wyspawszy się, śpieszy

do Mikołaja Antonowicza, aby z nim pogadać. Najprawdopodobniej, potrzeba stanowienia autorytetu, właściwa wszystkim ludziom, nakazywała Herszowi, przyjaźnienie się z Mikołajem Antonowiczem... W rozmowach z wachmistrzem rewidował siebie samego. Z przyjemnością wyłapywał siebie samego, na jakiejś, błyskawicą mądrości, olśniewającej myśli. No i wódka...

Wiele lat przeszło od tego czasu, kiedy to Juljan Konieczny nauczył Hersza gry w karty... Niebieskie oczy Hersza zblakły, a rudawa broda (à la król Edward angielski) posiwiała, a czarne oczy żony Herscha (imię jej rozeszło się jak mgła, w pasji rozgadanego męża) nie wiedzieć dlaczego wciskały się coraz bardziej, w głąb oczodołów, a uśmiechowi coraz częściej towarzyszył grymas, taki sam, jakiego aktorzy używają do wyrażenia bólu.

A Hersz na bryczuszce zaprzężonej w jednego konia, jeździł do miast i miasteczek i grywał w karty... Wśród długich, samotnie odbywanych podróży, obudziła się w nim potrzeba dociekania tego, co jest... Jeszcze w latach dzieciństwa, zdarzało się, często, że nie mógł się oprzeć dręczącym wątpliwościom. Wtedy zadawał ojcu kłopotliwe pytania, dlaczego tego pana komisarza traktuje tak uniżenie, a w jego nieobecności nie nazywa inaczej jak — ten łotr. Rodzice, nie tłumaczyli różnicy zachowania się wobec naczelnika straży, który ich nękał i prześladował... On to właśnie zakazał podwładnym uczęszczać do karczmy Tortenów, bo — „ten Żyd was wszystkich demoralizuje"... Z czasem dowie-

dział się Hersz, dlaczego jego rodzice wysyłali anonimowe donosy na naczelnika straży do jego władz...

Już się nie pytał o nic, po tem, kiedy rebe w Zbarażu wytłukł go do nieprzytomności, za głośno wypowiedzianą wątpliwość w sprawiedliwość Mojżesza, który wedle Cap. 17 pięcioksiągu, nakazał zabicie wszystkich dzieci płci męskiej, oraz zamężne niewiasty midiamickie.

Potem przyszły karty, wraz z problemami najrozmaitszych gier, a całkiem późno nastąpiło odrodzenie czystej ciekawości, Hersza nigdy nienasyconej aż do samej śmierci... Przyjaźń z Mikołajem Antonowiczem Markowem odrodziła potrzebę zdawania sobie sprawy z wszystkiego co się dzieje.

Od czasu do czasu, wspólnie przeszmuglują jakiś towar. Więcej dla sportu, aniżeli dla pieniędzy... W każdym razie interes nie psuje harmonji. Przyjaźń dwóch ludzi uzupełniających się... W Mikołaju zbiera się, w okresie wędrówki Hersza materjał do mówienia. O wszystkiem, o sobie i innych, o samym Herszku. Wszystko bardzo ciekawe, samo dla siebie, przez Hersza zostaje podniesione do godności problemu...

Markowa zaciekawiał niemniej, ani więcej tylko sam Bóg. — Jest, czy go niema? — pytał Hersza, bo wódka niosła z sobą wątpliwość...

— Ktoś to wszystko stworzył — odpowiedział Torten.

Głos stopiony w aljaż z alkoholem, pytał natrętnie — Jest? czy niema?... — Markow nie słyszał twierdzących odpowiedzi drzew i łąk i rzeczki, bo jak na złość, w tej chwili nie słyszał niczego innego,

tylko swojego głosu, pełnego niepokoju — czy jest, czy niema?... —

Z czasem przyszły inne zagadnienia........

Każdy szczegół zauważony przez Mikołaja urasta w mózgu Hersza w absolut...

Mieli ze sobą dużo do mówienia i mało wspólnych interesów.

Przyjaźń!

VI.

Pierwsza rozmowa Hersza z Mikołajem Antonowiczem w 1909 roku. Ferje sprowadziły dzieci Markowa pobierających naukę w gimnazjum w Proskurowie i dzieci Hersza Tortena.

Dwie córki Markowa, czwartoklasistki i syn Wołodja w siódmej klasie i Mundek Torten pięcioklasista — zaprzyjaźnili się....

Nie pomógł słup graniczny, ani rogatka, ani straż... Dzieci się poznały i wspólnie spędzały dużo czasu...

Straż graniczna nawet nie starała się przeszkadzać. Na świecie panował spokój, więc na granicy tem bardziej jest się uprzejmym, aby okazać — „że nasi ludzie są... dobrzy", że — „u nas to tak", — zresztą po obu stronach granicy mieszkają ludzie sobie obcy, więc interesujący, niecodzienni, nie nudni...

Ludzie obcy.

Straż graniczna nie -przeszkadzała, a słup graniczny i rogatka, to tylko symbole bez życia... Co-

dziennie te same, o tych samych barwach... Słup graniczny i rogatka znikły w codzienności zwykłej, jednostajnej. Hersz był w tym tygodniu w domu, odpoczywał. Przyniósł jakiś pieniądz. Pewnie wygrał. W doskonałem usposobieniu przeszedł przez granicę, aby poszukać syna.

Wszyscy go znają, więc się nie zwraca uwagi na brak przepustki, ktoby tam pytał Hersza o paszport.. Zna go sztabskapitan i jego podwładni, a Markow niedawno przeniesiony na granicę nie znał swojego przyszłego przyjaciela... Więc haltuje... ostro zwraca uwagę na przepisy... — Szukam mojego syna, gdzieś się zawieruszył — rozmowa idzie po rosyjsku... wyjaśnienia — co za syn? — wystarczają by się ojcowie poznali.

Hersz ujmujący, wesoły i pewny siebie, w młodych latach rozmyślnie naśladował cechy Juljana Koniecznego, aż z biegiem czasu przyjął się niemi na całe życie.... Juljan Konieczny zdążył się rozpić i popełnić samobójstwo. Już dawno ciało zmineralizowało się, a jednak coś z niego w dalszym ciągu żyło i to właśnie w Herszku... Nikt nie przypuszczał z tych wszystkich, którzy lubili Tortena — za jego niefrasobliwość i dobry humor — jak naprzykład sam starosta z Zabaraża — „naszego Zbaraża", — lub pan sędzia, czy inne znaczne i mniejsze figury regjonalne, że to wszystko, co jest w Heniu sympatyczne i pociągające, przeszło od Juljana Koniecznego. Od niego nauczył się wszystkiego, czego w szkole nie chciał się uczyć. Nawet zainteresowanie się prasą codzienną, przeszło od Juljana Koniecznego. Po mieście krążyły „powiedzonka" Tor-

tena, uradzone przy stoliku karcianym, albo podchwycone przez przygodnych świadków, pożycia małżeńskiego Tortenów. Zaznaczał wyraźnie swój stosunek do kwestji małżeńskiej, pan domu i ojciec rodziny, Pięknie wypowiadane uwagi, o zacieraniu się różnic płciowych u męża i żony, albo o rodzinie, jako nowej komórce społecznej, w której obie strony tę komórkę tworzące, zatracają swoje indywidualności, dawały wiele substratu dla dyskusji zbaraskiej, nudzącej się inteligencji...

Pani doktorowa Leńska, rzadko przychodziła do „klubu towarzyskiego", nie nęcił jej, ani labet, ani stale przesiadujący tam, zbaraski Don Juan, komisarz starostwa, Morsztyński... Zdarzyło się jednak, że przypadkiem tam się znalazła i natknęła się na Tortena. Czekał na partnerów, którzy w pośpiechu kończyli zajadanie wieczerzy, w myślach tworząc nowe systemy gry. Leńska nie wiedziała z kim rozpoczęła rozmowę. Torten wydawał jej się z wejrzenia bardziej inteligentnym, od innych obecnych. Podeszła do niego znudzona dowcipami, poborcy podatkowego, Chociaja i umizgami komisarza Morsztyńskiego. — Dziwne tu u was panują zwyczaje. —

— pani doktorowa przyjechała z dużego miasta więc się dziwi małomiasteczkowym... —

— jestem dość dobrze obznajomiona z życiem małych miast, specjalnie się do tego życia, przygotowałam, ale rażą mnie niektórzy ludzie... i głupie dowcipy —

— sprawa się przedstawia całkiem prosto... jest pani piękniejszą, od innych obecnych pań... —

Leńska popatrzyła ostrym wzrokiem na Tortena..., aby go onieśmielić. Zdawało się, że ten pięćdziesięcioletni — zresztą przystojny, mężczyzna — nie będzie, tak, jak inni, prawić niedorzeczne komplementy... — więc cóż z tego wynika?... —

— Obecność nowej, pięknej kobiety przyczynia się do żywszego krążenia krwi i, co najważniejsze, do intenzywniejszego myślenia..., mężczyzna zaczyna improwizować... coś ze siebie samego tworzyć... —

Określił dobitnemi słowami, własny stan duszy, a Leńska pilnie przysłuchiwała się wywodom Tortena, wydawały się jej ożywczą studnią na piaszczystej pustyni... Potem rozmawiali o małżeństwie... temat się jakoś nasunął niespodzianie.

— W małżeństwie obie strony są skazane na czynienie rzeczy korzystnych..., bo rodzina, to komórka konieczna dla istnienia naszego ustroju... wszystko w tej komórce jest obliczone dla jakiegoś celu... każdy krok opodatkowany, każda czynność celowa —

— nie widzę w tem wszystkiem przeszkody, dla wyżycia się indywidualności... —

— a ja widzę i czuję... Zdaje mi się że każdy ludzki poryw jest przedewszystkiem związany z różnicą płci, a tej niema w małżeństwie —

Leńska uśmiechnęła się, — tak sądzę, proszę pani, a małżonkowie różnicują się na odmienne płci, dopiero poza progiem domowym... —

Siedzą na kanapce, obok szafy bibljotecznej, zajęci rozmową, nie zauważyli konsternacji doktora Leńskiego... Poborca podatkowy w całej masie dow-

cipnych zdań, zmieścił uwagę o Heńciu, co królewnę chce uwolnić z zaczarowanego zamku...

Grający w wista, zrozumieli aluzję... Mogą mężczyźni, z Tortenem zagrać w karty, z nim, żartem, pewne kwestje sprzątnąć ze stołu aktualności, jak okruchy chleba, ale panie z towarzystwa zbaraskiego, nie powinny traktować Hersza Tortena, karczmarza z Budy Zbaraskiej jak równego...

Leński niedelikatnie szarpie żonę — chodź stąd...

Zdziwiona zachowaniem się męża, wstaje doktorowa Leńska... skinieniem głowy przeprasza Tortena i dość głośno zapewnia, że jest wdzięczną za miłe spędzony wieczór...

Leńska nie zdawała sobie sprawy z tego, że ostentacyjnem wyróżnieniem Tortena, podkreśliła równocześnie małość reszty otoczenia. Chciała tylko zatrzeć wrażenie niedelikaności męża, który „na stronie", dość głośno, wytykał żonie niestosowność towarzystwa Tortena...

Została po tym wieczorze, u Leńskiej naruszona równowaga ducha, uświadomieniem, podświadomych dotąd dążeń... Hersza wciągnął wir kart, a w mieście zadomowiła się anegdota o Tortenie który przez chwilę uchodził w oczach pięknej pani Leńskiej, za człowieka z towarzystwa...

Czasami mawiał pan starosta powiatu do fizyka doktora Leńskiego... no i co nowego — „moja nadziejo" — wszyscy w miasteczku, wiedzieli, że Hersz Torten do partnerów swoich nie inaczej mówił tylko — moja „nadziejo". —

Ludzie skupieni na małym obszarze zmuszeni codziennie widywać się, dawali sobie i brali od siebie wzajemnie wszystko co do wymiany jest możliwe, przedewszystkiem duszę...

Dlaczego Markow i Hersz przypadli sobie do gustu? to pozostanie na zawsze tajemnicą. Oni sami się nie kłopotali o to, aby tę okoliczność wyświetlić, bo i poco?... Pierwszy raz się Herszko upił, a Markow pierwszy raz zagrał sobie w karty... tak sobie bez pieniędzy, aby się nauczyć... Najwięcej jednak czasu poszło na rozpamiętywanie dawnych lat... dawnych czasów... i na polityczne roztrząsania...

Nieoceniona wódka, wydobyła z duszy Tortena wszystkie dawne uśpione wspomnienia, o których karty zakazały myśleć... Wreszcie na chwilę, zaprotestowała teraźniejszość i sytuacje z ostatnich seansów karcianych pomieszały się z zdarzeniami z młodości...

— On ma na stole, odkryte dwie karty... dwaj chłopcy... ja mam dwadzieścia dziewięć... patrzę na spód... dziewiątka... patrzę na dwie karty dalej... dama i dziewiątka... i nie dodałem... nie dodałem i wiecie Mikołaju Antonowiczu... on się ze mnie śmiał i pokazał cztery karty... a gra szła o czterdzieści sześć koron. czekajcie... trzydzieści na ślepo... widziana... tak 46 koron... — Markow niewiele zrozumiał, ale słuchał, bo nowy znajomy był sympatyczny... — sądzicie, że w polityce inaczej się dzieje? —

Sołdaci tańczyli przy dźwiękach bałałajki... była niedziela... niektórzy prali przy studni koszule... słońce zachodziło rozsyłając na pożegnanie lipcowego dnia ostatnie promienie...

Syn Herszka dawno pożegnał swoje towarzystwo... czytał pamiętnik jednej z córek Markowa... z trudnością dorozumiewał się znaczenia rosyjskich słów... a ojcowie zadowoleni sączyli jakiś trunek sporządzony przez panią wachmistrzową, która z dziećmi przyjechała na letnie ferje... Interesów się nie prowadzi więc o interesach się nie mówi... Na razie...

Tylko się filozofuje. Specjalnie przy wódce. W debatach odgrywa dużą rolę przysłówek — „gdyby" — i — „toby"... —

O polityce, o równości społecznej. Ot tak chłopskim i żydowskim rozumem.

W tym ostatnim sposobie marnowania czasu objawiła się do najwyższego stopnia doprowadzona, lekkomyślność Tortena...

Na naradzie familijnej już nie mogła, ciągle zakochana żona, przeciwstawić żadnych argumentów na obronę lekkomyślnego męża... wszystko zebrało się w jednej osobie... wszystkie „zalety", dziewka... karty... wódka... Na ostatniej naradzie familijnej omówili, kompetentni ludzie, cały dotychczasowy tryb życia Herszka i odjechali, zagniewani, bo przedmiot ich troski i uwagi, czmychnął na karty do Borek Wielkich.. Nic go nie mogło wstrzymać od ruszenia przed siebie, kiedy nań naszła taka chwila...

Musiał porzucić dom, nie mógł spać na łóżku. Raził go sprzęt domowy. Wszystko pożyteczne go raziło.

Żona już poznawała nadchodzącą słabość (tak tę potrzebę wędrowania, nazwała) i usprawiedliwiała...

VII.

Za kilka dni miał Serb Princip, zamordować austrajckiego zastępcę tronu, a Austrja musiała bronić swojego honoru. Za kilka dni miała wybuchnąć światowa wojna. I wszystko to się stało.

Princip w chwili strzelania do pary arcyksiążęcej, nie myślał o serbskich świniach i o ich węgierskich konkurentach swobodnie przez Tryjest dążących do angielskich żołądków, ani o Konstantynopolu, wymarzonym celu rosyjskich liberałów, ani o kolonjach niemieckich ani o flocie ani o wąsach cesarza Wilhelma.

Wojna.

Wojna światowa nie wybuchła. Przyszła w momencie najbardziej odpowiednim. Tak sądziły rządy państw prowadzących wojnę.

Wojna musi być.

O tem wiedzą ministrowie wojny. Generałowie. W tym kierunku istnieje doskonałe porozumienie — narodów... —

Z okazji najrozmaitszych zjazdów, w pałacach cudownej Riwiery, na polowaniach, w malowniczych okolicach Alp — padają wiekopomne słowa mężów pokój i wojnę noszących w zanadrzu. W tańcu, podczas wspinania się po niedostępnych wysokościach, podczas wiosłowania (nadzwyczajny dla zdrowia sport) z zanadrza gubią zapaleni sportowcy wojnę i pokój... Lekkomyślni starsi panowie.

Attachées wojskowi nietylko na balach i sportowych imprezach reprezentują swoje wielkie, wspa-

niałe ojczyzny. Dżentelmeni... wojskowi ludzie, rżną prawdę prosto z mostu.

Ćwiczmy się messieurs w rycerskim rzemiośle, poznajmy i nauczmy się nowych sposobów uśmiercania... (śmierć pozostanie ta sama... — duże pole dla artystycznej inwencji malarzy i poetów).

Kiedyś... kiedyś... gdy ojczyzna powoła nas, spełnimy obowiązek...

W tym czasie rosną starannie pielęgnowane hasła — „si vis pacem, para bellum" — „my się tylko boimy Boga" — i inne o tężyźne rasy, narodu...

Szło o honor narodowy, o dumę narodową, zjednoczenie narodowe. Wojna o wszystko co jest piękne i wzniosłe, walka przeciw wszystkiemu co jest niskie i podłe...

VIII.

Jeszcze na kilka tygodni przed wyjazdem Hersza do Tarnopola na jarmark św. Anny, — ostatni przed wojną — próbowali Hersz i Mikołaj rozwiązać niektóre kwesje gospodarcze...

Były one aktualne, wisiały w powietrzy — tak jak wojna.

Hersz wojowniczo usposobiony, wierzył w wojnę jako jedynie możliwe wyjście. — Te wszystkie małe państwa, jak Serbja, Bułgarja, Rumunja, Grecja... muszą przejść pod panowanie Austrji... Tu niema co litować się nad królami... Wziąć za łeb i trzymać... —

Mikołaj Antonowicz wiedział, że Matuszka Rosja wydarła ze szponów tureckich braci Słowian... Opiekuje się nimi i nie pozwoli krzywdzić.

„Oni się wszyscy wodzą za łby... jak małe dzieci... Im potrzeba starszej ręki.. ot taki nasz cesarz...

Markow odradza stanowczo wojnę. Niewiadomo co i jak? Wojna niepewne rzecz... Wysuwał najrozmaitsze argumenty, jako fachowiec. Był uczestnikiem wojny rosyjsko japońskiej „ktoby się był spodziewał takiego wyniku".

— Mikołaju Antonowiczu... tu niema dwóch zdań, musi być wielkie państwo ot tak jak wasza Rosja... Jeden ma cukier, drugi ma zboże, trzeci żelazo, a czwarty świnie i owce... a piąty naftę... więc spółka i bawią się na wspólny koszt... —

Nawet wódka nie pogodziła poglądów dwóch polityków. Hersz chciał wojny, a Mikołaj jej sobie nie życzył...

IX.

Gazety przyniosły wiadomość o tragicznej śmierci austrjackiego następcy tronu i jego małżonki. Sensacja i wypełnione szpalty prasy codziennej i perjodycznej.

Dokładny przebieg mordu, wspomnienia z życia dwojga ludzi. Romantyczna anegdota... Ton prasy spokojny. Naczelni redaktorzy wielkiego koncernu prasowego, konferują w tajemnicy przed personelem, z kandydatami na reporterów wojennych.

Na granicach cisza. W miasteczkach i wsiach położonych na granicach po obu stronach słupów granicznych, życie sunie się spokojnym trybem...

Domy i chaty stoją całe. Żniwa na ukończeniu, kartofle i buraki tkwią w ziemi, pewne, że ich nikt

stąd nie ruszy. Ludzie wstają o świcie. Zapalają ognie w piecach kuchennych, a dymy poprzez mgłę poranną przedzierają się prostym sznurem, aby się po chwili zmęczyć i rozpaść na drobniutki pyłek i upaść bezsilnie na rzeczach i ludziach.

Ludzie stają, patrzą na swój dobytek, na dzieci. Dokładnie obliczają stan bydła, wiedzą ile ma być kur. Macają kury, wiedzą ile ma być jaj...

Za kradzież królika aresztowano Marka Kużia, brata Horpyny. Żandarm skutego wiódł do aresztu sądu powiatowego w Zbarażu.

Sklepikarze obliczają wczorajszy utarg i.. myślą o jutrze...

O jutrze myśli Herr Johann Müller z Waldenburg, Mister Johnson... Jaques Froschard.

Mikołaj Antonowicz Markow i Hersz Torten.

X.

Tak Hersz wie co będzie.

Zmieni tryb życia.

Właśnie miał w kartach 31 na ręku... a kupiec zbożowy Holz miał także 31... namyślał się czy ma oddać 10 koron widziane... Podejrzewał Tortena, że ma dużo, ale jak się ma 31 musi się dodać... Rzucił 10 koron... składają karty, Hersz był „forhand" zgarnął kupkę pieniędzy, Holz machinalnie rzucił okiem na 31 w coeur, w chwili kiedy pod oknem kawiarni głos chłopaka, sprzedającego gazety, zwiastował „nadzwyczajne wydanie"!!! Ultimatum dla Serbji.

Śmierć Arcyksięcia musi być pomszczona!!! Do pokoju dostał się świstek gazety...

Opodal siedzący przy innym stoliku, Salomon Mandelbaum z Sokołowa, dziwi się, że Hersz Torten tak nagle przerywa grę w karty... Spotyka go corocznie w Tarnopolu na jarmarku św. Anny... zawsze w tej samej kawiarni grającego w karty... Mandelbaum czyta nadzwyczajny dodatek „Wieku:' pożyczony od Tortena, (sam nie kupi, bo szkoda pieniędzy) i żałuje w duchu, że dał hrabiemu Pochwalskiemu zaliczkę na nowe zboże.

— Wojna wisi w powietrzu... jestem zrujnowany... mój nowy dom... żona i dzieci... — Mówi się tak zwykle, bez zdawania sobie sprawy, że właściwie żałuje się siebie samego... Stracił cały majątek na dzierżawie jednego z folwarków hrabiego i nową transakcją próbował odbić stratę, a tu wojna niszczy wszelką nadzieję...

Słychać z ulicy donośne wykrzykiwania chłopców sprzedających gazety i jakby jakiś nowy poszum szedł z dalekich ulic i placów... z nowem nieznanem dotąd uczuciem. A Salomonowi Mandelbaumowi, dzierżawcy folwarku, kupcowi zbożowemu i właścicielowi małego banczku w Sokołowie, przyszło na myśl postarać się o dostawę dla wojska...

XI.

W tej samej chwili, ktoś podpisywał rozporządzenia o moratorjum... o zaopatrzeniu wdów i sierót...

po poległych żołnierzach... o ochronie lokatorów... A znany hofrat na ucho szepnął przyjacielowi geheimratowi... że to właściwie... socjalizm. Gdzieś kogoś nazwano komendantem... i w parę dziesiątek ludzi postanowiono zaważyć na szali historycznych wydarzeń...

W tej chwili Chaim Epstein żołnierz 15 p. p. jechał z towarzyszami na rosyjską granicę. —

Jenerał Schilling umieścił szpileczkę zakończoną papierową chorągiewką na jakimś punkcie mapy... co oznaczało, że 15 p. p. piechoty w ciągu dwóch godzin miał się znaleźć w Brodach... Chaim Epstein, Hryń Korduba, Iwan Kuź i wielu innych, byli żołnierzami 15 pp.

Hrabia Pochwalski w Hnizdyczowie czytał właśnie ciekawy rozdział książki prof. Mengera o nowem państwie, ale w ujmowaniu katedrowego socjalizmu przeszkadzała w tej chwili natrętna myśl o zrujnowanym dzierżawcy... Gdyby sam nie miał olbrzymich długów oddałby mu bez namysłu kaucję... ale długi cisną...

Adwokat Henrykowski pieści młodą żonę... Od dwóch dni, są małżeństwem. ...Oboje nie mogą o niczem myśleć, opanowani miłosnem upojeniem...

Córka pocztmistrza, panna Mania skończyła właśnie obiad... smakowały doskonałe flaczki... Pogodna, nuci walca z „Księżniczki dolarów"... W mieście bawi na ferjach Stanisław Pająk. Zdał maturę i jego pociesza Mania w rozterce duchowej. Ksiądz katecheta doradzał studjum teologiczne, a Mania sugeruje medycynę...

Chłopak od fryzjera Samuel Ptaszek, słomianą szczoteczką strzepuje włosy z ubrania starego dyrektora szkoły i przysłuchuje się rozmowie szefa z dyrektorem. Monotonny szczęk nożyc, razi szesnastoletniego Ptaszka i wszystko co się wiąże z zakładem fryzjerskim. Nie zdał wstępnego egzaminu do gimnazjum i równie uboga, jak ambitna matka, musiała prosić właściciela zakładu fryzjerskiego o przyjęcie syna na praktykę...

Samuel Ptaszek, marzył o adwokaturze... Nie będzie tu sterczał w fryzjerni... ucieknie... Słyszał o legjonach... Dostanie się do nich... opowiadał mu o strzelcach syn poborcy podatkowego...

W tym samym momencie Mikołaj Antonowicz przeczytał w nadzwyczajnym dodatku „Kijowskiej Myśli" o austrjackiem ultimatum i zauważył „po co się tam pchał... ot bieda".

XII.

— Było widocznie takie jego przeznaczenie — miarkował Herzsz, a kupiec zbożowy Holz wstał od stolika. Ogarnął go strach przed czemś nieznanem... odchodząc rzucił słowa — jego przeznaczeniem było być cesarzem, a nie zamordowanym arcyksięciem... — widzi pan, że go zamordowano... — przekomarzał się już sam ze sobą Torten...

Przypomniały się rozmowy z Mikołajem Markowem...

Karciarze wierzą w przeznaczenie, bo tylko los sprawił, że w ostatnich czasach kilkakrotnie wygrał pokaźne sumy. Jego szczęście i pech partnerów...

W mieście nastrój niepewności. Z okazji jarmarku św. Anny, zgromadzeni kupcy najdalszych zakątków Austrji, nie mogą się oprzeć zdenerwowaniu.

Mówią głośno o interesach, aby zagłuszyć rodzący się niepokój. A jednak nie zawiera się nowych transakcyj...

Wieczorem kawiarnie i kabarety przepełnione, a przecież ani muzyka, ani piękne kobiety nie usunęły atmosfery beznadziejności...

Cokolwiek się w tym dniu robiło, było automatyczne. Prawem bezwładności poruszało się życie, pchnięte w ruch jeszcze wtedy, kiedy arcyksiążę żył. Tylko oficerowie się stali nagle bardziej widoczni...

Jutrzejsze gazety miały uspokoić opinję publiczną.

W dniu pojawienia się wiadomości o nieuchronnej wojnie... zapanował na jarmarku św. Anny w Tarnopolu nastrój beznadziejności i zdenerwowania.

Odczuł go w pierwszym rzędzie Hersz Torten... Pędziło go do spokojnej Zbaraskiej Budy... Nie, zmęczenie, tylko tęsknota za spokojem...

Nie popędzał konia. Jechał zbaraską szosą. Myśl pracowała... śpieszyła długą linją bitej drogi.

Cisza nocna i chłód, osiadłe na drzewach, rzędem drzemiących po upalnym dniu, wciskały się zwolna w duszę Hersza.

Wygrał dzisiaj, a jednak smutek rdzą opadł na jego duszy.

Ogarnęło go zmęczenie i znudzenie tem wszystkiem, co go do dnia dzisiejszego zajmowało. Nie był chory, tylko inny.

Udzielił mu się nastrój, panujący w Tarnopolu. Nie rozmawiał z nikim o polityce dnia dzisiejszego, od tego jest Mikołaj Tntonowicz Markow...

Do niego jedzie...

W kawiarni nie traci czasu na rozmowy. Od szeregu lat podczas jarmarków św. Anny gra w karty i tego roku tak samo.

I tego roku, nie mówiąc nikomu, wsiadł do bryczuszki zaprzężonej w jednego konia, uciekł przed — głupim nastrojem — Tarnopola.

Uciekał. Półkole świateł elektrycznych swojemi promieniami doganiało go daleko poza miastem... i dziwnie tej nocy smutny gwizd toczących się pociągów.

Do dnia dzisiejszego nie wiedział, że jest człowiekiem lekkomyślnym.

Nie wierzył, że materjalne niepowodzenia pochodzą, jak twierdzą krewni i znajomi w głównej mierze z jego własnej winy.

Oburzony odpierał insynuacje... Przecież podczas jego nieobecności, zastępuje go żona... On nie ma pola do pracy na Zbaraskiej Budzie... Sklep Kostomachy... kooperatywa założona przez Iwana Kypibidę...

— Czy on winien, że urwały się wszystkie graniczne interesy?

On nie może siedzieć bezczynnie na jednem i temsamem miejscu. Musi się wyżyć jak umie.

A właśnie tej nocy kiedy wracał do domu, żal mu się zrobiło tego swojego dotychczasowego trybu życia.

Zasłyszane kiedyś dawno zdania krewnych o namiętności złej i szkodliwej paraliżującej wszelką inicjatywę... wróciły spowrotem do mózgu Hersza i zagospodarowały się.

Skonstatował, że nie troszczył się o swoje dzieci. Odeszły od niego... usamodzielniły się daleko od Zbaraskiej Budy... Teraz już ma wnuki.

Nigdy nie przyszło mu na myśl, że trzeba rozpocząć nowe życie.

Dopiero tej nocy postanowił stać się innym człowiekiem. Porządnym ojcem rodziny. Nie tracąc czasu na analizowaniu swoich uczuć, myśli i czynów, poddawał się biegowi rzeczy.

O młodości nigdy nie myślał, bo była ona jeszcze zawsze aktualną u niego, więc wspomnień nie wydobywał na wierzch. Tej nocy, wyjątkowo, zdarzyło się, że go coś tknęło i niepotrzebnie umysł jego wspomnieniami z odległych czasów zajęło. Horpyna Kuź... Juljan Konieczny... Zbaraska Buda, dawniej osada... czterdzieści kilka lat temu wstecz.. i dzisiejsza wieś... cerkiew... dom ludowy.. Nagle wyrosła odległość pomiędzy — dzisiaj — wczoraj... przedwczoraj...

Postanowił nieodwołalnie zmienić tryb życia. Właśnie dzisiejszej nocy w drodze powrotnej do domu.

Ocknął się. Konkretne plany na przyszłość zajęły całe jestestwo... Weźmie się do roboty... Zarobi, aby się móc śmiać w oczy swemu szwagrowi, temu mudrahelowi... który całe życie ciuła... ciuła... i nie wie o Bożym świecie...

Przypomniał sobie, że on poza kartami niewiele wiedział.. Teraz to się zmieni... dobrze, że przeniesiono naczelnika granicznej straży... był wścibski... zanadto wścibski...

Teraz z Mikołajem Antonowiczem przeprowadzi kilka dobrych interesów. Za jednym zamachem „odkuje się".

Aż mu przyjemnie było na duszy. Opuścił go smutek... Nadzieja wygnała precz, wyrzuty sumienia. Już wie najdokładniej, jak będzie... W jakiś piątek wieczór odwiedzi swojego szwagra, kupca w Zbarażu i tak od niechcenia zaproponuje mu pożyczkę — handlujesz drzewem, więc ci pieniądze są potrzebne... mam je dać do banku... pożyczę tobie... —

W myślach widział zdumione oblicze i śmiesznie pokorną postać, zwykle pewnego siebie, pana szwagra...

— Jacy wy wszyscy jesteście prości, nieskomplikowani... patrzycie na mnie grającego w karty, czy pijącego wódkę i myślicie, że to już cały Hersz Torten? Głupcy, nie widzieliście, że we mnie są i inne możliwości, że ja mogę inaczej? — Mogę nie grać w karty! Mogę za jednym zamachem was dogonić zarobkami... majątkiem. —

Druty telegraficzne dźwięczały, przez cały czas rozmyślań Hersza Tortena.

Gdyby nawet był zwrócił uwagę na dźwięczące druty nie byłby rozeznał szyfrowanych depesz o wojnie i mobilizacji. Nic go nie obchodzą druty telegraficzne.

XIII.

W dniu słonecznym, pogodnym, paru hrabiów pięknie się skłoniwszy kilku innym hrabiom, powiedzieli po francusku słowa, specjalnie na podobne okazje zestawione w podręcznikach „L'Ecol Diplomatique", — żałujemy bardzo, iż przez jakiś czas nie będziemy mogli się spotykać w salach ambasady wielkiej monarchji i prosimy najuprzejmiej o umożliwienie powrotu do wielkiej wspaniałej ojczyzny. W dniu słonecznym... pogodnym...

XIV.

Wojskowi, a specjalnie Mikołaj Antonowicz Markow, wiedzieli o tem, że ćwiczą się na ludzi wojny. W samą wojnę i jej możliwość, jednak nie wierzyli, jak się nie wierzy w śmierć własną...

Żołnierskie ćwiczenia, ścinanie przez ułanów pędzących w galopie, łbów fantomów, gimnastyka i śpiewki i to wściekłe ruganie, to wszystko nie jest wojenne.

Nawet ostra dyscyplina i olbrzymi odstęp pomiędzy oficerem a zwykłym żołnierzem należą do pokojowego programu ludzi wojskowych. Ludzie posiadają broń, żelazo... masę żelaza. Znają sposób używania broni. Panują nad masą żelaza, składają je na swoje miejsca po świczeniach. Uczą się nazw technicznych, poznają skład broni.

Ludzie wojskowi i broń żyją osobnem życiem. Utajonem życiem. Poruszają się automatycznie.

Przenoszą się z miejsca na miejsce, poczem wracają tam, skąd wyszli.

Wszystko jest konieczne, niewychodzące poza ramy... programu.

Aż przyjdzie słowo, jedno jedyne słowo... gromkie o olbrzymiej mocy, owiane promieniami czarodziejskiemi... Nikt nie widział tego, kto to słowo rzucił w ludzi. Nikt nie słyszał tego głosu, a jedak fale głosowe dotarły do ludzi i do broni. Przedarły się z szaloną szybkością poprzez żelazne ściany zadowolenia, przez kamienne ściany obojętności... przeniknęły lepiankowe ściany nędzy i troski... przedarły się do serc ludzkich. I broni...

Ludzie poruszyli się. Poczęli płynąć lawą ludzi wojennych, płynąć przed siebie...

I broń, takie sobie zwykłe żelaziwo bez życia, przyczepione do boku, na rzemieniu uwieszone na ramieniu... odżyło...

Stało się odrębną istotą... żyjącą... rwącą się przed siebie... uderzającą wszystko napotkane, domy, pałace, katedry, godzącą bez litości w dzieci, kobiety i mężczyzn...

Rozpoczęło się panowanie broni nad człowiekiem. Marko Kuż w czasie pokoju, kradł króliki, kochał żonę i dzieci, ospodarzył na swoim małym gruncie i w ludowym domu od czasu do czasu się upijał...

Marko mógł, nie kraść królików, gdyby nie chciał, mógł nie pić w ludowym domu. Gdyby mu się odechciało...

Dostawszy się pod panowanie broni, musiał iść

wprzód... usuwać przeszkody, zabijać... Nie mógł nie chcieć... musiał...

A słowo wojna... w-o-j-n-a... rozchodziło się w cztery strony świata, rozwielokrotniało się na miljony słów... słóweczek... pojęć, symbolów wojny... W-o-j-n-a!!! Brała w swe ciężkie łapy, papier i niezdarnem pismem znaczyła swe imię... Wojna... w-o-j-n-a... I brała w swoje potężne ramiona dusze czułych jak mimoza, poetów, muzyków i czarowała je swojem cuchnącem tchnieniem, brała precyzyjne zegary mózgów uczonych i nakręcała... aby pracowały w takt karabinów maszynowych...

XV.

W taką chwilę wybrał się Hersz Torten do swojego przyjaciela Mikołaja Antonowicza Markowa, wachmistrza X-go pułku ułanów Jego Wysokości Księcia Nordlandzkiego, stacjonującego na granicy. Nie wiedział, że na tamtej stronie dzieje się coś niezwykłego.

Po rosyjskiej stronie pojawiła się, jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, niewidzialna dotąd masa kawalerji...

Austrjacka straż celna znikła którejś nocy... Było z tego powodu markotno, ale mimo to żyło się.

Zostały samotne słupy graniczne, symboliczne, czarno-żółte, biało-niebieskie-czarne słupy. Został Torten z żoną... Barwy słupów granicznych ostro odcinały się swoją różnością.

Wieś, oddalona od komory celnej o dwa kilometry, żyła swojem zwykłem życiem. Samowystarczalna, porzucona przez monarchję austrjacko-węgierską, niby jabłuszko w trawie przez zajęte zabawą, dziecko,,, leżała w gąszczach... Istniała. Zbierało się zżęte zboże. Swoje i dworskie. Orało się i siało.

Żona prosiła Hersza, aby się zabrali do miasta. Są sami zdaleka od dzieci, czuje się chorą, serce się łtucze i astma dusi... pragnie uciec. Cóż kiedy Herszowi tak żal opuszczać dom. Swój własny dom.

Odezwało się w nim przywiązanie do miejsca rodzinnego. Po co uciekać w cudze strony do obcych miast i domów?

Tu mają swój ogród i swoją krowę, a w niedaleko położonej osadzie swoich ludzi... no i Mikołaj Antonowicz Markow... Zresztą to wszystko się wkrótce skończy... Jeszcze wczoraj omawiałem z Markowem polityczne sprawy. Mikołaj Antonowicz, fachowiec w sprawach wojennych nie wierzył w długotrwałą wojnę. Z Austrją się pogodzą zaraz spoczątku, a potem dadzą radę Niemcom...

Zresztą przejdzie się do Markowa, pomówi z nim... poradzi się przyjaciela.

Przekroczył granicę nie pytając nikogo o pozwolenie. Nie było straży...

W tej samej chwili żałował, że poszedł... O pięćdziesiąt kroków poza nim stał jego dom rodzinny. Karczma Tortenów. Nagłe zniknięcie straży austrjackiej nie sprawiło na nim takiego wrażenia, jak zauważony w momencie przekroczenie granicy... brak rosyjskiego postu.

Odwrócił się w stronę domu... przystanął na chwilę... zastanawiając się. Chciało mu się wracać.

„Co z tego wynika, że ściągnęli strażnika"...? myślał dodając sobie otuchy „pomówię z Mikołajem Antonowiczem"... Wczoraj jeszcze z nim rozmawiał, nie było jeszcze tego nowego wojska...

Nie widział nigdy takiej masy ludzi uzbrojonych. Naraz, ucho jego podchwyciło turkot wozów, ciągnących po wszystkich drogach i ścieżkach... Nieustanny turkot wozów pozostał w uszach Tortena aż do śmierci.

Nim zdążył odwrócić się od strony swojego domostwa, nim ruszył dalej w kierunku kasarni, w której spodziewał się zastać swojego przyjaciela Markowa, z przerażeniem spostrzegł ruch olbrzymiej masy ludzi na koniach... Usłyszał młody, fistułowy głos, niosący, znaną melodję wojskowej piosenki, a po chwili wtór tysięcy głosów... Tupot kopyt końskich... chrzęst zbroi... Armja rosyjska ruszyła...

Właśnie w tej chwili, kiedy Hersz Torten szedł w odwiedziny do swojego przyjaciela...

Komendant dywizji odczytał manifest cara... białego cara... sam dodał od siebie kilka słów. Wspomniał o historycznej chwili przekraczania granicy... padały krótkie, żołnierskie słowa. Brzemienne w następstwa. Ważkie. Oswobodzenie braci jęczących w niewoli... Wasze matki... żony... dzieci... wasze... kochanki!!! Wróg!!! Wróg!!! Zdrada!!! Szpiedzy!!!

Padły krótkie, żołnierskie słowa, na wojenne serca wojennych ludzi... Naprzeciw prących naprzód

ułanów rosyjskich szedł... na ołowianych nogach, stąpał Harsz Torten...

Zdążył się zdziwić, dlaczego przestrzeń pomiędzy nim a nimi ciągle maleje... Zdawało mu się, że ani on, ani oni nie poruszają się... Usunął się na bok. Wreszcie, mijały go pierwsze czwórki... Sztab, oficerowie. Zdjął kapelusz... Przystanął... Strach... odszedł... „Nic się nie dzieje nadzwyczajnego"... Patrzył na ludzi w rynsztunku wojennym, całkiem innych, aniżeli ci, których znał i widział przed kilkoma dniami.

Przejeżdżał jakiś oddziałek... Ułani pijani, śpiewali wesołą piosenkę.

Jeden młody, o śmiejących się oczach, zagadnął Herszka. Dziwna rzecz, Hersz, umiejący mówić po rosyjsku — nie zrozumiał ułana... Ten podjechał bliżej... Kto... ty takoj?

Hersz mógł powiedzieć jak zwykle to czynił „żytiel etawo sioła"... po rosyjsku... Umiał mówić po rosyjsku... po ukraińsku...

Nie odpowiedział...

Zniecierpliwiony żołnierz wrzasnął, kto ty takoj sukin, persukin syn? Oczy jeźdźca przestały się śmiać. Strach odjął mowę Herszowi.

Zrozumiał tylko, że wpadł w nieszczęście. Stał jeszcze cały, w ubraniu z kapeluszem w ręku... Cały, zdrów... Wiedział tylko, że wpadł w nieszczęście. Drżący czekał jakiegoś znaku nieszczęścia. Nie wiedział, jak to się stanie... Trząsł się. Uderzenie nahajem pozostawiło pręgę na twarzy Herszka...

Nie czuł bolu.. słyszał tylko straszliwy krzyk

ułana i widział straszną masę otaczających go ułanów.

A otaczało go tylko kilku jeźdźców...

Przemówił... wyrwało mu się z piersi... poprzez zduszone strachem, gardło...

Szły słowa... niewyraźne, zduszone, niewzbudzające litości.

Ułani dosłyszeli „austrjacki".

W sercach ułańskich, czuwało rzucone przez generała dywizji słowo, szpieg... Konie bodzone ostrogami... cisnęły się na Hersza... Ponowne uderzenia... Tłumaczenia... gestykulacja,,, śmieszna... Uderzenia kolbą...
Przeraźliwy krzyk Żyda, sprowadził oficerów...
Krótka relacja żołnierza... — austrjacki szpieg... —

W rodzącym się pomruku coraz to liczniejszego tłumu żołnierzy, ginęło niezdarnie wylęgłe słowa tłumaczenia, Hersza... Podczas rewizji... płakał jak dziecko. Po głowie ociekającej krwią, błąkała się jedna, jedyna myśl... — Mikołaj Antonowicz Markow! —

Mózg wysyłał na wszystkie strony sygnały... — Mikołaj Antonowicz Markow — imię i nazwisko i imię ojca...

Wzywał tego samego, którego znał od wielu lat. Imię, otczestwo i nazwisko... przyjaciela...

I załzawione oczy dostrzegły go...

Jechał na czele oddziału... Na koniu bułanym... Jeszcze oddalony o kilkadziesiąt kroków...

Jedzie, wołany przez Herszka, nie głosem, nie ustami — wzywany przez całe jestestwo, Hersza... Jeszcze kilka kroków. Dziwne, że ziemia, na której

stoi Hersz nie woła o pomoc, aby Mikołaj Antonowicz prędzej przybliżył się, ani kamień, na który padły krople krwi...

Mikołaj Antonowicz Markow podjechał... Zaciekawiony incydentem... Poznał Hersza...

Hersz... rozżalony milczał, tylko oczy krzyczały i skrwawiona twarz żaliła się głośno...

Wachmistrz Markow także słuchał manifestu cara i przemowy generała dywizji. W sercu i duszy panowały niepodzielnie słowa „uciskani bracia", „Wróg"... „wróg", „szpieg", jednak wzruszył się błagalnym wzrokiem, nie swojego przyjaciela, tylko jakiegoś Herszka, którego kiedyś znał... z widzenia przy jakiejś tam sposobności... austrjackiego Żydka...

Cisnęły się już słowa, właśnie te nonszalanckie słowa, tłumaczące nieporozumienie... (aby go nie posądzano o przyjaźń z austrjackim Żydem). Zeskoczył z konia...

Szczęśliwy Hersz widział bułanego konia. O nim opowiadał mu Mikołaj Antonowicz, jak go wycyganił. Bułanego chciał mieć podchorąży Nikityn...

Markow podszedł bliżej. Krokom jego, powolnym, ale stanowczym towarzyszyła ironiczna uwaga chorążego Nikityna „ujmijże się za swoim swatem Herszkiem"...

Mikołaj Antonowicz Markow, nie wiedział w tej chwili co się stało...

Broń, ciężka ułańska szablica, zarechotała w pochwie, dotknięta dowcipem Nikityna. Zespoliła się z twardą dłonią i jak węgorz w powietrzu mignęła, gibka, zapadając się w miękkie ciało leżącego u stóp swojego przyjaciela.

XVI.

Święto połączenia Ukrainy Zachodniej z Ukrainą Wschodnią.

Chaty i domy udekorowane flagami o państwowych barwach. Pałaców już niema w Galicji Wschodniej. Znikły zbędne. W oknach krzyczą na całe gardło nalepki „Niech żyje"...

Ukraiński starosta w Zbarażu radzi mieszkańcom powiatu się cieszyć. Radzi i życzy sobie tego...

Więc nabożeństwo w cerkwi, kościele i bożnicy. Więc pozamykane sklepy. Szkoły narazie nie są czynne, bo w pobliżu toczą się walki. Zbaraż stoi na tem samem miejscu. Nie ucierpiał spowodu wojny, a ruiny zamku, sterczące na wysokiej górze, opowiadają ciekawym, historję dawnych wieków. Zamek ten odegrał swoją rolę w okresie walk Rzeczypospolitej Polskiej z Kozakami. Dzisiaj rozłożył się tam pułk artylerji polowej. Rzeczpospolita Palska walczy z Ukrainą.

Już niema monarchji austrjacko-węgierskiej, ani cesarstwa rosyjskiego.

Rozpadły się. Coś w wnętrzu kolosów państwowych wyrosło do obrzymich rozmiarów... Pęczniało z zawrotną szybkością i trzasło rozszarpując w kawały Austro-Węgry i Rosję.

Wielka wojna się skończyła.

Było z tej okazji wiele „Te Deum".

Tylko w niektórych punktach świata słychać jeszcze strzały armatnie i trajkot karabinów maszynowych. Jęku ludzi konających i straszliwego wrzasku gwałconych kobiet i milczenia ze strachu onie-

miałych Żydów, Armeńczyków, nie słyszą czytelnicy dzienników o miljonowych nakładach. Dzienniki amerykańskie i europejskie pomieszczają codziennie komunikaty sztabów głównych „z frontu polsko-ukraińskiego" ukraińsko-rosyjskiego" rosyjsko-sowieckiego". O białych, czerwonych mówią, a barwy oznaczają ludzi i idee, a komunikaty przychodzą z placu boju.

Dzienniki amerykańskie i europejskie mają doskonale zorganizowaną służbę informacyjną. A czytelnicy tak chętnie dowiadują się, co się dzieje na froncie. Świetnie się orjentują w nazwach miejscowości, znają nazwiska generałów, ba nawet niektórych nieustraszonych pułkowników.

Wielka wojna się skończyła.

Tylko jej echa dają się słyszeć gdzieś w jakichś punktach globu ziemskiego, gdzie w żyłach ludzkich krew płonąc, krzyczy „krwi", a w pancerzu czaszki, mózg sfałdowany w zmarszczki co chwila się bardziej starzeje, pracując do spółki z bronią.

„Pojęcia walczą i ideje. Pewne życia, bo co im kto zrobi?... Nie mogą umrzeć".

Ciała giną i butwieją...

„I zaimki toczą bój"...

„Ja" i „ty", „mój" i „twój". Rosną, potężnieją w „my" i „wy" „nasze" i „wasze". Dzielą się, różniczkują na Ja i Wy, Ja i oni, Ja i Wszyscy...

Hersz Torten filozofował.

Dawno, bardzo dawno na dnie jego duszy znalazła się potrzeba uogólnienia najdrobniejszych szczegółów. Jeszcze w okresie dzieciństwa, uciekał

od pracy i wiele myślał. Przyjaźń z Mikołajem Antonowiczem uszlachetniła niejako tę właściwość, podniósłszy potrzebę zdawania sprawy z tego, co się dzieje, do godności filozofowania. Nieoczekiwany epilog tej dziwnej przyjaźni rozluźnił wszystkie dawniej ciasno zaciśnięte śruby mózgu Hersza i myśl stała się bardziej elastyczną. O takich ludziach, się mówi, że wiele przeszli.

„Na co się zda całe filozofowanie?"

Czasami siebie strofował. „Szkoda czasu na głupstwa". Wtedy zarabiał.

Od tego czasu, kiedy jego przyjaciel, Mikołaj Antonowicz Markow, przez wykonanie szablą, pewnej, przestudjowanej ewolucji, sprawił, że jedno oko Hersza spłynęło po rowku tąże samą szablicą, wyrzeźbionym na policzku, ubiegły cztery lata.

W ciągu tych lat Hersz — jednooki Hersz — filozofował i zarabiał. Tak, jak każdy, najdrobniejsze zdarzenie pęczniało w jego oczach, rozrastało się, przybierając formę przystosowalną do wszystkich zdarzeń i ludzi, taksamo jakiego się jął interesu, bogacił się, zdobywając corazto większą gotówkę. I poważanie.

Hersz Torten już niema opinji lekkomyślnego człowieka.

XVII.

Któżby się był spodziewał, że Hersz Torten — jak to się mówi — zbije majątek? Najmniej tego spodziewała się Horpyna, ta sama ongiś młoda, czarnooka dziewczyna, obecnie wdowa po Iwanie Kosto-

masze, kiedy poranionego znalazła, porzuconego w polu i przy pomocy najstarszej córki zataskała do swojej chałupy.

Cztery lata minęły od tej chwili.

W ciągu tych lat, zginęło kilka miljonów ludzi, zostało ranionych kilkanaście miljonów. Tych samych ludzi, którym — aż do chwili kiedy się poczęli słaniać — zdawało się, że kierują swojem i cudzem życiem, że „panują nad sytuacją"... I urodziło się bardzo wiele nowych ludzi.

— A jednak to nieprawda, że słowo coś znaczy — tłumaczył sędziemu Rutkowskiemu. Ten niechcąc złożyć przysięgi, na ręce swojego kolegi Iwaneńki, obecnie pełniącego urząd starosty z ramienia Ukraińskiej Państwowej Władzy — nie urzędował, kręcił się po mieście i ciekaw nowin, rozmawiał z Żydami.

— Panie radco, proszę mi wierzyć, że to wszystko kłamstwo. Słowa... słowa... Jak sobie przypominam, ból zadany ręką mojego przyjaciela, to mię w tej chwili dokładnie tak samo ciśnie pod sercem jak wtedy — i ręką wskazywał gdzie go boli — a jak się mówi cztery miljony zabitych i jedenaście miljonów rannych...; te słowa nie cisną pod piersiami... —

— Dlaczego te słowa nie bolą wypowiadającego? To nie jest w porządku... — Prowadził tysiące interesów, nie zaniedbując zajmujących go ludzi i problemów. Zawsze znalazł trochę czasu, by się dowiedzieć, jak Chaim Epstein nielubiany syn swoich rodziców, daje sobie radę w życiu. Chaim Epstein powrócił niedawno z niewoli rosyjskiej. Był bezbożnikiem i komunistą. Torten pomagał mu pieniędzmi

i radą, często wstawiał się zanim u starego ojca Epstein... „Gdyby pa wiedział co się dzieje sa świecie, nie straciłby pan ani chwili czasu na gniew"... Epstein, stary, pobożny chasyd z zawodu rybak, bardzo dobrze wie co się dzieje. Zna cenę ryb, naprawia więcierze i wie że ciężko być Żydem, bo codziennie grozi mu prezes towarzystwa rybacko—łowieckiego, że odbiorą mu poddzierżawę rybołóstwa na terenie podlegającym kompetencji tutejszego starostwa. (Dzięki Bogu, że starosta ma na głowie ważniejsze sprawy i tylko spowodu tego pozwalają mu oddychać).

„Właśnie dlatego nie warto siebie martwić i nękać syna... świat cały się pali, kto wie czy wydostaniemy się na bezpieczne miejsca". Epstein wierzył w pomoc Boga. — Jest Bóg, żydowski Bóg. Mój syn obraża Boga, lepiej, by sam umarł. —

Jaśko Kostomacha, syn Horpyny, powozi końmi Hersza. Pełen życia i optymizmu opowiada Herszowi, o swoich przygodach z Moskalami. Uprawia swoisty sport naciągania policji rosyjskiej. Igra z niebezpieczeństwem. — Jacy oni wszyscy głupi. —

— Dałbyś spokój... złapią cię i zbiją. Ty ich nie znasz. — Strofował syna Horpyny, stary Torten. Ciągnęło go do tego chłopca. Lubił go i nieraz powierzał kierownictwo transportów towarów, przywożonych z Rosji do kraju okupowanego.

Torten postępował bardzo oględnie z władzami okupacyjnemi. Miał doskonały sposób „odbijania siarki". Podczas częstych podróży (jeździł furami) spotykał na mostach, rogatkach, straże wojskowe.

Znał z doświadczenia możliwości, człowieka uzbrojonego, mówił, że taki człowiek jest jak zapałka z główką siarkową łatwo zapalną. Więc należy odbić siarkę.

„Biedny sołdatiku, stoisz bracie na warcie“...? Mówił „ty“, aby się bardziej spoufalić. — „Masz papierosa?“ — sam nie dawał papierosów, aby nie wzbudzać nieufności, narazie nie zamierzał przekupywać — jakby papiery miał w porządku... Brał od udobruchanego sołdata papierosa, porozmawiał, zostawiał mu pół rubla i przemycił o jedną furę więcej, dla której nie miał przepustki. Radził sobie i drugim. Już nie pamięta, jak to się stało, że wspomaga pieniędzmi i wiktuałami czarną Chanę, czyni to pokryjomu, bo czarna Chana jest kurwą.

Ale czarna Chana pamięta dobrze i nie zapomni aż do śmierci, że Hersz dał jej kilkadziesiąt rubli, aby sobie założyła mleczarnię. Znała go jeszcze przed wojną, wiedziała, że ma opinję karciarza i lekkomyślnego człowieka, ale nie może o nim powiedzieć, że tak jak wielu innych poważnych obywateli w miasteczku, oglądał się za nią i znacząco mrugał do niej, wtedy młodej i żywej, pięknej córki bednarza... czarnej Chanały!

Przyszła do niego po chorobie... Ospą zeszpecona stanęła przed nim, przeprasza go, że właśnie do niego się zwraca, bo wszyscy odmówili pomocy, a małe dziecko... bardzo kochane... może je przynieść i pokazać...

Wtedy Hersz Torten jej pomógł. Założyła sobie mleczarnię i bajzel...

Potem, ilekroć miała troski, przychodziła do niego po pomoc — i dziwna rzecz — wstydziła się przed nim spowodu swego zawodu, tylko przed nim, przed nikim innym. A on nie uważał za potrzebne naruszać drażliwego dla niej tematu. Interesował się jej dzieckiem i nią samą, utrzymując pozatem dystans pomiędzy sobą, człowiekiem patrzącym poza, albo przed siebie — a nią, lichem stworzeniem, przydeptanem przez byle kogo i z trudnością podnoszącem się na chwilę z ziemi... z prochu. Kobiety go nie zajmują... Czasem przychodzi Horpyna, wdowa po Iwanie Kostomasze... już nie ta sama smagła z przed laty... pozostały tylko czarne lśniące oczy... Wszystko to wystarcza, aby nie zapomnieć, że się kiedyś było młodym.

Najchętniej rozprawiał o tem i owem z swoimi furmanami — (musiał z kimś dyskutować) — podczas długich podróży, we dnie i w nocy, w lecie i w zimie... Zżył się z tymi ludźmi i brał od nich pracę i mądrość życiową, jak pszczoła z kwiatów miód wysysa. Sam przewodził karawanie złożonej z kilkunastu podwód. Odbywał podróże w głąb Rosji, skąd przywoził towary. Wciskał się z swoim towarem do miejscowości, położonych niemal na samej linji bojowej. Zarabiał. Władze wojskowe i cywilne darzyły go zaufaniem. Miał wprawę w dawaniu łapówek.

Wtedy to pisał — via Szwecja — do swoich dzieci, przebywających we Wiedniu, że — tu u nas można wytrzymać, tylko tęsknimy za wami. —

Właściwie tęsknił za rządami austrjackiemi Pod rządami Rosjan powodziło mu się dobrze, ale

tęsknił za Austrją. O dzieciach niewiele myślał, chociaż synowie i zięć byli na wojnie. Wierzył, że jakoś wykręcą się od frontu. Poprzez dzieci spoglądał w przeszłość i widział ją w Austrji...

Na zbaraskiej budzie już jej nie było. Znikła wraz z żoną, karczmą, lasem i studnią przysypaną jakiemś rumowiskiem, Bóg wie, skąd naniesionem...

Był patrjotą austrjackim.

Dopiero gdy Austrjacy odbili tę połać kraju zrozumiał... co znaczyły słowa przechodzących przez Zbaraż, austrjackich jeńców:

— Niech ich wszystkich cholera bierze wraz z cesarzem Karolem... i z Niemcami. —

Wtedy nie mógł im przebaczyć słów obelżywych, skierowanych do cesarza i dowódców. Z swoim rodzonym kuzynem, przypadkowo spotkanym w partji jeńców, pokłócił się na dobre. Zamiast mu dać na drogę kilkadziesiąt rubli i jakiś przyodziewek, ze zmęczonym, a jednak ze szczęśliwym, dyskutował...

— Jesteście wszyscy zdrajcami... moskalofilami.

— Spróbuj ty tam pobyć... u nas... a odechce ci się Austrji... —

I odechciało mu się...

Koszotwało go to dużo trudu i pieniędzy, aby się oczyścić z zarzutu, że był przyjacielem Rosjan. On przyjacielem Rosjan? On, któremu serce żywiej bije na samo wspomnienie możliwości powrotu „Austrji". Ileż to pieniędzy płacił za skrawek gazety austrjackiej...? W chwili wolnej z trudnością rozglądał się w mapie (jeszcze Juljan Konieczny nauczył go

sztuki korzystania z mapy), jakże troskliwie ukrywanej przed rosyjskimi żandarmami. Ołówkiem kreślił linje frontów... Często sam, dowolnie zbliżał te linje ku Zbarażowi, aby przyśpieszyć oswobodzenie Zbaraża, a przecież Rosjanie pozwalali zarabiać i podczas rosyjskiej inwazji stał się bogatym...

Tę samą mapę znaleźli później żandarmi austrjaccy i oskarżyli Hersza Tortena o szpiegostwo... Na szczęście wstawił się za nim sędzia Rutkowski. Osobiście świadczył o lojalności Hersza, przytaczając jako dowód jego wiary w zwycięstwo Austrji, fakt udzielania zaliczek, pozostałym w Zbarażu i okolicy austrjackim urzędnikom.

— Gdyby nie wierzył w powrót prawowitej władzy nie dawałby pieniędzy. Interesy z Rosjanami? Cóż miał robić? Musiał z natury rzeczy stykać się z władzami. Zresztą wydobywał od nich wiadomości, informował nas... —

Austrja nie przyniosła ze sobą przeszłości. Hersz doznał rozczarowania. Tak jak pan adwokat Henrykowski porucznik 12 pułku piechoty doznał rozczarowania niemiłego, bo nie zastał swojej żony. Wyjechała z oficerem do Rosji. „Dziecko umarło i matka jej zmarła na czerwonkę, więc się puściła".

„Co ma wspólnego śmierć matki i dziecka z zadawaniem się z rosyjską swołoczą...?" pytał odpalony kandydat na pocieszyciela pani Lili, pobierający zaliczki od Hersza Tortena, sekretarz sądu Hoff?

Herszowi nie zależało na obronie opinji pani mecenasowej Henrykowskiej, więc nie sięgał po nowe argumenty...

Chował je troskliwie i przytoczył wszystkie nieszczęśliwemu mężowi, który u niego, jako najpoważniejszego obywatela Zbaraża, dowiadywał się o zachowaniu się żony podczas nieobecności męża-wojownika. Władze rosyjskie mianowały Tortena komisarzem kahału i członkiem rady przybocznej komisarza miasta. Nikt inny nie umiał tak dokładnie rozumieć intencyj okupantów i spełniać nałożone powinności, bez narażania się na zarzut zdrady stanu ze strony, ewentualnie mogących powrócić władz austrjackich. Udobruchany pokaźną łapówką, naczelnik „ujezda", przy jakiejś okazji oświadczył oponującemu przeciw zbyt jaskrawej antiaustrjackiej demonstracji, Herszowi Tortenowi:

— Wy chytrij żulik... no wsio taki, ja was lublu..." —

Torten płacił za tę miłość, ale mu się to sowicie opłacało. Miał wpływy. Naczelnik powiatu polecił go dobrze, władzom wojskowym, które mu nie czyniły przeszkód w handlu... Pozatem mógł wiele pomóc bliźnim, będącym w opresji. Czynił to często i nie bez zarobku... Podczas okupacji było dużo sposobności.

Wogóle Hersz zażywał wielkiego poważania w mieście. Przedwojenni matadorzy, ci z „pierwszego pokoju" w klubie wyjechali z kasami różnych instytucyj do Wiednia. Tam nikt nie zażądał zdawania rachunków, a potem dewaluacja pozwoliła im żartobliwem słowem odwrócić uwagę od faktów... „głupich kilkanaście tysięcy koron... Znaczek pocztowy..."

Tarten sam zarabiał i dawał zarobek wielu ludziom. Wykorzystywał ich, jeśli mu się to udawało, ale ich wszystkich lubił i Żydów pośredników i chłopów woźniców... Był niezależny i zdawało mu się, że jest lubiany.

Austrjacka okupacja, tak nazywają, powrót władz biorących swój początek i blask z wiedeńskiego Burgu... dzienniki lwowskie i krakowskie w kilka dni po zajęciu Lwowa przez wojsko austrjackie...

Austrjacka okupacja to nie dawna przedwojenna Austrja!

Torten nie stracił rezonu spowodu początkowej nieprzyjemności ze strony austrjackiej żandarmerji... Wiedział doskonale, że „rebe" go oskarżył przed władzami...

Już dawno niema tych urzędników, z którymi urządzało się karciane turnieje. Ludzie się zmienili. Torten przestał grać w karty i dorobił się majątku, a wieczny prawnik Izak Stock, który przed wojną utrzymywał siebie i żonę z prywatnych lekcyj, udzielanych ambitnym córkom, ambitnych żydowskich matek i ogrywania urzędników w „Klubie Towarzyskim w Zbarażu" — obecnie po rozpadnięciu się „Klubu Towarzyskiego", grywa w karty w szynku Tauby Gottlieb. Niema lekcyj, więc się zarabia tylko kartami. Zarabia się niewiele, ale żyje się bardzo tanio. „Rebe", bo tak nazwał Izaka Stocka, doprowadzony do pasji z okazji przegranej całomiesięcznej gaży, sędzia Iwaneńko — przyczaił się w oczekiwaniu dobrej dla siebie konjunktury. Izak Stock chce żyć i wytrwać. I doczekał się Austrji.

Hersz Torten sam usprawiedliwiał denuncjata „rebego"... Rozumiał pobudki i nie wydawały mu się na tyle błahemi, by mogły nie pchnąć Stocka przeciw bogaczowi Tortenowi — którego znał ongi jako marnotrawnego biedaka. — Stock przeciwstawił swój patrjotyzm austrjacki, zdradzie stanu Hersza Tortena, aby uzyskać monopol aprowizowania powiatu... Był wolny od obowiązków żołnierskich, przydało mu się w dzieciństwie przebyta „Coxitis". Kuleje Izak Stock i nie boi się wojska. Nie trzeba się wykręcać od służby wojskowej i nikt go nie zadenuncjuje przed władzami austrjackiemi, że i on przyjaźni się z Rosjanami. Nie uczyni tego Hersz Torten, bo nie zamierza „rebemu" odbierać aprowizacji. Nie wie narazie, że to jest intratny interes. Dopiero po kilku miesiącach wyrwie Stockowi doskonałą sposobność wzbogacenia się... Uczyni to łatwo i tylko spowodu niedoświadczenia i głupoty „rebego"... Torten wie, że przy rozdziale cukru, nafty i zapałek należy przedewszystkiem zaspokoić tych konsumentów, dla których dany artykuł jest niezbędny, dlatego, mieszczanom należy dać dużo cukru, tyle ile sami zechcą. Chłop nie pije herbaty, ani kawy, dlatego należy mu dać po maksymalnej cenie zapałki, sól i naftę, a na pasek puścić pozostały cukier... „Rebe" chciał za jednym zamachem zagarnąć wszystko — i to co jest konieczne dla mieszczanina i niezbędne artykuły dla chłopa ze wsi — i potknął się... Od więzienia uratował go sędzia Iwanenko... Torten w dalszym ciągu bogacił się i filozofował... Ze Zbaraża nie wyjeżdżał. Dzieci zadawalały się przesyłkami pieniężnemi i bardzo dokładnie

opracowanemi planami zużytkowania gotówki, które nadsyłały ojcu... Hersz, jeśli miał, jakieś zamiary, ulokowania pieniędzy w ziemi czy kamienicy, nie uczynił tego po otrzymaniu rad w tym kierunku od swoich dzieci... Nie lubił ich i nie chciał niczego czynić, coby wskazywało na to, że o nich myśli w związku z swoją śmiercią... „Jeszcze żyję i nie myślę umierać, a pieniądze chcę mieć wszystkie przy sobie..."

XVIII.

Po Austrji nastała republika Zachodniej Ukrainy.

Którejś nocy rozpoczęła się bezładna strzelanina z karabinów. To chłopcy wiejscy, zebrawszy się w jakiś oddział weszli do miasta, uświadamiali siebie samych i w domach pochowanych obywateli, że Ukraina zmartwychwstała.

Tej nocy nie rabowano!

Z czasem każdy wytrysk entuzjazmu narodowego zaczynał się radosną pieśnią, która odurzała najbardziej obojętnych pod względem narodowym i państwowym, a kończyła się rabunkiem i pogromem. To się odbywało przy współudziale braci z Zakordonu.

Stało się, że Torten przestał myśleć kategorjami narodowemi i państwowemi. I nietylko on, ale i innn Żydzi zamieszkujący tę połać ziemi.

Do oswobodzenia Galicji Wschodniej przez Austrjaków, byli szczerymi patrjotami austrjackimi. Było w tem uczuciu wiele interesu.

„Bo co to jest patrjotyzm, panie radco? chce się, by rządowi danemu się dobrze wiodło, a dlaczego?, bo wtedy się powodzi dobrze obywatelom“ — tłumaczył sędziemu Rutkowskiemu.

— „Wy Żydzi traktujecie tę sprawę trochę inaczej aniżeli my Polacy. Uważacie kraj, który zamieszkujecie za tymczasowe miejsce pobytu, za hotel. Płacicie podatki może nawet większe, aniżeli my, Polacy, ale nic więcej... —

— Tęsknimy za naszem miejscem rodzinnem. Czy pan wie, że ci sami Żydzi, którzy uciekli z Rosji do Ameryki po kiszyniewskim pogromie, tęsknią za Rosją i są szczęśliwi, kiedy mogą ujrzeć miejsce swego urodzenia, swojej młodości... —

— A jednak, kochany Heniu, to nie jest to samo. Jakby to panu powiedzieć, niema w tem wszystkiem, tego, co jest wprawdzie niewidoczne, ale niemniej ono jest... poezji... Takiego uczucia niekorzystnego... Nie umiecie naprzykład masowo pójść i bić się o ziemię... Choćby teraz, w wojnie polsko-ukraińskiej... Woleliście ogłosić neutralność... To bardzo wygodne usiąść sobie na wysokiem drzewie i patrzeć jak się Polacy biją z Ukraińcami, aby potem silniejszemu gratulować... —

Torten usiłował wytłumaczyć Rutkowskiemu, że się myli, Ale nie udawało mu się to. Z mlekiem wessane uprzedzenia nie uciekały przed najmądrzejszemi argumentami.

— Co za neutralność? Panie radco! Czy neutralność Żydów w tej wojnie nie jest okłamywaniem siebie samych. Wogóle neutralnym może być naród czy państwo doskonale uzbrojone. Neutralności trze-

ba bronić, musi się o nią bić tak jak o ziemię. No i czy my Żydzi możemy bronić naszej neutralności? Ot kilku polityków ogłosiło neutralność żydowską, a wojska ukraińskie biją Żydów jako sprzymierzeńców Polaków, a ci znowu — neutralnym — ucinają brody jako ukraińskim sprzymierzeńcom. — W duchu dodawał rację Rutkowskiemu, bo irytowała go ta dziecinna neutralność ogłoszona przez grupkę żydowskich adwokatów. Nie wierzy adwokatom i nie lubi ich wszystkich. Poznał ich robotę jeszcze jako właściciel karczmy w Zbaraskiej Budzie...

Odbierali, tak długo i wytrwale — należne pieniądze jeszcze staremu Szmulowi Tortenowi, że koszta sądowe i honorarja adwokackie przewyższyły pretensje od okolicznych chłopów i ziemian. Hersz Torten ze spadku ulokowanego przez ojca u rozlicznych wierzycieli, nie otrzymał ani centa.

— Zabrali wszystko adwokaci — twierdził z uporem, są jeszcze gorsi od najgorszych wrogów... —

Dlatego politykę sjonistów zarzucał i nazwał ją polityką adwokacką, co znaczyło, że tylko kierownicy i inicjatorzy tego ruchu znajdą dla siebie bądźto posady w najrozmaitszych biurach partyjnych, bankach i delegacjach, a dla masy żydowskiej nie ma żadnej pomyślnej nadzieji w sjoniźmie.

Adwokat Eisenscher w okresie wojny polsko ukraińskiej, niema roboty w sądzie. Sprawiedliwość cywilna ustąpiła miejsce sądom wojennym. Adwokat Eisenscher jest cywilistą, to znaczy, że jest specjalistą od procesów cywilnych, umie napisać skargę, wie jak należy apelować od wyroku, a przede-

wszystkiem jest człowiekiem bardzo poważnym. Sędziowie nie mogą się oprzeć nudzie i senności, kiedy Eisenscher monotonnym głosem przywołuje do pomocy paragrafy. Adwokat Eisenscher, posiada jeszcze jedną właściwość, jest sumiennym, bezkompromisowym człowiekiem i od czasu do czasu podśpiewuje pod nosem jakąś melodję, wyskakującą ni stąd, ni z owąd, w najbardziej nieodpowiednich chwilach. Nieokiełzana przez Eisenschera, słabość, stwarza nastrój oczekiwania; w sądzie, przy rozprawach... czegoś co musi niechybnie nastąpić... Oczekiwania, półgłośnej przyśpiewki, uśmieszkiem konkurenta, Majbluma, zda się nawijanej na kłębek ironji. Eisenscher jest ideowym sjonistą i pragnie Tortena przekonać o słuszności swojej idei... Korzysta z każdej sposobności, aby z Tortenem porozmawiać o sprawach żydowskich... Znajduje ją w sobotnie popołudnia, w szynku Tauby Gottlieb, albo na ulicy zatrzyma Chaima, aby opowiedzieć jakąś nowinę lub o nowinie się dowiedzieć... A nowiny, to rozumie się pogromy Żydów, bo nic innego nie dzieje się, co by nie łączyło się pogromami i mordami.

— Dla nas niema tu miejsca... musimy się stąd usunąć. —

— Dokąd? —

— Do Palestyny. —

— Ne pomieści nas wszystkich...

— ale będziemy mieli centrum...

— I polityczną organizację w której wy doskonale się wyżyjecie...

— Co to ma znaczyć?...

— Całkiem poprostu... tutaj nie możecie być starostami, komisarzami... prezesami... ministrami,,, więc marzycie o politycznych organizacjach, które wam pozwolą osiągnąć godności i obowiązki — powtarzam i obowiązki — ambasadorów, ministrów, starostów... Uśmiechają się wam konferencje z ministrami i panującymi innych państw...

— a cóż to szkodzi panu?

— mnie nie szkodzi, ale masie żydowskiej nie pomaga, a sjonizm ma niby to rozwiązać kwestję żydowską —

— w Palestynie ją rozwiązuje —

— ale nie w golusie, a masy pozostają w golusie...

— dostaną się kieyś do Palestyny —

— my tego nie doczekamy —

— co my znaczymy wobec przyszłości narodu żydowskiego. Zresztą czy zna pan jakieś lepsze wyjście z straszliwej sytuacji, w jakiej pozostają Żydzi, a to specjalnie po wojnie...

Torten wzrusza ramionami, a jedyne oko mgłą smutku zachodzi.

— nie znam innego wyjścia, ale i w sjoniźmie nie widzę ratunku. Raczej to oszałamiającą trucizną sztucznie wytworzony, stan upojenia... odwrócenie uwagi nieszczęśliwych, od teraźniejszości w kierunku niemożliwej przysłości... —

Eisenscher, nie jest zadowolony z odpowiedzi Chaima Tortena, bo znowu nie może znaleźć argumentu dla zwalczenia wątpliwości podsuniętych przez Tortena.

— to samo już wystarcza, że masy zapominają o ciężkiej teraźniejszości... Ale równocześnie odczuwa adwokat niedociągnięcie ostatniego argumentu i nieukontentowanie...

Co mają masy z tego, że w parlamencie austrjackim istniał sjonistyczny klub. parlamentarny?.. Czy pomogli Żydom?...

Torten przypomina austrjackie czasy, które były tak inne od teraźniejszych... Eisenscher ten słaby argument przeciwnika wykorzystuje, aby wreszcie zatriumfować...

— Austrjackie czasy minęły. Dzisiaj ma rację ten, kto zasiada do stołu wraz z innymi o swojej racji głośno prawi... My Żydzi teraz zasiadamy do stołu na konferencjach pokojowych, uznają nas wszyscy — „i bez mała wszyscy... mordują"... przerywa dyskusję Torten... Spieszno mu do referenta aprowizacji Muzyki... z nim omówi również aktualności dnia i otrzyma przepustkę do Drohobycza na zakup nafty i parafiny...

Sobotnie popołudnia schodzą na dyskusjach z sędzią Rutkowskim.

Długie dyskusje w sobotnie popołudnia nie zbliżyły obu polityków. Rozchodzili się z pewnem nieokreślonem nieukontentowaniem w sercu. W następną sobotę znowu się schodzili. Wypadki i zdarzenia następujące bardzo szybko po sobie, w przeciwieństwie do zdarzeń przed wojną — wymagały koniecznie zdawania sobie sprawy z każdego ich ułożenia... Poprostu wszystko, co się działo zobowiązywało pojedynczego cczłowieka do wyciągania konsekwencji z każdej zmiany w ułożeniu faktów...

A zmiany dokonywują się szybko i nagle. Prędzej, aniżeli człek zdążył się ustosunkować do ktrótkotrwającej teraźniejszości... Teraźniejszość wojenna jest ułamkową częścią teraźniejszości pokojowej...

Torten po tygodniowych interesownych wędrówkach, w soboty, puszczał wodze swoim myślom, albo wyżywał się w rozmowach z Chaimem Epsteinem, czy z przesiadującymi w restauracji Tauby Gottlieb, mieszczanami, albo z radcą Rutkowskim... Oni wszyscy razem zastępowali dawnego przyjaciela, Mikołaja Antonowicza Markowa. Szukał go w nich wszystkich, bo nieraz za nim tęsknił.

Głównym środkiem dochodów kilku ukraińskich polityków była nafta i parafina. W Drohobyczu i Borysławiu panowała niepodzielnie szajka kilku „idealistów", szafując wedle swojego widzi mi się, naftą i parafiną. W tym samym czasie druga partja dyplomatów ukraińskich urzędowała we Wiedniu, mając za zadanie zaopatrywanie armji ukraińskiej, w oręż pochodzący z austrjackiego demobilu, także zarabiała na najrozmaitszych transakcjach bądźto z bolszewickimi Węgrami bądźto z rumuńskimi agentami. We Wiedniu urzędowali przedstawiciele ukraińskich republik w towarzystwie całej plejady grandziaży, a ciężki geszefciarski trud osładzały wiedeńskie tingeltanglówki.

Chłop ukraiński i garstka inteligencji, walczyli bez broni, bez naboi. Albo urządzali pogromy.

Hersz handlował naftą i zarabiał. Nie wierzył w trwałość rządów ukraińskich. Gromadził banknoty austrjackie, dolary, srebro i złoto.

— Potem przyjdzie Polska, a potem Rosja, a potem powstanie znowu Austrja.

— Poważam pana, panie Torten, rzuca się zaperzony Rutkowski... ale boję się, że pan zwarjował... jaka Austrja? Ta pańska Austrja już zdechła na całego. — Lubował się soczystemi wyrażeniami.

— Bez Austrji, panie radco, świat się nie uspokoi... Ona była idealnie zbudowana... Szkoda, że tego nie rozumieli sami Austrjacy. Proszę mi pokazać w świecie taki sam doskonały twór? Zlepek z kilkunastu krajów i kraików, świetnie się nawzajem uzupełniających...

— I pan mówi, że jesteś patrjotą? — Przygważdża go wreszcie sędzia Rutkowski.

— Ja tego nie twierdzę. Jestem starym człowiekiem, należącym do izraelickiej gminy wyznaniowej. Mogę również mieszkać w Nev-Yorku, jak i w Berlinie, wszędzie, gdzie nie biją Żydów...

Nie mógł sobie dać odpowiedzi na dręczące, go obecnie, bardziej, aniżeli kiedyś — pytanie — dlaczego biją i zabijają Żydów...

Z Mikołajem Antonowiczem nie omawiali tej kwestji. W ich warunkach nie była aktualną. Dopiero po wielkiej wojnie, Żydzi stali się widocznymi. Opadła jakaś wielka zasłona, otaczająca ich wszystkich razem i tych z Ameryki i z Azji i z Europy... Stali się widocznymi i narzucającymi się w oczy wszystkim. Wszystkim! Cały świat ich dostrzegł i cały świat się o nich co krok potykał. Dostrzegł ich Chaim Torten i czasami bywał dumny, kiedy radca Rutkowski, prawił o żydowskich rządach we Fran-

cji, Anglji, Ameryce... Niemczech i Polsce... O żydowskich wpływach międzynarodowych, o żydowskich konferencjach. Smutek go ogarnął i strach na wiadomość o lwowskich wydarzeniach listopadowych.

Do Zbaraża doszły wieści o pogromie we Lwowie. Ukraińskie dzienniki zasiewają kraj wiadomościami o wypadkach lwowskich.

Przy sztabach i rządach urzędują biura propagandy.

W duszach żydowskich zasieją żal i nienawiść dla Polski. Ostatecznie jest tych Żydów dość i mają wpływy. Ukraińskie pisma nie ogłaszają natomiast wieści idących z ust do ust przestraszonych Żydów, gdzieś z Proskurowa, Felsztyna i setek miast i miasteczek Ukrainy...

Wieści, wziąwszy się za ręce, ze strachem, lecą do Zbaraża, Skałatu, Tarnopola, Czortkowa, Stanisławowa, Stryja i rozsiadają się, przyczajając w głębi serc mnożących się i handlujących Żydów.

Starosta powiatowy w Zbarażu bardzo ceni Tortena, wydaje mu przepustki na przywóz nafty i soli, pozwala sprzedawać artykuły pierwszej potrzeby do miast, położonych po drugiej stronie dawnego Kordonu.

— Krzyczycie ciągle, że was biją i zabijają, a jest was coraz więcej — w żarcie przemyca starosta szczere przekonanie.

Torten zna starostę jeszcze z tych czasów, kiedy ten sprawował urząd sędziego w sądzie austrjackim, wie o nim, że przed wojną w — klubie towarzyskim — przegrywał pensje do koncypienta adwoka-

ta Kestena i Izaka Stocka. To było dawno, przed wojną... Wtedy sędzia obcował z inteligencję żydowską, a z Tortenem — niejedną noc spędziło się na grze w ferbla. —

Iwaneńko był pierwszym inteligentem w Zbarażu, który Żyda z Zbaraskiej Budy, Hersza Tortena zaszczycił, grając z nim w karty. To było dawno...

W klubie towarzyskim istniał pokój dla adwokatów, lekarzy i urzędników... Tu ogrywał koncypient adwokacji doktor Kasten, starego dyrektora szkoły ludowej, albo z paniami w labeta grał i flirtował...

Często odbywały się turnieje, Wieczny student praw, Izak Stock zwany „rebem", utrzymywał się z prywatnych lekcyj i z ogrywania bliźnich, pobierających każdego pierwszego pensje... Seanse karciane odbywane w pierwszych dniach miesiąca otrzymały od rebego nazwę turniejów... Po każdym turnieju, otrzymywała żona „rebego" miesięczną pensję... Banknoty są bardzo podobne do siebie, nie można było rozróżnić, która dziesięciokoronówka należała przed turniejem do sędziego Iwaneńki, czy dyrektora Marka, czyteż inspektora izby skarbowej Andrzejowskiego, albo nawet Hersza Tortena... Ten dawno należy do klubu. Grywał z początku w pierwszym pokoju z kupcami z Dawidem Długaczem, albo, Izakiem Weinzaftem. Czasami zbierała się partyjka złożona z podurzędników sądowych i pocztowych, do których dołączał się Torten... W pierwszym pokoju klubu towarzyskiego... gromadzili się — „mniejsi" — a w drugim pokoju zasiadali do stolików — „więksi". — Bibljoteka mieściła się w przedpokoju,

a bibljotekarzem był Stock. Klucz od małej szafki bibljotecznej leżał w niewidocznem dla oka ludzkiego, miejscu, w wydrążeniu podłogi sypialni Stocka... Upadł przy jakiejś sposobności pod łóżko bibljotekarza, a miotła gospodarnej żony „rebego", zapędziła go do jednego z licznych wydrążeń przegniłej podłogi... Członkowie klubu nie spostrzegli braku klucza od bibljotecznej szafy. Natomiast pewnego dnia okazał się brak — czwartej — ręki do ferbla, granego w pokoju — „wielkich" — ale na szczęście sędzia Iwaenńko dostrzegł w pierwszym pokoju Hersza Tortena, zatopionego w dzienniku. Torten czekał na partnerów, — w niedzielę zawsze się ktoś nawinie. — Iwaneńko po krótkiej naradzie z dyrektorem Markiem, doktorem Kestenem i „rebem", zaprosił Hersza na czwartego...

Od tego czasu Hersz grywał w pierwszym pokoju... Od Nakoniecznego przejęte maniery uczyniły go nietylko możliwym w kole małomiasteczkowej inteligencji, ale wprost pożądanym w każdem grającem towarzystwie, nawet w damskiem...

Przed wojną, dawniej do klubu należeli wszyscy, którzy wpłacali miesięczną wkładkę w kwocie jednej korony. Już niema klubu, a byli członkowie klubu, mieszkający w Zbarażu, nie rozmawiają ze sobą. Dyrektor Marek i sędzia Iwaneńko nie znają takiego języka, którymby się mogli porozumieć... Dyrektor szkoły ludowej Marjan Marek jest patrjotą polskim i nie przysięga na wierność rządowi ukraińskiemu. Od Hersza Tortena pożycza co miesiąca tyle, ile potrzeba na skromne wyżywienie siebie i starej służącej. Czeka na przyjście Polski. Wierzy

w zwycięstwo Polski, wraz z radcą Rudkowskim, z księdzem proboszczem, z majstrem szewskim Błochą i z wielu innymi, którzy na tajnych ze braniach komentują wiadomości, otrzymywane od jeńców, podchwytliwem, niewinnem, pytaniem zdobyte, od ukraińskiego oficera, albo najczęściej opowiedziane przez Hersza Tortena, mającego stosunki z władzami ukraińskiemi. Sędzia Iwaneńko jest starostą ukraińskim w Zbarażu, a Torten pierwszym kupcem i człowiekiem, z którym się chętnie gwarrzy.

To prawda panie sędzio (nie inaczej go tytułuje) Żydów jest dużo, bardzo dużo, ale bardzo dużo ich ginie...

— Wszyscy giną, panie dobrodzieju, i my musimy umrzeć, na to niema rady... —

— W pogromach... — kończy, dobitnie, Torten.

— Za dużo krzyku... więcej aniżeli potrzeba, a nasi nie giną na wojnie? —

— Krzyczą mordowani, bezbronni, panie sędzio, a inni milczą ze strachu. Najczęściej krzyczą mordowani bezbronni... już jakoś tak jest na świecie... człowiek zbrojny... nie boi się... —

— Mówcie sobie co chcecie, ale zajmujecie sobą cały świat. Macie taką naturę. Pan mnie zna, panie Torten, nie jestem antysemitą. —

Przez okna kancelarji starosty, przenika kilka promieni zachodzącego słońca. Ściemnia się dość szybko, ale słońce zachodzi po dniu wiosennym, więc z promieniami, wkrada się nieśmało jakaś nadzieja. Obaj nie wiedzą czego?

— No tak, ma pan podpisane przepustki. Czy to prawda, że pan wypłaca pensję urzędnikom Polakom... —

— A z czego będą żyli? — w pytaniu daje odpowiedź Torten.

— No tak, ja to rozumiem, ale... —

Natomiast długonosy Chaim Epstein, nie widzi ani Żydów, ani ich tragedji. Najwyżej w zaciekłych dyskusjach może dodać, że są ludzie, którzy sami nie wiedzą, dla jakiego powodu są zapisani w towarzystkie o szumnej nazwie „izraelicka gmina wyznaniowa"... Z tego tytułu ponoszą rozmaite koszty z tego powodu uważają, że są inni aniżeli wszyscy... i że są wybranym narodem. A tymczasem proletarjusz polski czy żydowski czy ukraiński... ginie z głodu proletarjackiego... głód jest jednego rodzaju, a bogacze z rozmysłu rozdzielają biedaków, aby tem łatwiej trzymać ich we władzy...

— To są brednie — oponował Hersz,— czy bogaci stworzyli sztucznie rozmaite mowy i różne zwyczaje... —

Chaim Epstein nie jest przygotowany na takie pytanie, obiecuje sobie znaleźć odpowiedź w żydowskich wydaniach dzieł, Bucharima, Lenina i innych.

XIX.

W miarę bogacenia się, corazto częściej nawiedzała Tortena pewność, że dużo wie, że jest mądry. Ta świadomość przynosiła ze sobą wyrozumiałość dla wad swoich i bliźnich... Nie zmienił swojego sto-

sunku do własnych dzieci, jakkolwiek wiedział, że nie jest wobec nich bez winy... Były dla nie bardzo obcemi, a oddalenie przyczyniało się coraz bardziej do zobojętnienia na głos krwi...

W ostatnich latach ogromnie zmądrzał Hersz Torten. Z niezwykłą łatwością rozprawiał na tematy polityczne, socjalistyczne.

To przyszło samo. Nie czytał mądrych ksiąg, tylko dzienniki. Łapczywie wchłaniał treść gazet i uogólniał zdarzenia i fakty. Filozofował. Nawet ogłoszenia w dziennikach dawały mu sposobność do wypowiadania uwag o moralności i ekonomicznem położeniu kraju.

Z sędzią Rutkowskim, z doktorem Eisenscherem, z chłopami, omawiał kwestje ogólne... najczęściej dalekie od osobistych potrzeb, wynikających z chwili.

Z Chaimem Epsteinem komunizującym blacharzem, prowadził długie rozpowy, najczęściej w szynku Tauby Gottlieb. Musiał z kimś dzielić się wrażeniami. Musiał mieć kogoś, by mógł, napęczniały mądrością, rozsiewać ją, jak kłos dojrzałe ziarna...

Bolszewik na urlopie — tak nazwano Chaima Epsteina... — przesiadywał całemi dniami w szynku. Nie pił, ani wódki, ani rozdolskiego piwa, bo nie miał pieniędzy. Grywał w szachy z młodymi ludźmi, którzy pili piwo, herbatę i zajadali przekąski i grali w szachy z Chaimem Epsteinem. Szynkarka tolerowała jego obecność, bo goście tego żądali. Był atrakcją, przyznawał się otwarcie, że jest komunistą i jako taki stał się przedmiotem żartu i drwin... Zresztą kochał się beznadziejnie w pięknej i wykształconej

córce adwokata doktora Glanza... Rozmawiał z nią kilka razy o socjaliźmie. Panna Halina Glanz za czasów rosyjskiej inwazji, nauczyła się języka angielskiego metodą Langenscheidta i przeczytała „Psychologję mas" Gustawa Le Bon, miała dwadzieścia lat i była skrajną liberałką... Dla dania dowodu swego liberalizmu, przychodziła do szynku Tauby Gottlieb i kilka razy dyskutowała z śmiesznym Chaimem Epsteinem... W domu o tem opowiadała przy obiedzie, a na wyrzuty ojca odpowiedziała rezolutnie i mądrze „czy mam tutaj inne rozrywki"?...

A Epstein cierpiał dla idei, przynajmniej tak sądził, W domu ojca swojego, starego chasyda, chełpiącego się pokrewieństwem, z starą tutejszą rabinacką rodziną, był ledwie tolerowany. Nawet żywienie syna, usprawiedliwiał zawstydzony swą troskliwością, ojciec okolicznością, że syn niema rozsądku w głowie. Najprawdopobniej miał rację, bo tylko warjat mógł w sobotę, na oczach Żydów, śpieszących do domu modlitwy — palić paierosy.

— Ostatecznie można palić papierosy w sobotę, ale w ukryciu — mawiali liberalniejsi współwyznawcy Epsteina. Chaim wrócił z niewoli rosyjskiej do domu zupełnie odmieniony. To znaczy wygląd zewnętrzny pozostał ten sam, długi, bardzo długi nos, wyłupiaste, zielone oczy i nieco rudawe, krzaczaste brwi, pozostały te same. Tylko mowa i dusza jego zmieniła się. Wiecznie prawił o kapitalistycznym wyzysku, o zemście klasy robotniczej. Był zresztą objektem żartu. Nie mógł otrzymać zajęcia, jakkolwiek znał się dobrze na blacharstwie.

Tylko prezes kahału, jednooki Hersz Torten traktował go przyjaźnie. Chaim był kamieniem, na którym ostrzył się rozum Hersza Tortena.

— Dlaczego nie opowiadasz nam, jak to się dzieje w Rosji? Już słyszałem o zemście klasy robotniczej... —

— Wycięli kapitalistów, wyrzucili ich z kraju...

— No dobrze i na tem koniec? pytam czy co z tego wszystkiego przyszło robotnikom? Czy lepiej się im powodzi?

— Nie! powodzi się im gorzej...

— Więc czego chcesz? Tylko nas wymordować? — Torten identyfikował się z kapitalistami. — Chaim Epstein na pamięć umiał wszystko, co dotyczyło celów i zadań komunizmu. — My robotnicy poświęcamy się dla przyszłości całego świata. Nic nie obchodzi nas obecny głód i nasze cierpienia i poniżenia. Wierzymy, że świat będzie inny i ludzie nie będą się wzajemnie wyzyskiwali... —

Tortenowi nie uśmiecha się perspektywa poświęcenia się dla przyszłego pokolenia, nie umie nawet przedstawić sobie w myślach, jakie ono będzie, a przedewszystkiem czem się będzie różnić od obecnego.

— Ból będzie ten sam? A głód ten sam? —

— Ludzie wszyscy będą syci... — prorokuje Chaim.

I ten kto będzie miał większy apetyt?... próbuje szydzić Hersz...

Chaim nie zna się na żartach, stara się przedstawić przyszły ustrój, wedle niewątpliwych recept

wypisanych w popularnych wydawnictwach komunistycznych. Jakie to wszystko jasne, wynikające jedno z drugiego. Chaim wiele czytał, Literaturę piękną i broszury polityczne, wszystkie tłumaczone na język żydowski. Natężał się przy czytaniu niezrozumiałych dlań zagadnień psychologicznych albo ekonomicznych... czytał bardzo dokładnie. Uczył się na pamięć słowa drukowanego. —

— Zobaczymy, że robotnicy europejscy nie będą mieli roboty. Zmniejszy się zapotrzebowanie dla produkcji europejskiej i robotnicy zdechną z głodu... — Do rozmowy wtrąca się „rebe" Stock.

Izak Stock jest syonistą. Założył stowarzyszenie Tikwat-Zion i codziennie miewa wykłady dla młodych Żydów. O pokoju w San Ramo i deklaracji Balfoura, mówi szeroko i kwieciście. Ale matki i ojcowie nie pozwalają swoim dzieciom należeć do Tikwat-Zion, bo Izak Stock, po wykładach o idei syonistycznej ogrywa młodych ideowców, w karty. Czasami przychodzi Stock do szynku Tauby Gottlieb, aby porozmawiać z ludźmi, z którymi się nie gra w karty, z Herszem Tortenem, Chaimem Epsteinem, radcą Rutkowskim i innymi.

Znają wszyscy Stocka zwanego „rebem", wiedzą o nim, że wiele o syońskiej sprawie mówi, ale nie jest idealistą. Łatwo przychodzi się mu zrezygnować z ideałów na rzecz choćby drobnych korzyści... Nie mniej chętnie się słucha jego efektownych przemów i dowcipów.

Objektem dowcipów Stocka, bywa Chaim Epstein, komunista i wróg nacjonalizmów...

Dyskusje bywają gorące, a uczestnicy oczekują zbawienia w rezolucjach... jakkolwiek rozdolskie

piwo i gorąca herbata dodają rozmowom charakteru nieobowiązującej pogawędki.

— Czasy wymagają uświadomienia całego żydowstwa, że jedyna dlań droga wiedzie do Palestyny... —

Wszyscy wiedzą, że Stock sam nie pojedzie do Palestyny, ale nikt z obecnych nie zarzuci mu tej konsekwencji.

Epstein powie tylko, że Żydzi są Europejczykami, że w ciągu wieków nabyli prawo istnienia w Europie.

,Wein bardzo się cieszy z odpowiedzi Epsteina. To są jego przekonania... Wein jest polakiem mojżeszowego wyznania. Ma dość własnych kłopotów ale zapomina o nich w szynku Tauby Gottlieb. Przychodzi tam codziennie z swoim przyjacielem Mieciem Godowskim, sekretarzem Rady Powiatowej, — obecnie nieczynnej — Miecio Godowski jest jedynym człowiekiem w Zbarażu, który bez zastrzeżeń wierzy w polskość Weina... Zresztą nie obchodzą go wcale kwestje polityczne. Lubi spokój i piękne niewiasty. Z Weinem mają wspólne upodobanie... w literaturze pięknej, a Wein posiada dużą — jak na stosunki Zbaraskie — bibljotekę... Godowski stara się, jaknajprędzej wypić swoje piwo, pragnie wyciągnąć Weina z szynku... chce dostać nową książkę do czytania... W trakcie wypijania piwa, układa w myślach plan „wyciągnięcia kości“ na kanapie — nie pójdzie dzisiaj do pani Hali — będzie czytał, Żeromskiego „Zamieć“ pożyczoną od Weina, pewnie uśnie, a matka przykryje go pledem... jak zwykle... dobrze i spokojnie...

— Nam Żydom należą się prawa narodowe... jesteśmy mniejszością narodową... —

Wein nie może się powstrzymać od głośnego wyrażenia wątpliwości czy Żydzi są narodem...

Jakie są nasze cechy narodowe? Ani ziemia, ani język, ani specyficzna kultura? —

— Niech się pan popatrzy do lustra... a przekona się pan o swojej odrębności... Zresztą my chcemy być Żydami...

— Ale nie jesteśmy... ulegliśmy asymilacji...

— stare bujdy... będziemy pionierami europejskiej kultury w Palestynie...

Epstein i żydowscy młodzieńcy, synowie kramarzy i handlarzy nie wiele rozumieją z dyskusji, bo Stock i Wein rozmawiają po polsku „wysokim stylem", ale wystarczy kilka uwag Stocka, rzuconych w stronę audytorjum, po żydowsku, aby wszyscy się dowiedzieli, że Wein jest dziwakiem, człowiekiem bujającym w powietrzu... szczery chłop... ale przeczy oczywistym faktom. —

Epstein wierzy w prawdziwość wywodu Weina, zna je zresztą, bo bardzo często o tych kwestjach rozmawia z Weinem, co prawda nie zgadza się z Weinem, jeśli idzie o socjalizm, ale tu są inne sprawy...

Torten przysłuchuje się gorącej dyskusji, jednak o Żydach nie lubi mówić w publicznym lokalu... To są sprawy bardzo bolesne i... niebezpieczne.... Ukraińcy niby to pierwsi przyjęli do wiadomości istnienie żydowskiej narodowości, ale pierwsi poczęli rżnąć Żydów... lepiej o tem nie mówić... Co innego z Epsteinem pożartować... o bolszewikach... Sprze-

czka grających w szachy, o jakieś uchybienie przepisowi piece-tuchée przykuwa na chwilę uwagę dyskutujących... korzysta z tego Godowski i prawie gwałtem wyciąga Weina z szynku.

— Po jakiego licha daje się pan wciągać w beznadziejne rozmowy? —

— Pan tego nigdy nie zrozumie, co to jest kwestja żydowska. W powieści Żeromskiego, ktoś mówi o żydostwie, że to jest garb...

— przesada...

— przesada? Kiedy biją za to, że jestem Żydem, kiedy zamykają drzwi urzędów... szkół... pracowni? Przesada?

— co to pana obchodzi? Żyje pan? Dziękuj Bogu i spokój!

— ale to wszystki strasznie boli...

Godowski jest śpiący, piwo go usypia... już nie pójdzie do Weina po książki.. tylko wprost do domu podąży... położy się na kanapie...

Po odejściu Weina, w szynku Tauby Gottlieb zostaje Izak Stock — niby na placu boju triumfator — kilkoma uwagami na temat małżeńskich niesnasek u Weinów do reszty ośmieszy swojego politycznego przeciwnika. Nikt z obecnych nie sprzeciwia się rebemu, boją się jego ostrego języka... Nawet Torten zostawi całe towarzystwo i pójdzie do sędziego Rutkowskiego. Jedyny Samuel Ptaszek chciałby Stockowi powiedzieć, że sprawy prywatne Weina nie mają nic wspólnego z dyskusją o Żydach, ale nie odezwie się,,, brak mu odwagi do wystąpienia przeciw Stockowi... Rebe go uczył, wprawdzie padł przy egzaminie wstępnym — ale był przecież uczniem Stocka... Ptaszek jest już szóstoklasistą...

Nikt w mieście nie wierzy jego zapewnieniam, żc zdał z pięciu klas gimnazjalnych do szóstej. Przed dwoma laty zjawił się w Zbarażu w podartym mundurze legjonisty...

— Na razie legjony rozwiązane, nie bijemy się więcej dla Austrji i Niemiec... to znaczy nie wszyscy wrócili — ostrożnie informuje — ale mało już tam zostało... Biłem się tęgo pod Rafajłową... mam całą masę poświadczeń, a w międzyczasie zdałem z pięciu klas gimnazjalnych... —

Ptaszek jest objektem ironicznych uwag zbaraskiej inteligencji... nie wierzą mu, że bił się w szeregach legionistów i że zdał egzamin. Samuel Ptaszek nie mówi dobrze po polsku, więc wkuwa w głowę, słowa z jakiegoś słownika... Ptaszek wie czego chce i zna doskonale swoje możliwości... Są olbrzymie. Narazie nie umie dobrze mówić po polsku, więc nie dyskutuje z rebem... a po żydowsku niechce rozmawiać... O brygadjerze Piłsudskim mówi Dziadek...

Gdyby nie częste przebywanie w towarzystwie Stanisława Pająka, nie tolerowaliby Samuela Ptaszka nawet najpośledniejsi bywalcy szynku Tauby Gottlieb... Ptaszek nie zauważa, ani ironji, ani docinków... Czeka i uczy się polskich słów z słownika. Stanisław Pająk upaja się dziejami legjonów, w relacji Samuela Ptaszka. Żandarmi ukraińscy mają ich obu na oku, może by ich aresztowali, ale mają wiele roboty w powiecie, bo dezerterzy rabują dwory, pomagają im chłopi i utrudniają tak nielicznym żandarmom pracę nad uspokojeniem terenu. W sobotnie popołudnia gra się w szachy w szyku Tauby Gottlieb i wiedzie polityczne rozmowy.

XX.

Ukraińcom źle się wiedzie.

Atamany, sotnyky — szumne tytuły. — Przepustki wydawane, przez ministrów, nierespektowane przez strażników gminnych. Chaos bez broni, bez idei. Beznadziejność, a przedewszystkiem tęsknota za chatą i spokojem. Osamotnienie zbudzonego, przedwcześnie z marzeń, dużego, młodego narodu i brak poczucia odpowiedzialności u małej garstki karjerowiczowskiej inteligencji...

Klęska i ślepe pragnienie zemsty.

Z bliskiej dali słychać trajkot karabinów maszynowych. Chaim Epstein myślał sobie, że tak siecze mięso.

Wojna... śmieszna historja... skończy się i wszysko będzie takie same, jak było. I on był żołnierzem — walczył, a teraz spokojnie sobie po polu chodzi i myśli o przeszłości. Patrzy na wszystko z góry... Poczuł głód, pójdzie do domu. Z lasku położonego na wzgórzu, tuż obok żydowskiego cmentarza, wiedzie drożyna do miasta... Na polu nie widać nikogo. Skończyły się roboty wiosenne. Chaim sam nie wie dlaczego, przypomniał sobie powiedzenie — słyszy jak trawa rośnie... — Zaśmiał się nad samą myślą, jakby to wyglądało, gdyby pola pokryte były ludem słuchającym, jak trawa rośnie. Tuż obok pierwszego domu od strony cmentarza, spotkał jednookiego Hersza Tortena... Torten wyczekuje z niecierpliwością powrotu pięciu fur. Wyszedł za miasto. Wysłał do Proskurowa pięć wozów z naftą. Opowiadają, że tam silnie napierają bolszewicy... Właściwie niema

przyczyny do niepokoju... Jaśko doskonale radzi sobie. Już nieraz wydostawał się z opresji. — On ma żydowską głowę — twierdzi, kontrahent Tortena, doświadczony kupiec Wołodja Rabinowicz z Proskurowa. Mężem zaufania Hersza, jest syn Horpyny, Jaśko Kostomacha, mądry, dorodny młodzieniec.

Chaim nie przystąpił do Tortena, nie miał dzisiaj cierpliwości do dyskutowania, a Hersz miał swoje troski. Epstein zauważył, tę troskę, na obliczu bogatego Tortena. Aż do samego domu o nim myślał. Porównywał go z innymi Żydami i nie mógł się oprzeć uczuciu sympatji dla tego burżuja. Pewnie jeszcze nie przebrzmiałe echa, lekkomyślnej przeszłości Hersza, niosły za sobą jakąś sympatyczną melodję.

Zatroskane oblicze Hersza, zaniepokoiło Chaima Epsteina, nie mógł pojąć dlaczego w duszy jego znienacka wyrosła potrzeba pomożenia staremu Tortenowi...

W czem pomóc?

Sam samotny, bardzo głęboko odczuł w pewnym momencie pojedynczość i oderwanie, od jakiejś sympatycznej całości, Tortena.

O ile w lepszem położeniu, znajduje się człowiek ideowy? Tylko ta nieszczęsna miłość, ku córce adwokata Glanza, gnębi go. Jakże się ośmieszył swojemi oświadczynami? Starał się o tej chwili zapomnieć. Są ważniejsze kwestje, aniżeli sprawy sercowe.. nędza... wojny... nowe jutro!

Torten nie miał żadnego ideału...

Jest mądry, ale to raczej smutek przynosi, aniżeli radość...

Epstein miał dobre oko, miał czułe serce.

W tym dniu, czuł Hersz Torten, że to wszystko, co ma, jest niczem wobec osamotnienia. Wiedział o tem i nie mógł temu zaradzić. Pomyślał o dzieciach... Nie miał dla nich języka, nie umiał do nich przemówić...

Bogaci ludzie z natury rzeczy są sami. Jest ich niewiele. Mogą inaczej żyć, aniżeli reszta ludzi, więc się różnią od reszty. Sterczą ponad innymi. Ziąb samotności go przeszedł.

Najprawdopodobniej, niepokój o los towaru z Proskurowa, był przyczyną smutnych rozmyślań Hersza.

Po jakiego licha są te wszystkie wojny? Gdyby wszyscy zmądrzeli i spory załagodzili, polubownie. Albo najlepiej by było, gdyby ci, którzy są wojowniczo usposobieni pobili się ze sobą, a reszta niechby sobie spokojnie żyła.

Przypomniał sobie jedną z wielu rozmów z Mikołajem Antonowiczem Markowem... wtedy on Hersz Torten pragnął wojny... Właściwie nie pragnął — sam siebie usprawiedliwiał — uważał tylko za konieczne połączenie małych państewek w jedno wielkie państwo... Co komuś przyjdzie z tych wszystkich niepodległości, jak one wprowadzają tylko nowe wojny?

Tymczasem Markow miał rację, losy wojny są dziwnie zmienne. Już niema Rosji, ani Austrji, natomiast pozostały liczne drobne państewka. Wraz z powstaniem tych państewek, urodziły się nowe paszporty, przepustki... i granice.

No tak i nowe posady, zaszczyty... i nowe obowiązki...

Dużo nowych parlamentów i posłów i senatorów... Ludzie biją się o to wszystko i przelewają krew.

Rozmyślania o wielkiej wojnie, nie usunęły niepokoju o los fur, wysłanych do Proskurowa.

Ech... Jaśko sobie poradzi. Zdaje się, że jeden koń trochę kulał, nie powinien był pozwolić na zaprzęganie tego konia.

A zresztą głupstwo... ile on właściwie ryzykuje? Niewielką część swojego majątku... Reszta całego dużego majątku... gotówka, jest w domu w sienniku. Tam nikt się nie dostanie! Drzwi dobrze zaopatrzone w kłódki...

Jeszcze nie przemyślał do końca sprawy, przechowywania swojej dużej gotówki, a opadł go w tej chwili całkiem dle niego nieznany niepokój o swoją gotówkę...

Czy one są tam pewne w domu? W sienniku?. Zwiątpienie, poczęło się wsączać w duszę Tortena...

Głupstwo pieniądze! Mogę żyć bez pieniędzy... Starał się zahartować, zaniepokojony umysł... Dlaczego nie dałem przynajmniej jednej trzeciej części dzieciom? Niechby nawet nie chcieli oddać, ale przynajmniej oni byliby coć mieli z tego...

Drobny szczegół; wysłany towar do Proskurowa stanowił, małą część majątku — majątek cały pozostawał pod jego opieką — spowodował wzniesienie się ponad swoje ja, krążył niby jastrząb nad sobą i innymi. Ponosiło go myślami od siebie do innych ludzi, innych zdarzeń.

Był pełen złych przeczuć.

Gdyby umiał bardziej wnikliwie, przyjrzeć się

swoim myślom, wsłuchać się w swoje własne pulsowanie krwi, dowiedziałby się, że myśląc o wszystkiem innem, przedewszystkiem ogarnięty jest uczuciem strachu. Przyszło ono nagle. Jeszcze kiedy mijał Chaima, nie było go, a teraz opadły, go beznadziejny smutek i strach. Przyszło samo ze siebie, jak mgła.

XXI.

W mieście gromadzą się liczne oddziały wojska. W uroczystym dniu święta Połączenia Ukrainy Zachodniej i Zadnieprzańskiej. Przyjechali z Zakordonu delegaci cywilni i wojskowi w asyście oddziału Szepielowców.

Popołudniu ksiądz proboszcz, sędzia Rutkowski i aptekarz i Baum grają w preferansa. Dowcipkują na temat dzisiejszej uroczystości. Aptekarz opowiada o swojem spotkaniu z obecnym starostą...

— Dziwny człowiek, znamy się nie od dzisiaj, był mądrym sędzią, dzisiaj zaczepia mnię na ulicy i pyta, czy się cieszę, że obie Ukrainy się łączą w jedno wielkie państwo? —

— I co pan na to odpowiedział... — podchwytliwie, zagaduje Rutkowski. Nie ma zaufania do reklamowanej przez Bauma polskości. Cenił więcej Tortena, bo ten nie udawał...

Aptekarz, poirytowany tonem, Rutkowskiego, odciął się niezgrabnie, dając temsamem dalszy powód do podejrzeń. Proboszcz, nie chce stracić partnera do preferansa (nie było nic innego do roboty)

stara się ułagodzić sytuację... — a niech się cieszą... udało im się... niema co mówić... —

— Ja jednak wierzę, że przyjdą wojska polskie — twierdzi uporczywie, zdetonowany aptekarz.

Hersz Torten uważał Bauma za głupca, mawiał o nim, że aptekarz uważa za swój obowiązek, pchać się do panów i wmawia w nich, że jest Polakiem, traktuje ich wódką i winem, a oni piją z nim wódkę i wino, a poza plecyma go wyśmiewają.

Baum w rzeczywistości, życzył szczerze zwycięstwa wojskom polskim. W głośnych i cichych życzeniach, stawiał jednak warunek adresowany do Boga, do Losu, aby przy tej okazji nie bito Żydów. Bał się o siebie, o aptekę, o swoją rodzinę. Bał się pogromów.

Preferans zajął trzech graczy, proboszcz skrzyczał Bauma, że nie podegrał z najkrótszego koloru... — mizerka była łapana, wypuściłeś pan, radcę... była łapana nasza zorinka. —

Przedrzeźniał rebego. On miał dzisiaj przemowę w bożnicy i zgromadzonym Żydom prawił o swobodzie ukraińskiego narodu, która — jak jasna zorinka — zeszła na naszem niebie i zajaśniała nam wszystkim. — Dla zademonstrowania wdzięczności ukraińskiego narodu, za głęboko odczutą i wyrażoną przez rebego radość, uderzył go, wracającego z bożnicy jakić żołnierz kilka razy po twarzy... Rebe, mianowicie nie umiał inaczej mówić, tylko po polsku i za to właśnie został doraźnie ukarany, przez ukraińskiego żołnierza, urażonego w swem patrjotycznem uczuciu. Zdawało się, że na tym incydencie skończy się dzisiejsza uroczystość.

Śmiali się z tego ksiądz, proboszcz i sędzia Rutkowski (Baum nie śmiał się).

Opowiadali sobie o tem przedwieczorem uspokojeni sklepikarze.

Djak uświadamiał, oficera, stojącego kwaterą o stosunkach w mieście... Mówiło się o tem, o owem. Nieobowiązująco... O Tortenie także padła wzmianka i innych kupcach...

Djak znał oficera, wiedział, że „zakordoniec" sympatyczny, rozśpiewany człowiek. Oficer z oddziału atamana Szepela. opowiadał natomiast o wielkich bogactwach Ukrainy, o niezwyczajnych i ciekawych rzeczach, mówił także, że nie pochwala pogromów...

XXII.

Natomiast Mikołaj Antonowicz Markow, nie uznawał żadnej uroczystości, bez bicia i rabowania Żydów. Z rosyjskiego wachmistrza, stał się uświadomionym wachmistrzem oddziału atamana Szepela...

Nie kosztowała go ta przemiana ani jednej, nocy bezsennie spędzonej na rozmyślaniach.

Poczucie łączności narodowej z Ukraińcami, jeszcze wczoraj pogardliwie przez niego przezywanych „Chachłami", weszło do jego świadomości. Weszło w okolicznościach przez historyków, w doskonałych pracach o rewolucji rosyjskiej, ujętych — mistrzowsko uchwyconych — (tak brzmi recenzja w najpoczytniejszych dziennikach).

Był czas, kiedy Mikołaj Markow tail swoją przynależność do Mołorosów. Inne były czasy, inne okoliczności.

Zmienił się. Nabrał przedewszystkiem wiary w siebie samego. Był przekonany, że cokolwiek czyni jest słuszne, a przedewszystkiem zupełnie zrozumiałe. Dobrze mu było z tem przeświadczeniem. Przebył wielką wojnę. Prócz kilku ran zresztą lekkich, nie miał większych nieprzyjemności. Raczej działo mu się dobrze.

Po zranieniu Hersza Tortena, na początku wojny, odczuł na chwilę, ale tylko na chwilę, niesmak. Nic więcej, ale i to prędko minęło.

Muzyka wojskowa, śpiewki żołnierskie i żarty, a przedewszystkiem otoczenie, zmieniły go w człowieka wojny. Ludzie w mundurach, konie, armaty, karabiny maszynowe... aparaty telefoniczne, aparaty telegraficzne, aparaty lotnicze. Sztaby... sztab główny, sztab dywizji (słowa brzmią poważnie), sztab pułku... Front... Komenda pułku... Uczucie bezpieczeństwa.

Wreszcie prawdziwa wojna. Walka pozycyjna, ataki, pogoń, jeńcy, strzelanie do wychylającej się z okopów głowy. (widziało się głowę... punkt i strzelało się w punkt). Nagrody za celne strzały... odznaczenia... Uczucie pewności, że nie zginie...

Po regularnej wojnie, ujętej w prawo nadane w Hadze... przyszła wojna domowa...

Wojna domowa. Już się wyłaniają z chaosu, reguły i prawa wojny domowej. Nie było tylko narazie czasu, na międzynarodowy zjazd, aby wzajemnie pogwarantować sobie, co wolno, czego nie wolno

i ewentualnie pozostawić kilka wypadków, których nie wypada uczynić.

Pewnie, że tak zwane popularnie wyszywanie lampasów będzie umieszczone w rubryce, — nie wolno. — Zdzieranie skóry na szerokość lampasów.

Sprzeciwiają się temu przedewszystkiem względy estetyczne. Nie pomoże nawet obrona narodowo i klasowo świadomych poetów.

Wojna domowa, nauczyła pozatem Mikołaja Antonowicza rabować. Przyszło to, samo ze siebie. Zdarzyło się, że w jakimś nawpół spalonym pałacu natknął się na kasetę z srebrnem nakryciem stołowem i pomyślał, że ktoś inny zabierze, więc sam wziął. To było na początku wojny, nakrycie odesłał do żony. Z czasem sumienie się zahartowało. Brał co się dało. Wyrywał z rąk. Spieniężał i złote monety gromadził wtorbie przytroczonej do siodła. A jednak Mikołaj Markow, typowy okaz zdrowego, o inną, świetlaną przyszłość walczącego bojownika, nie znosił wyuzdania w okrucieństwie.

Nieraz zdarzało mu się zamordować człowieka i ewentualnie zabrać jego mienie (gardził rzeczami, najchętniej brał pieniądze). Czynił to spokojnie bez irytacji, bo tak musiało być. Nie może sobie przypomnieć wypadku, by się spotkał kiedykolwiek z oporem.

Przeczytał w jakiejś patrjotycznej gazecie, artykuł, podpisany przez narodowego poetę, że z posiewu krwi, wyrośnie nowa przyszłość. Więc przelewał krew... Przysłowie ludowe, tak prosto tłumaczy, że gdzie drwa rąbią, lecą drzazgi...

Pewnego razu nasunęła mu się, doskonała analogja, że jego ofiary giną, jak bydło przeznaczone na rzeź, jedne z szeroko rozwartemi oczyma, a jedne odwrócone, jakgdyby się wstydząc, padały od kuli...

W Proskurowie używał noża...

Zresztą w wojnie domowej, muszą wszyscy brać udział, wszyscy muszą coś ze siebie dawać. Nie mogą jedni spokojnie siedzieć, a drudzy walczyć... A Żydzi chcieliby spokojnie siedzieć...

Do Zbaraża przyjechał, jako delegat wojsk Ukrainy Nadnieprzańskiej z setką kozaków.

XXIII.

Zaczęło się od niewinnej sprzeczki Marty Kypybidy z Chaną Schmetterling, przekupką, zbierającą się do odejścia do domu.

Wieczór zapadał szybko. Przedwiośnie usadowiło się na świecie i w kościach starej Chany. Nie chciała już więcej targować, a Marta upatrzyła sobie ją, właśnie Chanę, nie jej brata Jidla, któryby chętnie sprzedał pół kwaterkę krup... Jidel nieproszony, mierzy pół kwaterkę krup, nie zarobił dzisiaj, bo zarobili tylko przekupnie, sprzedający słodycze i kwas. W dniu uroczystym, połączenia dwóch Ukrain, Marta chce kupować tylko u Chany i krzyczy na nią — ty hawrejko, dla kogo chowasz krupy? dla Polaków? —

Obrażona Chana uspokaja siebie samą, myśli, że Marta już znowu się upiła, więc śpiesznie składa do koszyka, resztki wiktuałów i oddala się .

Marta nie daje za wygraną, ściga ochrypłym głosem Chanę — dla Polaków chowasz, żydowska jucho?... —

— Dla siebie chowam, a ty będziesz żarła gówno... ty szmato... ty żydowska pomywaczko! Ty... suko...

— Ja ci pokażę, kto będzie jadł gówno... żydowska jucho... —

Są słowa, które określają stosunek człowieka do człowieka, ale nie te, których używa Marta Kypybida i Chana Schmetterling... Taki djalog nie różni się od całego szeregu podobnych rozmów, prowadzonych przez Martę z Chaną, czy Esterką, czy Surką, gdyby nie to nagłe, ostre zahaczenie o żydowskość juchy...

Żydowska jucha, odgrywa ciekawą rolę w dziejach wyzwalania się narodów. Mówią o niej czytelnicy gazet w Ameryce, w Europie. Mówią zarumienione dziewczynki na balach na — rzecz ofiar pogromów. — Mówią ich ojcowie, bracia i kochankowie z okazji transakcji bronią — dajcie spokój... potrzeba wam krzyku i rozgłosu... — Żydowscy agenci Greka Bazylego Zacharoffa. A delegaci, krajów walczących o świetlaną przyszłość, mówią o żydowskiej jusze w wiedeńskim kabarecie — Fledermaus — ot tutejsze żydowstwo bawi się... psia juchy! U nas chwała Bogu niema takiej wolności, Żydowskiej wolności... —

Mówią, o niej sztaby armji Petlury, Trockiego, Bałachowicza, czasami z okazji jakiejś protestacyjnej noty. Mówią o niej żołnierze i partyzanci, tej części

Europy, która w konwulsjach rodzi nowe, wolne państwa. Mówią o żydowskiej jusze i przelewają ją...

— Jesteście, jak kamienie przy drodze, nie należące do nikogo. Przeznaczeni dla drogi. Jesteście przedmiotem potrącania i deptania... Nie macie wśród nas krewnych — tłumaczył delegacji żydowskich notabli, minister spraw wewnętrznych w Kamieńcu Podolskim.

Minister był przed wojną koncypientem u żydowskiego adwokata w Rawie Ruskiej, jest człowiekiem liberalnym, ale niema władzy nad duszą małorosyjskiego chłopa.

Pierwszy rząd wolnego, ukraińskiego państwa, pierwszy na całym świecie, uznał naród żydowski, jego prawa, (obowiązki dawno zostały uznane), ale ukraiński żołnierz szedł do boju za wolność, pełen nadziei rabunku Żydów. Nienawidził ich zresztą i na każdym kroku dawał im to odczuć...

Minister spraw wewnętrznych, były koncypient żydowskiego adwokata w Rawie Ruskiej, miał rację, Żydzi są, jak kamienie przy drodze, przeznaczone do potrącania i deptania... Liberalny minister w Kamieńcu Podolskim, jednak nie całą miał rację, bo Żydzi różni ą się od kamieni. Są wrażliwi na ból. Krzyczą, gdy boli. Są wrażliwi. Nawet cokolwiek przewrażliwieni.

I tak Żydówka Chana Schmetterling, zalała potokiem złorzeczeń Martę Kypybidę, reagując na nowy, nieznany u Marty, ton. Marta zaraziła się nienawiścią do Żydów...

Za odchodzącą ku swojemu domowi Chaną, leciał chrapliwy, ale donośny głos Marty — Żydowsko

jucho... żydowskaaaaa. Marta oszalała ze złości i bezsilności, bo Chana znikła nie sprzedawszy krup... Marta nie była pijaną, tylko ją w gardle dusiło, coś zniżało się, to znów podchodziło do gardła i dławiło... Katulkało się jakby kula... W pewnej chwili, poczęła drżeć na całem ciele i osłabiona upadła na ziemię. Ciało Marty bezwładnie legło u stóp przerażonego Jidla, a głos jej coraz silniejszy potężniał, coraz bardziej chrapliwy trójtonowy leciał po rynku — Żydy szczo wy choczete wid mene...! Żydy szczo wy robyte zi mnoju... Żyyydyyy! —

Marta znana była z swej krewkości i z tego, że w czwartki i piątki bieliła ściany i szorowała podłogi u Żydów. Licho jej za to płacili, a i ten drobny pieniądz przepijała.

Od niedawna, swarliwa baba, poczęła psioczyć na Żydów.

Kto sobie co robi z ględzenie starej pijaczki? Ona sama, byłaby przyszła, jak zwykle w piątek, do Chany wyszorować podłogę, zarobić trzydzieści centów, gdyby nie to, że ten mały incydent wydarzył się w dniu Święta Połączenia Ukrainy Zachodniej z Ukrainą Nadnieprzańską.

Skończyły się uroczystości... Nabożeństwo, przemowy, defilada i — polepszony — żołnierski obiad. — Nastrój doskonały — melduje szef propagandy generałowi Kunzemu. Melduje po niemiecku, bo generał nie zna języka, swojego narodu.

Nawet denerwujące wystrzały armat, o kilka mil oddalonych od Zbaraża, w tym dniu umilkły. Nic nie zamąciło uroczystego nastroju.

Żołnierze spacerują. Grupki związane pochodzeniem z jednej i tej samej formacji, albo pokrewieństwem duchowych właściwości... plączą się w miejskim parku. Kobiety Zbaraża krążą strojne i uzbrojone w uśmiech, podkreślają wiosenny bieg krwi w ludziach i soków całej natury.

— Jest naprawdę pięknie na świecie — upewnia swojego towarzysza sentymentalna panna Mania... Oboje znajdują się poza miastem, na drodze, wiodącej do dworca. Na chwilę tylko przypomni wiatr północny, że są na pograniczu zimy i wiosny.

— Gdyby nie wojna... — westchnął towarzysz szczęśliwej panny Mani, córki pocztmistrza bez posady. (Ojciec panny Mani, nie zdecydował się przysiąc na wierność rządowi ukraińskiemu, tak samo, jak sędzia Rutkowski i wielu innych).

— Gdyby się to wzajemne mordowanie skończyło — zaryzykował nieźle widziany w kołach ukraińskich adwokat Olpiński. Siedzi się w kawiarni, przy kuflu złego piwa, gawędzi się na temat — gdyby... —

— Gdyby Polacy nie otrzymali posiłków, siedzielibyśmy tu aż do lata, a potem moglibyśmy może zawrzeć pokój... a tak trzeba będzie ewakuować miasto... Generał Kunze jest beznadziejnie usposobiony. Robił co mógł, aby utrzymać linję... Najbardziej go irytuje dzisiejsza uroczystość i pozorna apatja wojsk polskich. Wywiad zupełnie nie dopisuje. Szkoda mu wszystkiego, a przedewszystkiem pensji (odsyła ją regularnie do Zurychu, banki nie płacą procentu, ale pieniądz jest pewny) i szkoda władzy... Tak się zżył z możnością rozkazywania. W armji austrjackiej do-

wodził dywizją, a tu jest główno-dowodzącym. Właściwie on jest główno-dowodzącym, a nie ten zarozumiały nauczyciel szkoły ludowej, narodowy bohater... — Narodowy bohater — wymknęła się półgłośna myśl... Najbardziej go irytuje to idjotyczne połączenie obu armij — Galicyjskie formacje zarażą się niesfornością, tamtych zadnieprzańskich pogromczyków. —

Nie obchodziły go pobromy, ale niesubordynacja, jako konieczny efekt pogromów i rabunków. — Takie zabawy są dobre w czasie pokoju i co najważniejsze urządzane przez cywilów... —

Gdyby Polacy nie otrzymali posiłków...

XXIV.

W rok po pogromie w Zbarażu Marta piła jeszcze więcej, aniżeli przed ostatnim pogromem. który zaimprowizowali Ukraińcy... W jakąś niedzielę, po pijanemu opowiedziała Pyłypowi Olejnikowi, z którym — żyła na wiarę — i z którym wiecznie prowadziła boje, że — ten ataman, który stał u djaka... dał jej dużo pieniędzy, może sto karbowańców.. On jej kazał krzyczeć — Żyde szczo wy robyte zi mnoju.. — Kazał krzyczeć tak około szóstej, jak zmrok zapadnie...

XXV.

Marta wrzeszczała na całe gardło... Żydy szczo wy robyte zi mnoju... Głos ten bolesny niewieści za

pośrednictwem, kunsztownie zbudowanego aparatu usznego, dochodzi do świadomości małej grupki żołnierzy... Zmęczeni podążają, przez rynek, ku dworcowi, skąd w nocy pociągiem pojadą na fron bolszewicki... Zmęczeni, chcą na dworcu wypocząć przed nocną podróżą... Ciekawie przypatrują się kościołowi na rynku. Oglądają wystawy małych sklepików, kwadratem osiadłych na dużym placu...

Reklamowe blaszki „Schichta mydła z jeleniem" i puste pudełko z papierosów upiększają okna, a wiatrem poruszane drewniane okiennice skrzypieniem zawiasów natrętnie się przypominają, obojętnemu przechodniowi.

Ale ktoś w ukraińskim języku błaga o pomoc... Biegną co tchu... Oni... Inni. Jedni zarażają się biegiem od drugich... Biegną żołnierze i uciekają Żydzi... Pierwsza grupka zmęczona dzisiejszą defiladą i perspektywą nocnej mitręgi w pociągu, dopada miajsca, na którem przed chwilą leżała Marta. Już się podniosła, a widząc się przedmiotem zainteresowania corazto większej masy zbrojnych mężczyzn, odchodzi wrzeszcząc nieprzerwanie — szczo wy choczyte wid mene. — Chrapliwe wołanie Marty szło przez rynek i natrętnie domagało się pomocy... A ona leciała za swoim głosem, który ją wyprzedzał zapalając, oblane wódką, dusze żołnierzy garnizonu i gości z nad Dniepru...

— Jakaś warjatka — tłumaczy ktoś z pierwszej grupki... — Niema ochoty do uczestniczenia w zbiegowisku...

— Nie słyszysz? Ktoś woła o pomoc — z drugiej grupy oponuje podniecony głos.

Żydzi biją naszych, śmielej rozlega się głos człowieka w dużej papasze na głowie i szerokich niebieskich szarawarach...

— Warjatka, mówię wam, krzyczy... nic się nie stało... — Głos tonie w tłumie.

— Sam widziałem, nic się nie stało... chodźmy... —

Dzisiejsza nocna jazda wcale go nie cieszy... Chciałby się wyspać... Tłum rośnie. Nie rusza się, czeka hasła. Coś musi nastąpić... Z żaru idącego od masy ludzi, musi buchnąć pożar. Wiedzą oni wszyscy, nic nie mówiąc o tem, co ma nastąpić. A jednak wszyscy wiedzą, że to zbiegowisko, zainicjowane przez — Boh jeho znaje koho... — nie rozejdzie się jak mityng... Wie o tem miejski rakarz, który tu się znalazł przysłany przez nieznajowego reżysera, jakby miał rolę do odegrania, w sztuce teatralnej. Śpieszno mu do niej. Jemu i dwom braciom Huzarom przedsiębiorcom, czyszczenia wychodków i znanemu złodziejowi Andrejce. Im wszystkim wraz z żonami, siostrami, kochankami i dziećmi. — Czego stoicie — pyta basowy głos Andrejki. — Mordują Ukraińców... biją naszych... Żydzi biją naszych... —

Ktoś wystrzelił. Wycelował w blado zieloną szybę kościelnego okna.

— Strzelają... zasadzka... strzelają Żydzi — Głos Andrejki, jak piłka leci, z rąk do rąk, tajemniczą siłą, uświęca ręce... Swoistą modulacją potężny, potrząsnął masą ludzi i rzucił nią, aby się rozpadła na drobne aktywne ułamki energji biegnącej przed siebie, naładowanej elektrycznością, zdolnej do rozszczepienia wszystko, co na swej drodze spotka...

Już krzyk Marty, wypędził Żydów z placów i ulic do wnętrza sklepów i domów.

Pierwszy wystrzał z karabinu, oznajmił Żydom, że to tego piątku, odbędzie się ciągle grożąca (jakże znana ze słyszenia) zabawa, a chrześcijanom poradził wywiesić czemprędzej wizerunki świętych.

Mikołaj Antonowicz, poraz któryśtam, dziwił się dlaczego ci głupi ludzie nie wywieszają świętych obrazów, tak jak chrześcijanie czynią to zwykle w takich wypadkach. Pani radczyni, wdowa po naczelniku urzędu skarbowego, wywiesiła wizerunek Matki Boskiej Łaskawej, jeszcze w pierwszym dniu wielkiej wojny i obraz ten wisi na wszelki wypadek. Ona sama umarła, jedna córka uciekła z Moskalami, a obraz wisi na froncie domu i strzeże go. Prawnik, prywatny nauczyciel, rebem zwany, ten sam, który będąc z przekonań wybitnym miejscowym nacjonalistą żydowskim, wygłosił w dniu dzisiejszym przemowę na cześć wolności ukraińskiego narodu, „która jako — zorinka zijszła.. —" zdaje się, przez zapomnienie nie zdjął, wizerunku Matki Boskiej Łaskawej, kiedy, jako nowy lokator objął dom, w którym niegdyś mieszkała radczyni...

— Głupi naród — ale w tej chwili, tak samo jak zwykle, przychodzi inna refleksja, broniąca Żydów przed zarzutem głupoty — nie mają pod ręką świętych obrazów, a zresztą... — Ostatecznie rozprasza resztki wątpliwości, Mikołaj Antonowicz. — Jak łatwo można przekonać się, czy ktoś jest Żydem... —

Weseli chłopcy ci z Zakordonu. W malowniczych strojach narodowych. Tym nie potrzeba mundurów o szarej barwie ochronnej, które, pod pokry-

wką pożyteczności, wymyśliła tchórzliwa zachodnio-europejska nacja. Barwy, niebieskie, żółte, czerwone i ich tysiączne odcienie bawią oko i duszę... (zresztą w wojnie domowej nie stosuje się metod Clausewitza). Czupryny wymykające się z pod rosyjskich czapek i kaukaskich papach, upewniają, że żołnierze nawiązują do tradycji kozactwa i że tych tradycyj gotowi bronić do ostatniej kropli krwi...

Wojsko Batka Petlury, atamana Machny i Szepela.

Wystrzały karabinowe, tu i ówdzie oddawane, przez chętnych rozrywki żołnierzy, wielce niepokoją generała Kunzego, kwaterującego u rzymsko-katolickiego księdza. Katastrofa grozi lada chwila — nie wie tylko z której strony wzmocnieni posiłkami Polacy uderzą — a tu rezerwy bawią się w pogromy.

— Wymykają się z rąk dowództwa... do djabła z uroczystościami... — nerwowo mówi do adjutanta.

Wysłane na miasto patrole nie mogą uspokoić podnieconych wypadkami żołnierzy... Ciemno, trudno rozróżnić formacje i szarże... Z rzadka rozsiane światła lamp naftowych w domach cofniętych w głąb ogrodu, zamieszkałych przez chrześćjan nie wystarczają do oświetlenia, niby cieni snujących się pojedynczych postaci, uzbrojonych w broń i siekiery...

Z początku tylko chęć podroczenia się z tchórzliwymi Żydami, skierowuje żołnierzy do sklepów. Właśnie chcą kupić papierosa — w handlu żelazem... prowokuje ich, gorączkowe zamykanie okiennic i spuszczanie żaluzji. Widzą tylko ręce z trudem pa-

nujące nad bezlitosną materją. Żelazo i drzewo stawiają opór, trzęsącym się ze strachu dłoniom.

Nie można się chować i naoślep, zmuszać do funkcjonowania, precyzyjne zamki i kłódki. Niezdarność tych rąk śmieszy widzów i zaprasza wprost do zażartowania. (O Marcie i Andrejku zapomiało się zupełnie)...

Dla żartu usiłują, niektórzy przeszkodzić zamykaniu, żelaznych okiennic. Przerażony właściciel sklepiku, spostrzega w powietrzu zawieszoną kolbę pomiędzy futryną a drzwiami, a tak niechciał tego widzieć... Usiłuje wypchnąć kolbę (chce wierzyć, że to tylko przywidzenie), ale but i szarawy petlurowca równocześnie się wsuwają. Próba usunięcia niepożądanego gościa i reakcja gościa w formie uderzenia kolbą, schodzą się w tym samym momencie. W dziewięćdziesięciu dziewięciu wypadkach na sto, kolba napotyka na jakieś ciało. Newtonowskie prawo akcji i reakcji, poświadczone donośnym krzykiem mężczyzn albo wrzaskiem kobiet lub łoskotem padającego ciała.

Pierwszy żydowski ból w dniu dzisiejszym i pierwszy żydowski krzyk.

Przewrażliwiony naród!

Wdarłszy się do ciemnego sklepu, Kozak skwapliwie szuka zapałki, pragnie się rozejrzeć w sytuacji... dziwi się, że ludzie krzyczą jak opętani, przecież ich nie bije i nie czyni żadnej krzywdy. Chce się czegoś napić, może mają kwas?... Wreszcie, kiedy wrzask nie ustaje, daje się unieść złości... Poczynają go drażnić ludzie, już nie krzykiem, ale swoją obecnością. W świetle zapalonej świeczki patrzy na

nich, jakby pierwszy raz w życiu widział tych ludzi, jakgdyby nie urodzili się na tej ziemi, która i jego żywi. Jakgdyby nie tęsknili za tą okolicą, która jest przedmiotem jego tęsknoty. Nie wiedzieć skąd przychodzi do niego pewność, że jest ich sędzią.

Atmosfera sądu! Nie broni się temu przeświadczeniu, a zapach jakiejś przewiny tych ludzi, mąci zdolność rozważania, czy ich winą jest już sam fakt ich istnienia?... Jednak nie chce mu się ich karać. Wie, że są warci, by ich zabić, ale sam nie chce przeprowadzać egzekucji jakkolwiek wyrok jest wydany i prawomocny. Rozgląda się, a wzrok jego zatrzymuje się na komodzie... W tej chwili mieszkańcy domu umilkli... zrozumieli, że mają darowane życie. Wykrzywione ze strachu usta ojca, szepcą dostosowaną do podobnej sytuacji modlitwę, a może szepczą słowa bez związku... matka zaczyna wierzyć, że kozak nie będzie przeszukiwać całego domu i nie odkryje pochowanych w piwnicy, jej córek... i dziewcząt sąsiadów. Kozak widzi na komodzie ustawione szklanki i kieliszki, otaczają, niby pisklęta kwoczkę, pękatą karafkę... Zaczyna go irytować porządek. — Bodzą go kolce wspomnień o pługu i niedzielach na wsi. — Opodal stół przykryty jasną serwetą, a na nim pleciona bułka sobotnia... Wreszcie wściekły strąca z komody szkło, nie może znieść stałości, bezczelnej pewności siebie, błyszczących świeczników na ścianie i jakieoś obrazka. Drażni go widok rzeczy ustawionych, czy zawieszonych w jakimś celu. On nie pozwoli być spokojnie rozsiadłym gospodarzem, temu wstrętnemu brodaczowi. Trzaśnie go w żydowską mordę, ręką, kolbą, odtrąci kopnięciem

w brzuch, grubą, starą Żydówkę (przed wojną była w Karlsbadzie) czepiającą się jego nóg. Nic go nie obchodzi ponowny wrzask bitych stworzeń, nie rozumie (na szczęście) po żydowsku słów, wypowiedzianych w chwilach największego znęcania się nad matką. Jenta, Suro nie wychodź, siedź tam gdzie jesteś! Słowa, skierowane do córek, pomieszane z krzykiem bólu, uchodzą uwagi, sądzącego i karzącego Kozaka. Słyszą je sąsiedzi, okryci ciszą i ciemnością. Czekają swojej kolei, pilnie notując natężenia krzyków starej Małki, jęków Mechla jej męża. Życzą sobie i im, by krzyczeli. Strasznie się boją nagłego umilknięcia...

Tak się rozpoczął pogrom domów, zamieszkałych przez Żydów...

XXVI.

Romantycznie usposobiony towarzysz panny Mani, Stanisław Pająk, napróżno starał się uchwycić tragiczną nutę dzisiejszego wieczoru... Nie odczuł żadnej tragedji... był szczęśliwy...

Po spacerze odprowadził piękną Manię do domu, w tym samym momencie, w którym Andrejko przemówił do żołnierzy. Stanisław nie skorzystał z zaproszenia ukochanej i nie wszedł do jej domu. Nie zachęciły go nawet — dzisiaj mamy flaczki. — Właśnie dlatego nie wszedł. Raziły go nawet te flaczki... dzisiaj, kiedy jest szczęśliwy! Nie poszedł. Wrócił do domu na rybę po żydowsku. Nie jego winą, że matka przy obiedzie, zapowiedziała ulubiony

smakołyk na wieczerzę. Popołudniu był szczęśliwy. Teraz się coś dzieje w mieście... Przedewszystkiem ma pełne uszy stuku... bezustannego stukotu uderzeń kolb, drągów w drewniane bramy i żelazne żaluzje. Nie słyszą tego stukotu żołnierze, pracowicie w pocie czoła zdobywający sklep za sklepem, dom za domem, nie słyszą go, bo uwagę skierowaną mają w kierunku wnętrz. Nie słyszą tego samego stukotu Żydzi. Oni czują stukot, każde uderzenie, każde szarpnięcie, to już cios... bolesny i konieczny... Stanisław Pająk, stoi obok stajni i uszyma łowi rzeczywistość z miasta... Ze stajni nadchodzi miarowe ścieranie końskiemi zębami owsa. Jakgdyby ktoś prał. Monotonię stajni, przerywa na chwilę brzęk łańcucha. Zresztą cisza i pranie...

A z miasta dochodzi szum zdarzeń, Stanisław wie, że odbywa się pogrom. Przyleciały dwie córki trafikanta, rodzice sami nie śmią nadużywać znajomości, zostali w sklepie, ale przysłali córki... Stanisław jest zadowolony, że jego rodzice okazali się lepszymi, oni prości chłopi, od sąsiada nauczyciela...

Sam słyszał, jak nauczyciel odprawił szwagra Hersza Tortena, Szmula Eisena — boję się, nie chcę mieć kłopotu... wy i tak dacie sobie radę... — Eisen dał sobie radę. Zapłacił Andrejce i ten przechował całą rodzinę...

A jednak nie dostrzegł Stanisław w tem wszystkiem niczego tragicznego. Nie widział bezpośredniej groźby niebezpieczeństwa, widok szwagra Tortena nie wzbudził litości... Może się bał, ale nie okazywał strachu ani on, ani żona i syn... zresztą wiedział, że nie zabijają Żydów, tylko rabują... — Osta-

tecznie dość mają pieniędzy... djabli ich nie wezmą, — tłumaczył nieraz ojciec Mani, (był dłużny Tortenowi sporo pieniędzy)...

Chwilami ogarniało go wrażenie, że wśród nieprzebytej ciemności odbywa się festyn. Pojedyncze wystrzały przypominały — wiwaty — sygnalizowane przez rozbawioną młodzież. Nawet wrzaski nie wzruszały Stanisława. Było w tych wrzaskach coś wyuzdanego. Jakgdyby ktoś udawał krzyk.

Czasami notował prawdziwy śmiech męski i żeński. Wśród stukotu i nieustannego krzyku, który, jak płomień wysoko strzeli i nagle zagaśnie, aby w innem miejscu zajaśniać — nabijał się śmiech ten, zasłyszany w ciemności ulicy, na obojętny kolec świadomości Stanisława. Stanisław rozumiał, że uliczne dziewczyny znalazły odbiorców. Albo służące żydowskie, poświęcają się za swoich chlebodawców... — Może w ten sposób uratują od zgwałcenia panie i panienki. — A służącom wszystko jedno. Do ślubu nie muszą być dziewicami. — Przypomniała mu się jego Mania. Jej miękkie, jedwabiste ramiona, do których dzisiaj popołudniu dotarł poprzez przeszkody z paltocika i bluzki... Oblało go ciepło na wspomnienie całusów, i w tej chwili ogarnął go niepokój o nią... Wybiegł...

W aptece jasno świeci się lampa. Szeroki — „rundbränner" na 50 cm. — pożera bardzo wiele nafty, skarży się często pani aptekarzowa — oświetla skuloną postać laboranta, zawzięcie czyszczącego wagę. Czterech żołnierzy stoi na straży apteki i przestraszony aptekarz. Wynajął sobie straż za dziewięćdziesiąt pięć rubli (ze stu wydali resztę)...

Aptekarz boi się oddalić któregoś ze straży, ale stara się, by czterej wynajęci żołnierze wpływali na najbliższe otoczenie — niech dadzą spokój temy Żydowi z naprzeciwka, on biedny ledwie zarabia na życie handlem rybami. — Perswazja aptekarza odnosi skutek. Po pogromie udowodni, że uratował miasto, a rybak poświadczy...

XXVII.

Nad oknami domu, zamieszkanego przez Izaka Stocka, wiecznego studenta praw, zwanego rebem, zawieszony wizerunek Matki Boskiej Łaskawej, strzeże domowników. —

XXVIII.

Mikołaj Antonowicz nie bierze udziału w dzisiejszej zabawie. Ma zgagę. Zjadł coś tłustego. Zajdzie do apteki po sodę. Pozatem ogarnia go niesmak. Brak organizacji pogromu, razi jego, w ciągu lat, wyrobione poczucie porządku.

Konstatował, że niema planu. Djabeł nie rozezna w nocy, który żydowski dom. Przechodzi obok kilku żołnierzy, którzy przed chwilą, wyszli z szynku Tauby Gottlieb. Pijane słowa padają, jak duże krople letniego deszczu i znaczą w duszy Markowa zapowiedź nowych wzruszeń.

— Można się zabawić... ciemno tam, ale gdzie ręką capniesz tam znajdziesz babę... Na pociemku, jak na loterji... wygrasz starą, albo młodą... —

Jeszcze nie zdaje sobie sprawy, jakiego rodzaju potrzeba, rodzi się w nim, kiedy słyszy słowa żołnierzy...

Żołnierze i jacyś nieznani cywile w milczeniu wynoszą z czeluści chat i domów tłumoki i podają sobie wzajemnie, mieniają, gubią, darowują komuś, kto na ulicy się szwenda bez tłumoka. W milczeniu znikają w domach, gdzie wrzask ich wita. Nic sobie nie robią z krzyków i błagań. W milczeniu zdają się spełniać wielką misję, tylko ruch ramion, albo grymas zniecierpliwienia daje poznać zainteresowanym, że muszą tak... nie mogą inaczej... Mikołaj Antonowicz Markow, okiem znawcy lustruje dzieje tego wieczoru.

Partactwo! Krzyki niewiast złościły pogodnego Mikołaja Antonowicza — Czego one wrzeszczą? Czy to pomoże? Zabawka, nie pogrom. — Zaśmiał się, widząc, jak Żydówka, szamocąc się z Kozakiem, odebrała karakułowe futro... — Po głowie kolbą, bracie. — Żołnierz posłuchał, Żydówka znikła wraz z futrem, w któreś z chałup... — A czort z nią i tak nie będę tego nosił. —

— Zabawka nie pogrom, — poraz wtóry, zauważa Markow... — nawet nikogo nie zabito... Ot, dziecinna zabawka... —

On widział i brał udział w prawdziwych pogromach... Tam nie szło o rzecz tylko o ludzi... O ludzką śmierć... To była organizacja...

Czego się one drą te djabelskie Żydówki...

Ach Żydóweczki. W tej chwili się dowiedział, że to jego nieukontentowanie w duszy, to tęsknota za kobietą...

Nie był bardzo łasy na wdzięki niewiast, wolał ich biżuterję, ale dzisiaj opanowywał go coraz silniej nastrój, jakże znany z innych pogromów. Tęsknota za kobietą...

Zaniosło go na peryferje miasta... Chałupy zamieszkałe przez miejskich chłopów, stoją rzędem, puste i ciemne. Mieszkańcy, zdolni do dźwignięcia dźbełka, są teraz na rynku... Pozostały niemowlęta i chorzy staruszkowie i ludzie, którym sen jest milszy od pogromu. Zdrowy sen, zdrowych ludzi. Reszta na rynku w mieście...

Domki śpią, otulone ciemnością i zielenią. Chrześćjańskie przedmieście śpi spokojnie, nigdy nie przyjdą żydowskie wojska.

Nawet psy nie wyją...

Markow sam nie wie, skąd się tu wziął... przeszedł przez mostek zostawiając za sobą miasto, wystrzały, stukot rozbijanych drzwi... wrzaski i w tej chwili wiatr przyniósł z miasta krzyk niewieści i umieścił go w uszach Markowa.

— Czego u djabła krzyczą te Żydówki. — Przypomniał sobie, że są Żydówki, że wartoby się za jakąś oglądnąć. Przyzwyczajone do ciemności oczy dostrzegły drobny niepokaźny szyldzik.

W chłopskiej chacie mieszkała Żydówka. Czarną Chanę znają wszyscy z tego, że — zeszła na psy.

Mąż jej ślusarz poszedł na wojnę w kilka dni po ślubie, a Chana miodowy miesiąc spędziła z Moskalami. Już ona taka była! Lubiła chłopa i nie zważała na opinję, zresztą pozostała bez środków do życia. Przeniosła się na przedmieście. Niepozorna mleczarenka, służyła za miejsce schadzek dla

żołnierzy i dziewczyn z ulicy. Czarna Chana dość szybko się zestarzała, a przebyta ospa pozostawiła ślady na szerokiej twarzy. Nie była ponętną, nadawała się jednak na właścicielkę burdelu. Hersz Torten dał na ten cel pieniądze. Wkrótce mleczarnia Czarnej Chany stała się legendarną jamą rozpusty, a młodzieńcy zbarascy pełni niezdrowej fantazji, snuli najśmielsze marzenia, na temat, co się tam u Czarnej Chany dzieje... Sami nie śmieli zajrzeć do mleczarni, bo była miejscem przytułku dla żołnierzy, a z żołnierzami niebezpiecznie współzawodniczyć o łaskę kobiet.

W mieście pogrom, a Chana zamknęła wcześniej mleczarnię, zgasiła światło. W ciemnościach siedziała w strachu nadsłuchując się corazto wzmagającym się krzykom, czy też słabnącemu natężeniu głosów bitych i rabowanych.

Mikołaj Antonowicz Markow wiedziony instynktem i umiejętnością poznawania innego układu firanek czy ustawiania kwiatów na oknie, aniżeli w chłopskich chatach... zastukał.

Chana nie chce otworzyć, obawia się dzisiejszego wieczoru, jakkolwiek oddalenie od miasta nie usprawiedliwia tej obawy. Ogarnęło ją przemożne uczucie jakiejś przewiny. W pewnej chwili skrzyżowała się myśl o karze boskiej z świadomością własnych grzechów.

Zeźlony Markow dobija się do drzwi natarczywiej, coraz silniej, aż ustąpiły pod naporem podważających ramion.

Krzyk przestrachu, a potem potok lękliwych, pełnych perswazji słów przywitały Mikołaja Mar-

kowa. Po mowie poznał że Żydówka, mignęła mu myśl, że się nie pomylił — a ręce poczęły szukać na oślep kobiecego ciała.

XXIX.

Szum niespokojnej rzeki, tuczonej corazto większemi dawkami topniejących, górskich strumyków, zagłuszył pełzające po duszy Tortena uczucie niezadowolenia. Roztopiło się wraz z lodem w czarnej wodzie płynącej, niepowstrzymanie, koniecznie jak czas.

Stoi na moście i patrzy przed siebie. Wygląda fur z Proskurowa.

Most zda się płynąć na wysokiej wodzie i myśli Hersza biegną wraz z falą w tem miejscu, w tym punkcie, gdzie on, samoistny człowiek, konstatuje istnienie rzeki i słyszy jej mowę. Pragnie do kogoś się odezwać, powiedzieć coś, co ma wytłumaczyć wszystko... Wszystko. Nie jego troskę, nie uczucie samotności, ani nazwy wsi, w której światełka z chat oznajmiają, że mieszkańcy coś czynią, to co jest naturalne, dyktowane przemianą materji i jej konsekwencjami, tylko jednem wielkiem słowem, ująć całość. Stworzyć ją na nowo.

Wraca do miasta. Nie omija już kałuż. Czuje, że woda wdarła się do trzewików... W tem usłyszał wystrzały, a w jakimś punkcie drogi, rozróżnił krzyk... Jeszcze nie wie, co to znaczy, nawet się nie zastanawia... Nic w tem dziwnego, ktoś strzela, ktoś krzyczy... takie to codzienne. Dopiero przechodząc

obok żydowskiego cmentarza dowiaduje się o wszystkiem... Długonosy Epstein stoi na nagrobku rabina cudotwórcy, obok niego snują się niby cienie, kilkoro ludzi. W ciemności nie można rozróżnić osób, tylko widoczne łamanie dłoni, białych dłoni i milczenie garstki uciekinierów, powiedziały wszystko Tortenowi.

— Dzisiaj przyszło? — Ledwie dosłyszalny szept Epsteina odpowiada. — Nic nie wiem co się tam dzieje? Tam są moje siostry! —

— Tam są moje pieniądze — pomyślał, prawie głośno Hersz Torten.

I poczęła się tłumić myśl po głowie Hersza — tam są moje wszystkie pieniądze... moje pieniądze... wszystkie moje pieniądze... —

Wyrwał się przytrzymującemu go Epsteinowi. Pobiegł w stronę miasta, do krzyku, do strzałów, do pogromu... Pobiegł do swoich pieniędzy... Zapomniał o niebezpieczeństwie, grożącem, ze strony żołdactwa. O niczem innem nie pamięta, tylko myśli o uratowaniu swoich pieniędzy.

Puls bije sto dwadzieścia uderzeń na minutę, sygnalizując strach. Dostał się do pierwszych domów przedmieścia. Nieoświetlone domy postawione na swoich miejscach zdają się urągać człowiekowi w ruchu, strachu i niepokoju o pieniądze.

XXX.

Torten przechodzi obok mleczarni Czarnej Chany, w tej chwili, kiedy z nieoświetlonej sieni wychodzi pijany i zgorszony Mikołaj Markow. Rozcza-

rował się. Płomyk świecy wystarczył, aby zamiast upragnionej kobiecości, zobaczył dziobatą, tłustą Czarną Chanę.

— Po jakiego djabła darłaś się w niebogłosy... powinnaś jeszcze dopłacić... ścierwo... —

Chana milczy, pragnie gościa mieć za drzwiami. Postanowiła ani jednem słowem nie rozdrażniać pijanego wachmistrza. Z świeczką w ręce wyprowadza Markowa. Nikły płomyk świecy, pada na sunącego się chyłkiem Tortena...

Oczy pijanego Markowa przychwyciły Żyda w czarnych okularach, bojaźliwie tulącego się do ściany przeciwległego domu... a ochrypły ze złości głos przygwoździł Hersza do naświetlonej promieniami świeczki lepianki. Nieruchomo skulona postać brodata (a la Edward VII) w czarnych okularach wsiąkła w białe tło ściany, chałupy naprzeciw szynku Czarnej Chany. Spłaszczyła się w filmową postać na ekranie. Zanim Hersz Torten zdołał w myśl szybkiego dyktatu rozumu, jakąś stosowną kwotą, ułagodzić miłosne rozczarowanie Mikołaja Antonowicza, ten nie wiedzieć z jakiego powodu zauważył ironiczny uśmiech na twarzy Tortena.

— Czego się śmiejesz bydle? — Głos znajomy... błyskawica wspomnień wraz z piorunem wystrzału trąciły Hersza Tortena ku ziemi...

Mikołaj Antonowicz Markow, ochłonął po oddaniu strzału... Spokojnie, bez pośpiechu umieścił browning do futerału umieszczonego przy tylnej prawej kieszeni, oddał mocz, poczem nękany zgagą oddalił się w kierunku miasta zostawiając omdlałą Czarną Chanę i skulonego, ociekającego krwią z nogi, Hersza Tortena...

XXXI.

Nad ranem, szarzało, gdy z pobliskich siół przybyli chłopi, na wozach, konno i piechotą, doznali nieprzyjemnego rozczarowania...

W mieście panowała cisza, a na rogatkach stali strażnicy broniący wjazdu — musicie czekać do rana... sprawdzimy przepustki... —

Wracali klnąc kogoś nieznajomego, który ich omamił nadzieją łatwego zarobku...

Tylko Jaśko Kostomacha, syn Horpyny Kuź, sprytny dorodny młodzieniec miał przepustkę. Wracał z Proskurowa i przywiózł pięć fur towaru... Wjechał do miasta wraz z kilkoma innymi sprytnymi gospodarzami, którzy potrafili ujść uwagi policjantów...

Mieli ze sobą worki...

XXXII.

Chaim był sam w polu. Spragniony powietrza, wybiegł z swojej kryjówki. Za wszelką cenę powietrza. Oddycha głęboko. Odczuwa straszliwy ucisk w tyle głowy. Jakgdyby ktoś miętosił kopystką od bielizny... Miętosi... miętosi... bezustannie... Chaim Epstein olbrzymim wysiłkiem woli, stara się rozeznać miejsce, na którem się znalazł, nie wie jakim cudem.

Stoi na pagórku daleko od zabudowań powiatowego szpitala. Dokładnie poznaje szpital po prawej ręce, a po lewej żydowski cmentarz. Poznaje,

więc nie zwarjował. Szybko rozumuje. A on myślał, że tam w chacie Jewdochy Frankowskiej zwarjował.

Tymczasem poznaje wszystko dookolusienka, uspokaja się samem twierdzeniem, że nie zwarjował. Tylko ten straszny ból głowy co chwili mąci zdolność rozumowania.

Chwilami ustaje ból głowy.

Ciekawie rozglądał się naokoło siebie. Uderza go nowością; stary znany widok... — tak, zgadza się... mieszkał u Jewdochy Frankowskiej. Już kilka miesięcy zerwał z domem swojego ojca... Pogrom? Zgadza się... Ukraińcy rabowali w dniu Święta Połączenia... Chaim Torten ranny u Czarnej Chany i niespodziany huraganowy ogień artylerji polskiej. — Kontrolował siebie samego.

Przez pięć dni i pięć długich nocy nie wychodził z swego pokoju. Obawa trzymała go uwięzionego w śmierdzącej chałupince Jewdochy Frankowskiej. Miała męża, mówiono jednak w mieście — dom Jewdochy Frankowskiej... dzieci Jewdochy Frankowskiej. — O mężu jej nie wiele wiedziano. I zabili ją i dwóch chłopaczków... Dlaczego się bał, dlaczego się pochylał za każdym wystrzałem armatnim? Przecież był sam kiedyś na froncie. W okopach nie okazywał strachu, ani nawet w czasie ataku na bagnety. A teraz przez cały czas atakowania Zbaraża, przez wojska polskie, ogarniała go szalona obawa przed śmiercią. Przemierzał ciasny pokoik wynajęty od Jewdochy, raz to małemi, raz większymi krokami i głośno ze sobą samym rozmawiał. Chwilami pieścił siebie, słowami, zasłyszanemi od matek usypiających małe dzieci. Wtedy szeplenił...

Synu... moje małe dzieciątko... lulaj chłopacku... a. a. a. koty dwa, szare bure.. Kołyszące a-a-a-a-a sprawiały ulgę.

A czasem nadchodziło go wspomnienie swojej nieszczęśliwej miłości ku córce adwokata Maibluma. Wtedy opanowywała go wściekłość i rzucał słowa bez związku, a jednak dla niego zrozumiałe. Chłostał siebie samego piekącemi słowami.

Bestja... zwierz... o miłości mówić z kwiatem.. kwiatuszek... zwierz... Całowania ci się zachciało? Skurwysynu! wrzeszczał na całe gardło, aż przelękniona Jewdocha pukała do drzwi zamkniętych, aby się dowiedzieć, że mu nic nie jest, że czyta głośno.. Jewdocha wiedziała, że kłamie, bo nie mógł czytać w ciemnościach, a nie wolno było palić świateł... Nieustanna strzelanina... W ostatnich trzech dniach armaty waliły bez przystanku...

Granaty pękały niedaleko chaty Jewdochy. Poraniły dużo osób i zwierząt w sąsiedztwie. A jednak ludzie nie bali się, kręcili się po dworze i oddawali się swoim codziennym zajęciom.

Frankowska doiła krowy i przynosiła mu mleko. Przez uchylone drzwi podawała mu mleko i chleb. Czasami usiłowała nawiązać rozmowę z Chaimem, opowiedzieć o zdarzeniach w mieście. Ale nie chciał z nią mówić... o niczem słyszeć...

W dzień śpiewał sprośne piosenki wojskowe, albo na pamięć przypływały żydowskie piosenki, śpiewane w okresie dzieciństwa w chederze.

Wszystko możliwe czynił, by nie słyszeć huku armat i trajkotu karabinów maszynowych.

A jednak przedostawały się do jego świadomości z daleka donośne okrzyki hurra! hurra!!!

Wiedział, co to znaczy.

Idą do ataku na bagnety...

I jeszcze bardziej go przenikała obawa o swoje życie...

Iskierka samokrytycyzmu tlała w nim i zmuszała na chwilę do zastanowienia się nad, tą swoją niezwykłą obawą śmierci, ale nie na długo to wystarczało. Ogarnął go strach przed czemś nieuniknionem. Całe jestestwo Chaima przepełnione było jedną, jedyną świadomością, że się coś strasznego stanie.

Ostatniej nocy, piątej z rzędu nieprzespanej, nie mógł nie słyszeć coraz to bliższego krakania maszynowych karabinów. Jewdocha przedpołudniem powiedziała, że Ukraińcy się cofają.

Coraz bliżej słychać wystrzały karabinowe, już artylerja zrzadka bierze udział w bitwie. Teraz ludzie sami się załatwiają ze sobą przy pomocy bagnetów, kolb i granatów.

Wiedział co to znaczy. Był na froncie i nieraz przychodziło ruszać do ataku na bagnety... Jeszcze za rekruckich czasów nauczono go... dźgać i cofać się... dźgać i cofać się... Rozumiał, że bitwa zbliża się ku rozstrzygnięciu, że się skończy strzelanina.... Nie opuszczała go jednak pewność, że stanie się coś strasznego.

Ostatniej nocy.

Klęknął przy niskiem okienku i krótkowzrocznemi oczyma patrzył przed siebie...

Gdzieś przez uliczkę przewalały się od samego rana grupy ludzi i wozów... Przeszły... Ucichło...

Chaim uspokoił się, zapomniał o gnębiącem go przeczuciu.

Ostrożne stukanie do drzwi w sieniach, rzuciło Chaimem i równocześnie przywróciło niepokój i pewność nieszczęścia.

Nie otwierano. — Widocznie śpią. Jewdocha z dziećmi... —

Stukanie się powtarza... dłuższe, ale spokojne i miarowe jak się puka do drzwi gabinetu burmistrza w Zbarażu, albo u sekretarza starostwa, któremu się przynosi zrobioną wanienkę blaszaną. Poruszenie w chacie Frankowskich i głos pytający.

— Odkrojtie dweri... — męski głęboki, bas zdaje się prosić...

Ani chwili wahania. Słychać kłapnięcie usuwanego rygla, — Spasiboh — i kroki kilku ludzi opierających się o karabiny. I cisza...

Chaim słyszy nieledwie przelewanie się własnej krwi w żyłach... i dławi się szalonem biciem serca.

Dręcząca cisza upewnia go coraz natarczywiej, o nieszczęściu. Chciałby wylecieć i wzywać pomocy, krzyczeć na głos, pomocy!... pomocy!...

Ale nie może się ruszyć, ani dobyć z siebie najcichszego głosu.

Unieruchomiony nagłą niemocą klęczy pod okienkiem i naraz słyszy straszliwy, przejmujący krzyk — ludy... ludy... szczo wy robyte... ludy — i po sobie w równych odstępach czasu następujące szczęknięcia pięciu wystrzałów.

Naliczył wyraźnie pięć wystrzałów.

Spokojnie liczył strzały i słuchał kroków szybko oddalających się ludzi... I znowu nastała cisza, w którą się zapadł, tknięty strachem Chaim.

Późno popołudniu obudziła go śpiewka polskich ułanów — jak to na wojence ładnie, kiedy ułan z konia spadnie. —

Dźwignęło go z klęczącej pozycji.

Podniósł z ziemi rozbity zegarek... wskazówki wskazywały 12.25...

Zachodzące słońce witało pierwsze polskie patrole.

Nie przemówił do nikogo z obecnych... Sąsiedzi w milczeniu patrzyli na Jewdochę... Szeroko rozwartemi oczyma zdawała się pytać — lude, lude szczo wy robyte... —

Rozdarte nogi uwydatniały krwią zalane podbrzusze. Rozpiętemi palcami nakrywała srom. Dzieci zastrzelono, bo starczyło kul w magazynku rewolweru, a na zabicie męża Jewdochy nie starczyło kul... albo ochoty...

Siedzi zgięty we dwoje i patrzy w ziemię... czeka pewnie odpowiedzi... dla czego ich zabili?... Mąż Jewdochy stał się widocznym... Spostrzegli go wszyscy i wiedzieli, że to mąż Jewdochy i gospodarz tego domu...

Chaim wybiegł w pole... Przemknął się przez boczne uliczki i wydostał się na ścieżkę położoną niedaleko szpitala... Na polanie wznosił się mały pagórek, skąd widać miasto i wsie okoliczne.

Chaim stanął na pagórku i bezmyślnie patrzył na miasto... Pozdrawiało go... światełkami z okien, ale on zdawał się nie dostrzegać tego. W uszach błąkał się krzyk Jewdochy i skądeś natarczywie domagający się konfrontacji, wrzask z nocy pogromu w Zbarażu. Zwierzęce zadowolenie spo-

wodu opuszczenia swojej komory, objęło go, a i równocześnie wystąpiła obawa przed koniecznością powrotu do miasta, do ludzi... Postanowił przenocować w polu, ale przypomniał sobie, że niema się czem okryć i równocześnie uczuł chłód. Jednak nie wróci... Już miał lec na wysokiem życie, kiedy.. uwagę jego, zajęła w jakiejś chwili, z oddali widoczna, furta szpitalna. Z furty powoli wysunęła się szeroka biała masa... Zdawała się raczej toczyć, aniżeli postępować... W ciemności, bielą widoczna, zbliżała się — prostopadłą do pagórka ścieżką — ku siwemu pasowi gościńca... W jakimś punkcie ścieżki masa rozpadła się na dwie postacie w białych chałatach szpitalnych... Rozpoznał w nich dwóch mężczyzn. Stąpali powoli po miękkiej trawie i półgłosem o czemś mówili... Opierali się niedbale o cienkie laseczki. W ciemności lśniące, srebrne.

Przeszli koło pagórka, na którem przystanął Chaim, ale zatopieni w rozmowie nie zauważyli go... Poszli dalej... Dotarły do niego tylko słowa luźne, zgubione... Proskurów... buło fajno... wreszcie wsiąkli w ciemność i tylko dwie srebrem, okute laseczki, migotały natrętnie i zasłyszane słowa... Proskurow... buło fajno... obijały się nieustannie w świadomości Chaima... Zmęczony mózg Epsteina w blasku migocących srebrnych okuć, słyszał słowa Proskurów...

Nie odeszli jeszcze dalego od ścieżki polnej... Ledwie dorwali się gościńca, który był ich drogą do swoich domów i rodzin, gdy rozległ się tętent.

I znowu, jak ostatniej nocy przyszła na Chaima pewność koniecznego nieszczęścia... Począł drżeć

na całem ciele... Nie uspokoiło go, spokojne, pełne ufności, ćwierkanie świerszcza...

Wśród absolutnej ciszy... biły głośno podkowy dwóch koni i serce Chaima. Najprawdopodobniej nie bali się dwaj ludzie w kitlach szpitalnych z laseczkami srebrem okutemi... Szli do domu... Dla nich skończyła się wojna... Wykradli się ze szpitala wśród zamieszania, powstałego z okazji wkroczenia wojsk polskich... Szli sobie spokojni o swój los, bo któż ich zaczepi rekonwalescentów po przebytym tyfusie plamistym... Nie obchodzi ich zupełnie to, że Chaimowi Epsteinowi zdaje się, że ich eleganckie laseczki, szeptem mówią... Proskurow... buło fajno... Ani ich nie obchodzi tętent kawaleryjskich koni...

Z ciemności szły do niego słowa... Krótkie, dobitne i naprzemian, zdania złożone z uniżonych słów... Groźba spotykała się z prośbą... Podniesione głosy wyrzucały „ty ruski szwynia", „ty bolszewicki szpion" i dwa, długie jak ból, wystrzały nie pozwoliły na nowe słowa prośby... Tętent oddalających się koni zwolnił Epsteina z czaru skamienienia... Rzucił się biegiem w kierunku gościńca... Biegł pędem poprzez pszenicę. Nie zatrzymały go dwie rozrzucone srebrem kute laseczki, ani w białych kitlach tuż przy rowie przydrożnym ułożone ciała. Biegł za nimi, za jeźdźcami. Chciał się zapytać... — ludy... ludy... szczo wy robyte... — Słowa Jewdochy wzięły go w swoje władztwo. Stał się cały, jednem pytaniem...

Żądał odpowiedzi od patroli ułanów, która pojechała w głęboką ciemność... żądał odpowiedzi od ziemi od nieba, skrzącego się gwiazdami...

Dlaczego zabili Jewdochę i jej dwóch synków, dlaczego w czasie pogromu poraniono Hersza Tortena (w tej chwili przypomniało mu się), dlaczego zabito tych dwóch chłopów, spieszących do swoich żon i dzieci... Dlaczego? I nik mu nie odpowiadał na jego pytania?...

Był sam jeden na olbrzymiej scenie... Ręka niewidzialnego reżysera, sprawiła, że niebo w tej chwili pokryło się ciemną, błękitną, ciężką, materją, a srebrne migotliwe lampeczki imitowały do złudzenia gwiazdy, a na tej olbrzymiej równinie wypowiadał swój monolog kiepski artysta Chaim Epstein... Pytał... Dlaczego?...

Jakaś konieczna potrzeba ironizowania wysunęła w tej chwili na pamięć, dawno w którejś klasie ludowej szkoły — brany ustęp — o Chrystusie i śmierci...

Zeschłemi wargami szepcze dawno nauczone zdania;

„... i śmierć ulitowała się nad biednemi dziećmi wdowy... Przyszła do Chrystusa i przedstawiła los dzieci, których matkę miała zabić, a wtedy Pan rzekł do śmierci...: wskocz na dno morskie i podejmij stamtąd drobny bursztyn. I śmierć skoczyła na dno morskie, gdzie znalazła kamyk bursztynu. Przyniosła i podaje Chrystusowi. — Rozbij ten kamyk — rozkazał Syn Boży. W rozłupanym bursztynie znalazła śmierć, żywego robaczka. — Widzisz — rzecze Bóg... dbam nawet o robaczka, spoczywającego w kamyczku na dnie morza... Czyń swoje... zabierz matkę... dzieciom...“

Opowiadał sobie samemu opowiastkę dziecinną, prawie głośnemi słowami.

Wtedy w szkole wierzył słowom Chrystusa, ale dzisiaj słowa powiastki, mówiły do niego kolącą ironją...

Nie mógł znaleźć odpowiedzi w dawno minionej dziecięcej ufności dla Stwórcy zła i dobra...

Szukał jej w tej chwili i żądał...

Odpowiedział mu spokojnym, zadowolonym głosem mieszczańskim... zegar na wieżyczce miejskiego kościoła...

XXXIII.

Mieszkańcy Zbaraża, po dniu pełnym wzruszeń i niespodzianek, ułożyli się do snu... Przyszły polskie wojska.

Po głównych ulicach ustawione patrole pilnują porządku. Nie wolno po godzinie 9-tej znajdować się na ulicy... Trzeba wypocząć do nowych wzruszeń...

Tylko u Lejby Jankla, rzezaka... nie śpią. Czwartek jest dniem rżnięcia drobiu, przeznaczonego na ucztę piątkową... W piątek wieczór powinien każdy Żyd zjeść kawałek mięsa... Więc się posyła w czwartek wieczór drób do rzezaka. W słabo oświetlonym, długim — jak kiszka — korytarzu, stoją służące i gospodynie z koszykami. W nich skulone, związane, przeznaczone na rzeź ofiary. Piąty numer naftowej lampki oświetla białą, jak ściana, brodatą twarz rzezaka... i jego długie ręce i... nóż...

Podana gęś... kokieteryjnie zagęga wyrzutem, że nie delikatnie... i krew zalała gęganie... Wyrwane z trzepoczącego się ptaka pióra cicho opadają na kupę innych piór... i rzucona na ziemię gęś uniesie się na chwilę, aby wreszcie znieruchomieć w mięso smaczne i wydatne — ach moja pani, miałam z niej funt szmalcu.. no i skwarki... —

Na ławce siedzi stara służąca adwokata... Adwokat nie jest pobożnym Żydem, ale ma żydowską klijentelę i zależy mu na tem, aby go uważali za dobrego Żyda... może kiedyś nawet wybiorą go do kahału... więc posyła koguta do rzeźnika, kosztuje to, bo kucharka by siekierą odrąbała głowę, bez żadnej zapłaty, a rzezak pobiera dość dużą opłatę. Niech jednak wiedzą, że adwokat Majblum jest dobrym Żydem... Siedzi więc kucharka, rozłożysta sześćdziesięcioletnia baba, na laweczce i czeka swojej kolejki... Nie śpieszno jej, ani kogutowi.. ciekawie wyglądającemu z koszyczka... Kucharka szeroko usiadła, a koszyk ustawiła na ziemi pod ławką...

Jeszcze sporo kobiet cisnęło się do rzezaka, głośno narzekając, że za długo — certoli się — ale rzezak nie przejmuje się skargami bab... jest wyższy ponad babską paplaninę... spełnia ciężką i ważną misję... przygotowania koszernego i rytuałem przepisanego misterjum, spożywania pokarmu w wieczór piątkowy, wieczór witany, jak oblubienica przez miłującego oblubieńca...

Kogut przysłany przez adwokatową... jest jeszcze dość oddalony od rzezaka... Patrzy z kosza i spod podołka kucharki... Może się odezwie swoim kogucim głosem, ale nikt o tem nie wie, bo któż

zwraca uwagę na koguta, pozostającego pod opieką kucharki, państwa Majblumów?... I byłby się ten wieczór u rzezaka skończył, jak cały szereg czwartkowych wieczorów... Byłby zarżnął ostatniego koguta, czy kurę, czy nawet gołąbka... i wszedł do swojego czystego mieszkania... Umyłby ręce i pomodlił się... I zjadłby w spokoju kawałek śledzia z cebulą... Potem ułożyłby się do snu, przedtem umywszy ręce i pomodliwszy się.

Tymczasem wieczór ten nie skończył się tak, jak inne wieczory czwartkowe u rzezaka. Bo w jakiejś chwili... kogut adwokatowej... począł głośno objawiać swoje niezadowolenie, znawczynie wiedzą, że taki głos wydają koguty z racji ukazania się nad podwórzem jastrzębia, albo skradającej pod kurnik kuny...

Kłótliwy, koguci głos. Nie pianie, tylko kłótliwy głos koguci...

Byliby jednak i na ten niepokój koguta pani adwokatowej nie zwrócili uwagi, gdyby nie krzyk przestrachu kucharki i nieudane, chrapliwe pianie Chaima Epsteina, leżącego za ławką, na której siedziała kucharka...

Chaim pieje bez przestanku... Nie zwraca wagi na otoczenie... Patrzy w oczy koguta i pieje...

Na pytanie zdenerwowanego rzezaka odpowiedział... wam powiem, bo do kobiet nie będę mówił... One nie warte, by do nich przemawiał mądry mężczyzna... a ja jestem mądrym mężczyzną... Ja mianowicie rozmawiam z kogutem... z każdem stworzeniem można się rozmówić, trzeba poznać jego mo-

wę... Ja właśnie rozmawiam z kogutem... trzeba z każdem stworzeniem porozmawiać, a może jemu jest smutno i źle...??

Chaim Epstein zwarjował...

XXXIV.

Dwie linje, biegnące przez jakiś czas równolegle obok siebie, aby w pewnym momencie nachylić się gwałtownie ku sobie i przeciąć w jednym punkcie, a następnie znowu rozdzielić na dwie równoległe, to życie Hersza Tortena i Mikołaja Antonowicza Markowa...

Właściwie, już nie Mikołaja Antonowicza Markowa, tylko towarzysza Mikołaja Markowa, wachmistrza konnej dywizji Kamieniewa, części konnej armji Budiennego.

Codziennie prawi mu o tem, specjalista od mówienia, cywilny jegomość, rządzący się w pułku, jak szara gęś...

Nie lubią go wojskowi, ale boją się i słuchają. Komendant pułku, były carski oficer, wielki — swoją drogą — kpiarz (po pewnym czasie udowodniono mu zdradę rewolucyjnych ideałów i rozstrzelano) naigrawał się z komisarza i jego przemów. Mawiał na ucho, niektórym oficerom, że nie potrzeba komisarza — wystarczy gramofonik. — Oficerowie się śmiali z dowcipu komendanta i zadenucjowali kpiarza.

Towarzysz Markow, tem wszystkiem się nie przejmował, ani dowcipami komendanta, ani denun-

cjacją oficerów, ani komisarzem. Temu — zdawało się — był nawet wdzięczny — bo właściwie to on za nas myśli, my bojownicy o lepszą przyszłość robotniczej klasy, nie mamy czasu na rozumowanie, musimy się bić. —

— O co? — zagadnie Iwaśko Sołonynka, były dieńszczyk pułkownika carskiej armji, (obecnie w armji Budiennego konsumuje powoli sławę zabójcy swojego oficera) — Zobaczymy Towarzyszu! Zobaczymy, jak Bóg pozwoli doczekać. —

W tym czasie, komisarz, pozwalał jeszcze Bogu na drobną ingerencję. Ktoś musi o tem stanowić, czy Mikołaj Markow akuratnie przeżyje — to wszystko — czy też może umrze na czerwonkę, albo na tyfus, a może go tak trafi kula. Może przypadkowo trafi? Naturalnie, że bezpośrednią przyczyną śmierci, może być czerwonka, tyfus, czy kula, czy nawet całkiem niewojenna choroba — rak. Nie można tylko na razie, dociec przyczyny, dlaczego to właśnie Markow przetrwał ciężkie trudy wojenne, w całym szeregu kampanij, a nie przeżył ich chorąży Nikityn. Komisarz nie miał na razie tyle czasu, by nad tą kwestją się zastanawiać i powierzonym sobie żołnierskim umysłom, wyświetlić sprawę przypadku... Na razie Bóg sprawił, że chorąży Nikityn, który z wszystkiego kpił i ironizował, a szczególnie sprawy boskie obierał za cel swoich dowcipów i popów — zginął w pierwszym ataku na Brody, a Mikołaj Antonowicz Markow żył i działał przez tyle lat wojny...

— Z popów można jeszcze się trochę pośmiać, ale z Boga?... — W tym okresie tworzenia — No-

wego Świata — te słowa Markowa nie świadczyły o kontrrewolucyjnym nastroju. Markow działał, to znaczy walczył. Spełniał rozkazy przełożonych, a przełożeni zmieniali się często. Nie obchodziły Mikołaja Antonowicza, ani misterjum zmian na stanowisku przełożonych — (przed wojną, szeptało się o... mających nastąpić zmianach na kilka miesięcy przed faktem, snuło się domysły i puszczało wodze fantazji i życzeniom) — ani kierunek (naprawlenje) pochodów jego oddziału, ani, co najważniejsze, objekt nienawiści. Jak psa ze smyczy puszcza się nienawiść i szczuje się na tego, tamtego...

To są drugorzędne sprawy. Celem jest walka. I kiedy w jakąś noc, gdzieś na postoju w wiosce pod Fastowem, wszedł do chaty, w której odpoczywali Mikołaj Antonowicz z pięcioma Kozakami, człowiek w frenczu, bez epoletów, ale donośnym głosem władający: — Hej towarzysze! Ruszamy na wroga pracującej klasy, na bandytę Petlurę!... Jestem waszym komendantem! — Markow i jego kompania nie mieli czasu na zastanowienie się, z jakiej racji przemawia do nich ten człowiek, ani nawet pomyśleć o możliwym podstępie.

W jednej chwili, skonstatowali zmianę konfiguracji polityczno-wojskowej, a donośne wystrzały rewolwerowe i naraz szwargocący maszynowy karabin upewniły, że zmiana ta, jak kolwiek nie była następstwem głębokich walk duchowych i przemian wynikłych z walki uczuć i rozumu teoretyków tego ruchu — jest istotną..

We wsi, którą zajmowali Kozacy Szepela, coś

się działo. Z ciemności szły oderwane wystrzały, okrzyki i tętent oddalających się w galopie koni...

Donośny głos obcego człowieka i ton specjalnie na tę chwilę dobrany, porwał Markowa i towarzyszy. Słowa wymiotły ich z chaty Wybiegli za nowym komendantem i w ciemności poczęli naoślep strzelać. Przyzwyczaiwszy oczy do ciemności, odszukali konie i poczęli stanowić jednostkę bojową, konnej armji Budiennego.

Nazajutrz wytłumaczono, pułkowi atamana Szepele, że dyscyplina jest koniecznym warunkiem zwycięstwa. O przebiegu zdarzeń ubiegłej nocy informował specjalista w tłumaczeniu tego co było i tego, co niechybnie będzie...

Resztę dopowiedział żołnierzom, trup sotnyka. Leżał opodal cerkwi. Sotnyk wybiegł z plebanji wywołany wrzawą nieznajomych osobników, ugodzony kulą w pierś, skłonił się zabójcy, przyklękając na jedno kolano, potem druga kula strzaskała nos i wyrwała część prawego policzka. Zwalił się u stóp mordercy.

Zdziwienie zastygło w oczach sotnyka. Widział i rozumiał je, jego zastępca podporucznik, obecnie wojskowy komendat oddziału...

Markow niewiele się nad tem co zaszło, zastanawia. Jest żołnierzem, a rzemiosłem żołnierza jest wojna. Powoli zapomina się o rodzinie i o wszystkiem, co kiedyś było. Żyje się dniem dzisiejszym, cieszy się nim i smuci.

Od rodziny brak wiadomości. Szkoda. Szkoda, że nie wie gdzie oni wszyscy się znajdują. Czasami o nich myśli z miłością... Ale wojna bierze człowie-

ka w swoje szpony i mówi mu... — porzucisz dom swój i swoich najbliższych... pójdziesz tylko za mną...

Nigdy się nie dowiedział, że jego dwie córki bardzo gorliwie spełniają funkcje sekretarek czeki. Jedna w jakiemś miasteczku na Krymie, a druga bodaj czy nie w Tule wygotowuje wyroki śmierci.

Kaligrafuje — na karę śmierci... —

A matka jego dzieci wraz z synem, tułają się w Polsce, przygnani innym odcieniem wiatru, aniżeli ten, który rzucił jej córki w przeciwległą stronę. Syn występuje w ukraińskim teatrze Stadnika. Żydówki z małych miasteczek Galicji nie wierzą, żeby ten niebieskooki brunet o takim łagodnym, miłym głosie mógł brać udział w pogromach...

Po śmierci matki przekradnie się syn Markowa do Sowietów, ale nie zastanie ojca przy życiu. Przygarnie go do swojego teatru Leśko Kurbas, dyrektor i twórca ukraińskiego teatru w Kijowie...

Ukraińcy chcą być narodem jak inne narody. Tak samo Żydzi powiedzieli prorokowi Samuelowi i wybrali króla...

O jednem wiedział Mikołaj Antonowicz Markow, że nic innego nie może czynić, jak tylko działać na wojnie.

Innego stanu rzecz nie umie sobie wyobrazić. Czyta się w gazetach o jakimś fikcyjnym pokoju podpisanym w Brześciu, Wersalu, czy innych miastach, ale równocześnie wie się, że to dopiero początek wojen o wyzwolenie proletarjatu.

Wojna z Polską... z burżuazją polską, jest ostatecznem zmaganiem się o lepsze jutro proletarjatu! — Po zwycięstwie, padną twierdze burżuazji w Berlinie, Paryżu i Londynie! —

I znów wielkie słowo — Swoboda Proletarjatu — wzięło w władztwo swoje olbrzymie masy głodnych ludzi, odzianych w łachmany i dało im broń, a w dusze wlało oszałamiającą pewność, cudnego posłannictwa, przebudowy starego, zmurszałego ustroju na nowy, uporządkowany świat. Świat ludzi nowych, dobrych...

„— Musimy wyplenić zło w stosunku człowieka do człowieka. Nie może dalej istnieć w człowieku inna myśl ukryta głęboko poza innemi słowami i różnymi czynami. Nadchodzi era prostej myśli i uczciwego czynu. Krętactwo i spryt człowieka — wyzyskiwacza i cała potęga myśliciela — wyzyskiwacza, wcielają się w maszynę. Maszyna zluzowała człowieka. Ona złożona z tysiąca sprężyn i kółek wzajemnie zazębiających się o siebie. Ta maszyna, złożoność natury ludzkiej odziedziczyła i oczyszczona z brudu ludzkiego charakteru, odwdzięczy się człowiekowi! Pozwoli mu być prostym, nieskomplikowanym... —"

Tego nie czytają żołnierze. Tygodnik — Czerwona Myśl — jest przeznaczony dla inteligencji. — Redaktor Czerwonej Myśli zostanie po wojnie zesłany na Wyspy Sołowiowskie. Udowodni mu sąd, że nie jest entuzjastą pracy. Żołnierzy słyszą na meetingach zrozumiałe dla siebie hasła — Towarzysze! My broni nie złożymy! Mamy przed sobą ciężką pracę! Musimy przewrócić stary porządek w całej,

zgniłej Europie! Niech zadrży wróg przed naszą potężną ideą! Śmierć kapitalistom! Przedewszystkiem zmienimy bogaczy w biedaków, niech poznają dolę biedniagi! —

I idą przed siebie z wiarą w swoją misję niszczenia starego świata i tworzenia nowego człowieka. Jak lawa płyną, masą zalewając góry, doliny, lasy, wody, poprzez wsie i miasta.

Posuwają się poruszeni wiarą, drukowanem słowem, kokainą i głodem.

Broń im dają fabrykanci angielscy, francuscy, niemieccy, biorąc w zamian wagony złotych obrączek, z napisami — Wołodja i Nadja — r. 1897 — albo — Ty i ja. —

Europa bierze złoto, futra, obrazy i daje wzamian broń...

Naczelny dyrektor sowieckiej, handlowej misji w Szwecji, śmieje się z dziecinniałych Europejczyków... — Kochają się w świecidełkach, jak murzyni! Cywilizatorzy Afryki... —

XXXV.

Szkoda, że Hersz Torten nie bywa na żołnierskich meetingach, chętnieby porozmawiał o zmianach kolejności zdarzeń.

Nie sprzeczałby się z pianą na ustach, ani by nie starał się nikogo przekonać... Chciałby tylko z kimś pogawędzić, o tem o owem... jak człowiek, który ma dużo czasu. Jest całkiem spokojny, zrozumiał bardzo wiele dotychczas nieznanych prze-

jawów życiowych. Tylko, nie umie znaleźć jednego ogniwa w długim łańcuchu zdarzeń. Nie wie dlaczego w czasie ostatniego pogromu w Zbarażu, on jeden został ciężko ranny w nogę?... Dlaczego niezwykłe zdarzenia, dzieją się wspólności z jego osobą? Właśnie ta niezwykłość go intryguje. W chwili wkraczania armji rosyjskiej w granice austrjackiej monarchji, on stracił oko i to z ręki swojego jedynego przyjaciela, doczekał się cięcia szablą z rąk przyjaciela. A teraz go postrzelił w nogę Kozak, wychodzący od Czarnej Chany, nikogo innego tylko jego. Znajomy głos Kozaka pozostał w uszach Tortena na długo... na długo...! Nawet nie próbował snuć dalszych wniosków na ten temat... Bał się doprowadzić myśl do końcowej konkluzji, że ten znajomy głos i strzał pochodzą od Markowa... Odsuwał od siebie jaknajdalej niezwykłość wydarzeń. Wolał znaleźć jakąś prostszą przyczynę swoich nieszczęść, chociażby w nim samym tkwiącą, w jego lekkomyślności. —

Kuśtyka, opierając się o kulę. Trochę mu niewygodnie po wyschłej grudzie, ale idzie naprzód. Nieumiarkowany, wrześniowy upał praży przeświecające przez łachman, ciało Hersza, ale nie odbiera pogody ducha. Rozumie doskonale swoją rolę w świecie i zadania bliźnich. W wrześniowe południe niewiele ludzi znachodzi się w polu. Młóci się zebrane zboże i przygotowuje się ziarno do zasiewu. Gdzieniegdzie pojedyncze postacie pochylone nad ziemią, dobierają się do kartofel... leniwo i ospale...

O jednem wie napewno, że to wędrowanie to je-

go posłannictwo. W dzieciństwie uciekał ze szkoły do pól i lasów, a potem wędrował od wsi do miasta jako karciarz, a potem jako kupiec zjeździł szmat ziemi. Teraz przemierza znane szlaki, Hersz Torten żebrak. Odszedł raz na zawsze ze Zbaraża. Pozostawił za sobą to miasto, w którem ciągle tyle się dzieje bez niego.

XXXVI.

Zbaraż nie poszedł za Herszem Tortenem. Stał twardo na swoim gruncie. Pewny siebie, leniwy, łaskawy.

Biało-czerwone chorągwie na dachu budynku starostwa i okiennice trafik pomalowane na biało-czerwono. (Żółto-niebieski kolor z austrjackim, czarnym, walczą jeszcze o swoją widoczność i świadczą, że Zbaraż jest polski).

Nie obronił go ukraiński generał Kunze.

W pięć dni po pogromie przyszły polskie wojska, a w kilka tygodni później władze cywilne.

Pogrom urządzony przez Ukraińców i pięciodniowe walki o Zbaraż przerwały wartki prąd, płytkiego życia w miasteczku. Na krótką chwilę zamknęły się rodziny i indywidua w domach, żyjąc własnem życiem i spożywając przypadkowo nagromadzone zapasy... — Zjadało się własny tłuszcz — tak określił ten stan Izak Stock, którego zapobiegliwa żona stara się mieć w domu — więcej, aniżeli potrzeba. — Obecnie on znowu spokojnie ogrywa, lekkomyślnych synów bogatych rodziców i udziela lek-

cyj ambitnym córkom bardziej ambitnych żydowskich matek (ojcowie zwyciężeni wymową żoń dają zezwolenie i pieniądze). —

W szynku Tauby Gotlieb, jak zwykle politykuje się, sprawdza wpływ polityki na spadek wartości polskiej waluty. Pije się piwo i herbatę i gra się w szachy, opowiada się przytem o szaleństwie Epsteina.

O zwyżce kursu dolara, mówi się także w chrześcijańskiej restauracji Klimowa. Kancelista sądu długonosy Konstanty Piórko udowadnia kontrolerowi podatkowemu Grajewskiemu, że Żydzi z rozmysłu obniżają wartość polskiej waluty.

— Mają w tem interes panie dziejaszku, bo wykupią nasze majątki za półdarmo. — Grajewski, resztkami świadomości, konstatuje, że oni obydwaj są winni Żydom po kilka pensyj, a w majątku mają tylko kredyt u Żydów, ale spirytus zwycięża świadomość i dyktuje słowa wyczytane w „Rozwoju", gazetce wysyłanej bezpłatnie. — Oni wszyscy ciągną za Niemcami i bolszewikami... skaranie boskie z tym narodem... —

— Pensja coraz mniejsza... przyjdziesz do Żyda po mięso... droższe od wczorajszego, z ubraniem ma się rzecz podobnie...? — Cały handel w ich rękach... Jesteśmy poprostu w niewoli u Żydów...

— A jak to umieją się przechodzić corazto inne przeobrażenia...

— To, to już u nich całkiem łatwo, mogą być Niemcami, Francuzami, Bolszewikami, a zawsze są Żydami... — Do rozmawiających zbliża się trzeci

kompan. Od szeregu lat, codziennie, wspólnie piją po kilka bomb piwa, a w początkach miesiąca po kieliszku mocnej.

Zachwatil jest gorącym patrjotą i kierownikiem kancelarji notarjalnej. On jeden z tych wszystkich wie, jacy są Żydzi... Jakie mają wpływy zagranicą i w kraju. Uświadamia go o tem wszystkiem jego szef notarjusz, — który ma w Warszawie kogoś — no i własna otwarta głowa, dobrze widzące oczy i Adolf Nowaczyński, ten z „Rzeczypospolitej"... — Zwarte społeczeństwo polskie może dać odpór pladze żydowskiej... tu niema czasu na namysły i na argumenty o ludzkości. Niech odczują skutki bojkotu... „Rozwój" pragnie rozwoju narodowego handlu... —

— Co ma wspólnego bojkot Żydów z ludzkością? — Goście żądają piwa. Podany trunek, poraz któryś tam próbują... — rozdolskie — wyrokuje Grajewski — o mylisz się przyjacielu... mcia... mcia... piwo z Kałusza... — Zachwatil lepiej się rozumie na piwie, od Grajewskiego... Pije o dwadzieścia lat dłużej...

— A jacy są honorowi...? Aptekarz się obraził, żeśmy go wykreślili z listy członków — Sokoła... —

— Niema się czego obrażać... przyszedł taki rozkaz ze Lwowa... więc musimy słuchać!... Nakazem obecnej chwili jest dyscyplina... Coś go gniecie... Nie zdaje sobie sprawy, że pęcherz jest pełny... słyszy tylko nazwę gazety żydowskiej — Chwili. — No kolego! — Zachwatil uspokaja. Zna kłótliwe usposobienie Kocia Grajewskiego. Mówi się tak po literacku jest nakazem chwili... to znaczy, że niby jest

pora taka... Powiedziałeś — Chwili — i basta, a tak nie powinno się mówić... basta panie dziejku... basta, albo Chwila, albo my! Basta... Piwa!...

Leon Gruder ma zastępstwo piwa browaru w Kałuszu z tej racji odwiedza swojego klijenta Pawła Klimowa, właściciela chrześcijańskiej restauracji... ma odebrać pieniądze... Kłania się przedewszystkiem panom, pijącym kałuskie piwo... następnie podchodzi ku ladzie do gospodarza...

Zachwatil jest w humorze... — Daj mu szynkę, niech pokosztuje kawałek katolickiego jedzenia... —

Kocio się śmieje. W tej chwili pçłapał się, że pęcherz jest pełny, za chwilę wstanie pójdzie do wychodka... tam odczyta — hańba takiemu poecie co pisze wiersze w prewecie — i wypróżni pęcherz... Teraz przechodzi nieco zgarbiony (pęcherz gniecie) obok Leona Grudera... Uczucia, w milczeniu się rozchodzą... Kocio\ chwiejnym krokiem przedostaje się przez długą sień... ku wychodkowi, a Brust rozlicza się z Klimowem...

Obydwaj nic nie mówią o gościach pijących piwo, ale czarne oczy Brusta popatrzyły w siwe oczy Klimowa i porozumiały się oczy Żyda i Ukraińca.

Siwe ironizowały — krzyczycie, że Ukraińcy są antysemitami, a Polacy? Jak was traktują?

Czarne oczy rudego Grudera smutno się śmiejąc tłumaczyły, że Żydom nie idzie o to aby im dobrze było, uznają instytucję z dwojga złego... Jeden wagon piwa kosztuje ... prowizja wynosi ... a panowie antysemici niechaj zdrowo piją piwo kałuskie. Leon Gruder i sam Klimow, wiedzą doskonale, że Zachwatil, Kocio Grajewski, każdy z osobna jest

całkiem inny... Inaczej się z nimi mówi na osobności. Kocio Grajewski buduje dom, a Zachwatil kształci córkę we Lwowie w gimnazjum Urszulanek.

— Ile to dziecko potrzebuje, pojęcia nie macie! O zarobek trudno... no chyba wiecie, jestem tylko urzędnikiem... — Tylko się tak mówi, że trudno o zarobek, Gruder sam korzysta z interwencji Zachwatila. Potrzeba jakiejś protekcyjki... Zachwatil za napisanie podania bierze marnych kilka złotych... i prosi druha wiceprezesa Sokoła zastępcy starosty...

Nie! Zachwatil nie jest taki straszny jak się sam przedstawia kiedy sączy kufel piwa u Klimowa. Wie o tem Leon Gruder, wiedzą i inni Żydzi, a majster szewski Antoni Błocha karci na posiedzeniu Wydziału Sokoła, zachowanie się Zachwatila. Błocha przechodzi straszną tragedję. Za rządów austrjackich był prezesem Gospody Polskiej nosił czamarę i szył buty. Od najdawniejszych lat zamieszkało w nim uczucie miłości ojczyzny... Ani na chwilę nie pomyślał nad tem jak ojczyzna wygląda, kochał ją i tęsknił za jej oswobodzeniem z pod jarzma wrogów. Gimnastykował się w — Sokole — i śpiewał w chórze Gospody Polskiej nosił czamarę i wszystko to było służbą dla dobra Jej! Ojczyzny! Wyrosło w nim to uczucie jakiejś ciągłości nieskończonej, chyba tam w wolnej Polsce ... W dniu wypowiedzenia wojny w Zbarażu odbyła się manifestacja przeciw Rosji, a Błocha, jako przestawiciel cechu rzemieślników i prezes Gospdy Polskiej oraz członek Wydziału tow. gim. „Sokół", przemówił do obywateli — bez różnicy narodowości i wyznania — i zaintonował pieśń — „od Warszawy aż do Petersburga"...

Czyż mógł ktoś pomyśleć, że zmartwychwstała Polska to Zbaraż, Tarnopol, Skałat i inne kresowe miasteczka... Błocha nie wiedział jak będzie wyglądała Ojczyzna. Pewnem było, że będzie to — coś — pięknego, niebywałego...

— Przyczepił się sznurami do skały i pragnął ją ruszyć z posad. Z całych sił ciągnął, pocił się i trwonił siły, bo skała była niewzruszona, aż przez kogoś podłożona mina, roztrzaskała skałę i pociągnął ją Błocha, lekko, aż się sam dziwił, że tak lekko. —

Dobrze się było śmiać panu poborcy podatkowemu, Chociajowi z serdecznej męki Błochy, bo on sam był poborcą podatkowym za czasów austrjackich i w Polsce odrodzonej ściągał podatki, ale z Austrji przeszedł do Polski przez otwartą bramę i dalej urzędował... A Błocha zgubił się po drodze do ojczyzny... Nie wiedział, gdzie się ona znajduje, bo chyba nie w Zbarażu, o tym samym wyglądzie z tymi samymi ludźmi, staremi zwyczajami...

Błocha stracił cel w życiu... Już się nie śpiewa — Nie rzucim — nie gimnastykuje się, dla chwały ojczyzny. Jest się w opozycji do obecnych rządców w Warszawie i Zbarażu, krytykuje wszystko i wszystkich. I szyje buty...

Prezes organizacji narodowej Łukomski, jest naczelnikiem poczty. W urzędzie pocztowym urzęduje jego żona, córka i narzeczony córki. Urzędnikiem pocztowym jest także Abraham Syrkes... Wiarołomna Austrja pozostawiła go Polsce w spuściźnie, Syrkes pracuje, — w Austrji pisał się Sirkes, — boi się redukcji i uczy się napamięć Spinozy...

Prezes organizacji narodowej, uważa za swą powinność, oczyścić urząd z obcego elementu, ale kto będzie pracował?... Można mieć wpływy, być prezesem organizacji narodowej, ale kasa się musi zgadzać i przekazy pocztowe muszą być kontrolowane.

Więc Syrkes to wszystko robi i uczy się napamięć Spinozy i załatwia niektóre sprawunki dla pani naczelnikowej, jej córki i dla swego kolegi, narzeczonego córki naczelnika.

Łukomski kładzie się spać z uczuciem niesmaku i z tem samem uczuciem rano wstaje... Prześladuje go myśl, że nie powinien się tem wszystkiem krępować... że należy się uniezależnić od Żydów... Hańba i wstyd!!! Prześladuje go i druga myśl, że ktoś musi pracować w urzędzie... Kasa... przekazy, pakunki...

XXXVII.

Prezes związku ziemian Książę Skałacki odczytał wczoraj rezolucję zebrania ziemian!...

Dzisiaj trapi go zgaga... Kółko rolnicze sprzedaje wstrętne wino...

W Radzie Powiatowej odbyło się zebranie ziemian zbaraskiego powiatu... Wino wstrętne, a ten bezczelny żydek Rautenstein (w drugiem pokoleniu katolik, wybudował własnym kosztem kościół), nie lubi księcia Skałackiego i dokucza przy każdej okazji. Rautenstein jest bogaty, a książę Skałacki ma długi i ma dobry wzrok. Zauważył wczoraj ironiczny uśmiech barona Rautensteina w chwili odczytywa-

nia rezolucji, postanawiającej wstrzymanie się ziemian od stosunków handlowych z Żydami... Cóż ma robić? Icek Haas daje lepszą cenę od — Spółdzielni dla Handlu Ziemiopłodami — założonej przez szwagra, Księcia Skałackiego, hrabiego Obuchowicza... — Ta ormiańska bestja, niema długów i nie lubi Żydów... — Książę Skałacki ich także nie lubi... Psia kość... Kwaskowate wino sprowadza zgagę... Zresztą... dlaczego ma się ich lubić albo nie lubić, handluje się, a w handlu niema sentymentów. Sprzedaje się zboże i otrzymuje papierki wymienia się na dolary północno-amerykańskie... Załatwia to zresztą sam Icko Haas... Człek nie naraża się sam na konfiskatę dolarów z okazji najrozmaitszych obław na czarnogiełdziarzy... Straszny naród ci czarnogiełdziarzy... Przyczyniają się do deprecjacji marki... Swoją drogą, sam będąc onegdaj w gabinecie dyrektora Banku Krajowego — na własne oczy widział całą gromadę brodaczy, niecierpliwie dopominających się u woźnego, aby ich przybycie zameldował dyrektorowi... Książę Skałacki zaciekawiony, zapytał czego sobie życzą... — Mamy dolary... —

— Więc cóż z tego, że macie dolary?... —

— A dla kogo my je mamy?... Dla pana dyrektora! —

— Przecież bank we własnym zakresie kupuje dolary...

— Ktoby tam do banku chodził sprzedawać... Dolara trzeba szukać... są schowane pod ziemią... a my potrafimy...

Odpowiedzi towarzyszy śmiech ironicznie wykrzywionych, grubych ust i samopoczucie potrzeb-

ności... właśnie w tym luksusowym gabinecie potężnego dyrektora banku...

Kto to wszystko zrozumie... myśli nerwowo ks. Skałacki. Obławy... i konszachty Banku Krajowego z waluciarzami... Nam płaci Bank za dolary ceny oficjalne, a waluciarzom czarnogiełdowe... A tu układają rezolucje; nie handlować z Żydami... Człowiek u djabła nie może sprzedać własnego zboża komukolwiek mu się zechce... Puzapp!!! Czysty bolszewizm...

Ksiądz proboszcz ma dzisiej ciężki dzień, prześladuje go astma. Musi zawołać lekarza, doktora Fischera, czy Fiszla — jak się oni tam do pioruna, przezwali. — Będzie krzyk... Prezes Rady Narodowej prezes Sokoła, przy preferansie nie omieszkają go zaintereplować... a radca Rutkowski nie pomoże mu w uspokojeniu narodowych sumień prezesów i swojego własnego. Możliwie, że odezwie się rzeczowo i spokojnie, — jest to sprawa osobista księdza proboszcza — i nic więcej... Ale ksiądz proboszcz niechce takiej obrony... Pregnie wytłumaczyć, że jego stałym lekarzem jest doktor Świątek... ale astma go dusi, o doktorze Fiszlu mówią, że dobry, no i zdrowie każdemu jest miłe... cóż ma robić?... Musi... Dobrze, że nie naruszają, sprawy odnowienia kontraktu dzierżawy łąk parafjalnych... Zapomnieli... chwała Bogu, że zapomnieli. Ksiądz proboszcz, nie wie, że dzierżawcą dóbr parafjalnych, Gerszon Gebet jest osobistym przyjacielem prezesa Sokoła pana Krzysztalskiego, naczelnika urzędu podatkowego...

Żona Gerszona przyrządza doskonałe ryby „po żydowsku", utwierdził się w tem przekonaniu pan Krzysztalski... Tyle lat się siedzi w Zbarażu... lata praktykanckie... lata kontrolerskie... austrjackie lata... austrjackie wybory... na baczność przed starostą... Dzisiaj się jest udzielnym panem, równorzędnym staroście, naczelnikiem urzędu... Jest otwartym przyjacielem Gerszona Gebeta... Tego wymaga interes państwa. Gerszon Gebet, — to nie Hersz Torten — jest potomkiem starego rodu Gebetów. Wywodzą się z rabinów... Rodzina Gebetów jest bogata... Austrja im dała monopole... propinacja... główna trafika... urząd metrykalny... kahał... wpływ i znaczenie... Gerszon jest kluczem do zamku, strzegącego ten dziwny, niezrozumiały naród... licznie osiadły w Zbarażu... Torten zabłysnął na chwilę... i znikł, a Gerszon Gebet, wrócił z Wiednia na swoje miejsce, aby je zająć, jak w ciągu tylu lat przed wojną, zajmował. Stateczny, elegancki, i godny zaufania... jest członkiem zarządu gminy, komisji podatkowej i miejskiej rady szkolnej i właściwym kierownikiem kahału (wszyscy o tem wiedzą, że prezes Kahału Amaisen jest narzędziem w ręku swojego szwagra, Gerszona) właścicielem głównej trafiki i przyjacielem naczelnika urzędu, radcy Krzysztalskiego...

— To jest człowiek, na którego można się zdać... a nie taki szaławiła, jakim był Hersz Torten. —

Nikt nie śmie zaprzeczyć naczelnikowi urzędu podatkowego. Spacerują... pan starosta z panem naczelnikiem urzędu podatkowego... a słowa rzucone drgają na falach powietrza... głoszą jakim był... Hersz Torten... i jaki jest Gerszon Gebet...

XXXVIII.

W odnowionej aptece krząta się aptekarz Baum. W niedzielne popołudnia, niema roboty, więc się podejmuje wódką kilkoro przyjaciół. Baum jest wzruszony, przyjaźnią notarjusza, sekretarza Wydziału Powiatowego Leona Lisa, a Maurycego vel Moszka Weina toleruje o tyle, że jest mężem ordynującej lekarki...

— Czy dobre? — tyle lat pyta z tem samem przymknięciem lewego oka i z tą samą świadomością udzielającą się obecnym, że tylko on patrafi sporządzić taki likierek. Pozatem toczy się dyskusja... naturalnie o Żydach... Początkowy okres wojny polsko-bolszewickiej... Gazety piszą — Lejba (Trocki) Bronstein... grozi Polsce!!! —

Żydzi są aktualni...

Baum wściekły na Weina, że narusza drażliwy temat... Goście nie mogą się szczerze wypowiedzieć, a zresztą jego, Bauma lubią... jest o tem przekonany... Cenią go, wprawdzie wykreślili z listy członków Sokoła... niema rady... zmiana statutu... ale za to w miejsce Hersza Tortena wybrali jako członka Rady Przybocznej Komisarza miasta. Likier (ananasówka) i migdały ośmielają gości... nie krępują się i stwierdzają, że rozumieją, iż tłumy rzucają się na swoich ciemiężycieli.

Wein nie rozumie... i pyta jacy ciemiężyciele? —

Notarjusz wie bardzo dobrze, że znaczny odsetek nieruchomości po miasteczkach należy do Żydów, handel jest żydowski, adwokatura żydowska... i inne, wolne zawody także zażydzone... Żydzi po-

magają bolszewikom, a co było we Lwowie? Czy nie strzelali? Czy nie lali ukropu na polskich żołnierzy?...

Wein zaperzony udowadnia, że to insynuacja... jakżeby śmieli? wszyscy wiedzą dobrze, że Żydzi są tchórzami... jakżeby śmieli?

A mściwość żydowska?... Niema się czego wypierać... panie kolego (notarjusz tytułuje Weina kolegą) Żydzi są mściwi...

Sekretarz Wydziału, radca Lis, lubi Weina, zna jego życie i ambicje... Wie dobrze, że żona Weina zdradza go z tutejszym lekarzem Świątkiem. Wie, że Wein ubzdurał sobie, że nie jest Żydem, tylko Polakiem mojżeszowego wyznania... Nie rozumie go, ale chciałby mu wierzyć... Trudno! Wein podczas długich konferencyj tłumaczy, że jest zasymilowany i że nie można wedle własnego widzi mi się przyznawać się do narodowości, że narodowość to absolut i że on Wein już nie jest Żydem, przejął się kulturą polską i stał się Polakiem. Lis lubi Weina, imponuje mu impulsywna szczerość żydka — niestety nie jestem już Żydem... — pan rozumie, panie radco!... ciężko się przyznać do utraty pewnych właściwości... ale tak jest, jak mówię...

Lis życzliwie zauważa, że Wein jest przecież Żydem... sam sposób mówienia i reagowania na to, co się dzieje jest specyficznie żydowskie...

— Bajka, panie radco! z tą krwią żydowską i odrębną duszą... Starali się o to, Hiszpanie, Niemcy, Francuzi, Polacy i Kozacy, by nasza krew nie

była czystą. A dusza? — Nasza dusza... strworzyły ją tutejsze, niebo i słońce, drzewa tutejsze i woda ją czyści nasza polska... — Lis się uśmiecha...

Notarjusz twierdzi, że wszystko zażydzone...

Baum posmutniał... a Wein zamyka dyskusję twierdzeniem, że jest takim samym Polakiem, jak pochodzący z Włoch, Badeni.

Nie tylko w Zbarażu się dyskutuje. W Londynie, w Paryżu... w Nicei.

Europa oszalała, Europa, to nie kobieta z obrazu Mehofera. Europa to mózgi, mięśnie, kości i krew. Nie te same, które się już zmineralizowały na polach Schampanji, Flandrji na wzgórzach Karpat, Krasu i Kaukazu ,na błotach Tanenbergu, dolinach Isonza, Tygru i Eufratu.

Tamto to nawóz.

Europa żyje, wstydzi się i żałuje, handluje i nienawidzi. Oszalała!

Uczeni w togach upiększeni rektorskimi łańcuchami, podpisali manifest wojenny — Niemcy są narodem wybranym... Są inni, aniżeli reszta ras niższych. Są rasą aktywną... —

Inwalidzi także podpisali manifest... swoją krwią. Sprzedają dzienniki na ulicach... a wyraz twarzy mają cierpiący. Pewnie im zależy na wzbudzeniu litości... Kupcie gazetkę... Kauffen sie... aschetez les furman...

Napastują przechodniów...

Nieznany żołnierz znalazł miejsce odpoczynku na placu Saskim... na innych placach różnych miast i różnych krajów. Wiele się pisze o architekturze w związku z budową kaplic i kolumn na grobach

Nieznanych Żołnierzy i wiele dowcipów na ich temat w pismach humorystycznych...

Obok grobu Nieznanego Żołnierza stoi warta... Cześć Nieznanemu Żołnierzowi!

Obok gmachu giełdy stoi warta...

Obok szpitali dla warjatów stoi warta...

Europa w chwili świadomości, wstydzi się, płacze i szuka bakcyla nienawiści,,, a dyplomaci piszą pamiętniki...

W Ameryce prosperity i prohibicja...

W Europie konferencje, rady czterech, rady najwyższe... demokracja... bolszewizm i koszty wojenne...

Zwycięzcy poszukują kontrybucji wojennej. Pozwalają zwyciężonym tępić wrogów wewnętrznych, rozbrojonym pozostawiają na ten cel uzbrojenie. Koszty wojenne muszą być zapłacone.

Wróg wewnętrzny, Żydzi! Masoni! Socjaliści! Anonimowe mocarstwo! Księgi Judy, to prawo, a kongres mędrców Syjonu, to parlament wrogów wewnętrznych...

Europa połknęła bakcyl nienawiści i struła się, Europa to mózgi, mięśnie, kości i krew, to togi, fraki i mundury... i łzy...

W męce rodzi się — Coś Nowego... — Nie to, czego chcieli dyplomaci i generałowie, Ani nawet tego, nie chcieli kapitanowie przemysłu.

Niewidoczne... wielkie... dotkliwe... Coś Nowego. Nie można go ująć słowem.

Zginęło jedenaście miljonów ludzi i jest ludzi za wiele... Jest ciasno... Ludzie spotykają się w kawiarniach, w parlamentach, w domach, w sutere-

nach, w bordelach, przy okienku pocztowem, przy kawach i przed zamkniętemi drzwiami składów żywnościowych... W ogonku... Policja pilnuje porządku...

Jeńcy wracają do domów... Czasami nie docierają do swoich... umierają, a ciała ich leżą na drogach, niezrozumiałe... Nie poznać, czego niedawno chciały... czego pragnęły... Chęci wyprzedziły je i zgubiły kierunek, opadły inne ciała poruszające się i pomięszały ich myśli. Konferencje dyplomatów.

Europa oszalała...

Europa połknęła bakcyl nienawiści i struła się... Europa, to mózgi, mięśnie i krew, to togi, fraki i mundury.

Europa boi się bolszewizmu... a konferencje dyplomatów dają wyraz tej obawie. Polska jest krajem europejskim. Powietrze Polski jest przejrzyste, takie same, jak powietrze w Niemczech i Francji...

Ludzie w Polsce kochają wolność, jak wielu innych ludzi i boją się niewoli. Bolszewicy niosą z sobą kajdany. Nie różnią się od dawnych Rosjan. Polska ma Łódź, Bielsko i Białystok, ma naftę, węgiel i koleje, a bolszewicy mają ideję...

Bolszewicy, to Trocki Joffe Unschlicht. Żydzi. Talent i właściwości Trockiego, a nadewszystko straszne niebezpieczeństwo, idące od człowieka rozprzestrzeniły się gwałtownie i udzieliły wszystkim bez wyjątku synom Izraela.

Izraela już dawno niema, a pozostali synowie są wszyscy kuzynami Lejby albo Lwa Trockiego.

Rotschildowie, Oppenheimy i lordowie Montagu nie mają tyle pieniędzy, by opłacić nowych biografów, swoich przodków...

Pisarze boją się zarzutu nieaktualności. Modny jest teraz antysemityzm w Ameryce i w Europie i w Azji.

Polacy boją się bolszewików, nienawidzą Żydów, Niemców i Czechów, a dolar skacze w górę, towar drożeje i pensje maleją... O tem jest przekonany, Zachwatil, Kocio Piórko, Grajewski, prezes Organizacji Narodowej, Łukomski, Książę Skałacki i inni mieszkańcy Zbaraża, Tarnopola, Krakowa i Warszawy.

Natomiast stary rabin z Zbaraża troszczy się o to, czy tego roku przyjadą do niego na święta goście z Munkacza... Solyvy...

Chasydzi przyjeżdżają co roku na święta Pojednania i przywożą podarki... Jego modły sprawiły, że się im powiodło, a oni o swoim rabinie pamiętają...

Rabin w Zbarażu jest prawnukiem wielkiego i świątobliwego pradziadka. Grób świątobliwego starca jest celem pielgrzymek, wierzących Żydów z dalekich okolic... Pielgrzymi składają w rocznicę śmierci świątobliwego męża karteczki, zapisane prośbami... o powodzenie, zdrowie i zarobek. Na cmentarzu żydowskim u wejścia do grobu rabina cudotwórcy jest kasa... Gabe, rabina żyjącego i działającego pomniejsze cuda, zagarnia datki od pielgrzymów. Inaczej zmarły dziadek nie pomoże!...

Grozi najazd bolszewicki, więc zjazd pielgrzymów niewielki i kasa pusta... Natomiast Szije Seif martwi się tem, że jego żona Ruchla tego roku nie

urodziła dziecka... Widocznie to pomieszkanie nie jest szczęśliwe... wynajął pokój od Gerszona Gebeta i zamieszkał z żoną i sześciorgiem dzieci... Już rok mieszkają w nowem pomieszczeniu i nic się nie urodziło nowego... Właściwie urodziło się czworo kociąt... Ruchla uważa to za dopust Boży i szuka nowego pomieszkania. Byłoby im dobrze, bo ze sprzedaży ćwierci wołu, codziennie dzielonego w drewnianej jatce, mogą się wyżywić i nawet dać jałmużnę ubogiemu... gdyby nie to nagłe odwrócenie się Boga. Tyle im pomagał... Z dziesięciorga dzieci pozostawił przy życiu siedmioro... W dniach pogromu oszczędził ich dobytek, a przecież całkiem łatwo można było stracić ten jeden jedyny sznureczek pereł, odziedziczony po matce Ruchli... Mógł wejść kozak i przeszukać szufladki w komodzie i na dnie znaleźć zawiniątko, a w niem bogactwo Ruchli i Sziji... perły... Ten sam kozak, mógł znaleźć za pazuchą Ruchli pięćset koron austrjackich. I Bóg uchronił ich od tego nieszczęścia. Tylko to nowe mieszkanie...

XXXIX.

Tortena, Bóg nie uchronił od nieszczęścia. Pierwsze spotkanie z Mikołajem Antonowiczem po ogłoszeniu stanu wojennego pomiędzy Austrją a Rosją, przyniosło Herszowi utratę jednego oka, a drugie amputację nogi.

Nie opuszczała go ani na chwilę myśl o kozaku, który go bez żadnej przyczyny postrzelił...

Głos jego, jakkolwiek pijany i latami przyduszony, był głosem jego przyjaciela Mikołaja Markowa Antonowicza. Nie mógł sobie poradzić z uprawdopodobnieniem tej dziwnej sytuacji. — Przeznaczenie moje ot takie... zginąć z ręki Mikołaja Antonowicza... Tylko skąd on do nich?... On pewnie w głębi Rosji z rodziną, przyczajony oczekuje pokoju... gdzie jemu do bitki? A już ukraińska zabawka? Mikołaj Antonowicz, zbyt spokojny, by się tłuc po bitwach... i zbyt mądry... Tylko ten głos, znany głos Mikołaja Antonowicza Markowa... Wżarł się w ciało i duszę Hersza Tortena. O ostatniem przeżyciu myślał, leżąc w szpitalu... —

Kilka dni temu, przebył tę chwilę... straszny moment stwierdzenia, że tam, gdzie go bardzo boli, zabrakło nogi... Noga znikła, pozostawiając u kolana nieznośny ból i smród jodoformu... Świadmość obecnego stanu, ustępowała chwilami, nieprzyjemnemu majaczeniu, wtedy to właśnie przyłaziło natrętne uczucie umierania...

Dokładne odczuwanie stanu bezuczuciowego... nieruchomego... Świadomość stanowienia rzeczy rozpadającej się w proch, tak jak lepianka u jego sąsiada djaka. Kto tam był u djaka? Kostomacha?... Jaśko Kostomacha, syn Marty Kypybidy? Nie! Nie Marty syn... Czyj syn?... —

Nie mógł wydobyć na powierzchnię pamięci imienia Horpyny Kuź...

Śmierć! To znaczy, że umieram. Muszę umrzeć, tak jak wszyscy, którzy żyją. Śmierć, kobieta o trupiej głowie w czarnej chusteczce z kosą w ręce... Kto to? Wrzask wydobywa się z zapadłej piersi... —

Kto ty?... gawaril!! sukinsyn, job twoju matj!... Bezzębna gęba Hersza międła rosyjskie słowa, od dawna zasłyszane, jeszcze na granicy austrjacko-rosyjskiej. Słowa idą kulawo, a kosmki włosów, tkwiące w gębie stawiają opór, żydowski opór, rosyjskim słowom... — Kuma śmierć... w towarzystwie swojego gacha Mikołaja Antonowicza.

Boi się o żonę, dlaczego ona idzie im naprzeciw — nie idź, nie zbliżaj się. — Żona nie słucha jego nawoływań. Idzie, jak zwykle, cicha i siada przy nim na łóżku... No dzisiaj wygrałem... przywiozłem dziewięćdziesiąt koron... — Dlaczego się ona smutno uśmiecha? Ciesz się... No dobrze, kupię ubranie dla naszego gimnazjalisty... Czy ty słyszysz, jak płynie rzeka? Z jakim szumem?... To sunie wodny pociąg. Żona nic nie mówi, tylko ściera pot z czoła zmęczonego męża... Wierz mi, że przy kartach ciężko się pracuje... Oni znowu idą... uciekajmy... uciekajmy, zaczekaj, czy wziąłem sto koron? Czarna Chana!... Ona ich zna... Chwała Bogu! Ona ich uspokoi... Cieszy się, że żona jego jest przy nim i że wygrał...

Tak dawno nie widział swojej żony, a teraz wylazła z kąta jego poszarpanej duszy i usiadła obok niego... Nic do niego nie mówi, tylko zapadnięte czarne oczy patrzą na wystraszonego człowieka, z którym tyle lat żyła w jednym domu... którego usprawiedliwiała, gdy się jej tylekroć razy zapierał... Nazywała go mężem i przyjacielem... Obecność jej, koi ból w nodze i oddala strach przed zabijającym głosem, Mikołaja Antonowicza Markowa. Hersz zrywa się i tuli się do żony, tak jak dawniej bywało kiedy wracał z wędrówek.

W szpitalu pozostało kilka osób. Medyk na czwartym roku studjum, jest obecnie szefem szpitala. On amputował nogę Tortena. Krajał nogę, bo co mu szkodzi? Nauczy się, a pacjent na tem nie straci. Może się uda operacyjka? A zresztą Czarna Chana, do której przybytku często zachodzi — prosiła pana doktora, by się zajął Żydem, który u niej leży trzy dni bez przytomności...

Wciągnęła go do swojej chaty i nie może sobie dać rady... Od nikogo niema pomocy, lekarze cywilni nie chcą się wydalać z domów... Strach osiadł w mieście i zamknął serca żydów i chrześcijan... Boją się o siebie, o swoich najbliższych i o swój majątek. Coraz większy napływ żołnierzy, zbliżających się wraz z przesunięciem frontu, potęguje strach i miażdży litość nad bliźnim... U ludzi, mających coś do stracenia.

Ospowata, Czarna Chana nie boi się, przekonała się w czasie pogromu, że posiada możliwość utrzymania się przy życiu...

W trzy dni po pogromie, Polacy rozpoczęli natarcie na Zbaraż... Kule armatnie i ręczne granaty były wyrazem ludzkich dążności. Porozumiewano się żelazem i oniem, a krew, jak za dawnych i niedawnych czasów była symbolem międzyludzkich stosunków.

Garnizon ukraiński broni Zbaraża, a raczej osłania ewakuację mienia wojskowego.

W mleczarni Czarnej Chany ruch, a przyjęte do pomocy dziewczęta nie próżnują. Czarna Chana ma wpływy u studenta medycyny, sanitarnego oficera w szpitalu. Na jej prośby zarządza przeniesienie

Herszka do szpitala. Wśród gradu kul karabinowych i przy odgłosie pękających szrapneli dostarczono nieprzytomnego Tortena do sali operacyjnej szpitala, ewakuowanego przez ukraińskie władze...

Student pozostał z kilkoma chorymi na tyfus plamisty...

Umilkły działa i karabiny... Od czasu do czasu daje się słyszeć zwarjowane szczęknięcie ręcznego granatu. Polskie, przednie straże oczyszczają teren z resztek oddziałów ukraińskich.

— Za chwilę wkroczy nasze wojsko. — Pannę Manię dławi w gardle, przy wypowiadaniu słów — nasze wojska. —

Ksiądz proboszcz i sędzia Rutkowski, siedzą na ćwiartówkach piwa, ustawionych w najciemniejszym zakątku piwnicy... Z chwili do chwili tężeją ich habitusy... Stają się... Ich mgliste dotychczas jestestwo, nabiera sprężystości, z każdą chwilą, bliższą wkroczenia polskiego wojska... uwypukla się...

Czują to sami, siedzący na ćwiartówkach z piwa w najciemniejszym zakątku piwnicy plebanji...

Aptekarz Baum z niepokojem w sercu oczekuje jeszcze jednej zmiany... Dotychczasowe przeszły dla niego, dzięki Bogu bez szkód.

Rabin, wnuk błogosławionej pamięci cudotwórcy, z niepokojem w sercu oczekuje jeszcze jednej zmiany... Dotychczasowe przeszły bez szkody...

Ruchla i Szije Seif, wraz z siedmiorgiem dzieci różnej płci, oczekują z niepokojem w sercu, jeszcze jednej zmiany. Dotychczasowe przeszły dzięki Bogu bez szkody.

Marta Kypybida, Chana Schmetterling i tyle, tyle ludzi z niepokojem w sercu oczekuje wkroczenia polskiego wojska.

Czarna Chana niema w sercu niepokoju... Nie boi się przyszłości. Dla Czarnej Chany nie istnieje przyszłość... Czy powróci do niej jej mąż? Nie! On w niewoli ożenił się z prawosławną Katiuszą... Czy ludzie z Zbaraża zwrócą się do niej z szacunkiem? Nigdy! Ona jest miejską kurwą, maciorą utrzymującą bajzel... Czy będzie młodą dziewczyną o gładkiej twarzy, taką, jaką kiedyś była, Czarna Chanałe, którą ostentacyjnie, kokietował piękny syn doktora... Czy odstanie się ta chwila, w której zgwałciło ją pięciu kozaków? Dla niej niema przyszłości. Wie, co ją czeka, bordel. Nie odstanie cię nic, co się stało.

Nie będzie miał oka Hersz, ani mu nie odrośnie noga. Chana siedzi przy majaczącym Tortenie... Uciekła z swojej chaty do szpitala... Cudem uniknęła ciosu kirgiskiego kindżału pijanego sołdata. Kindżałem próbował zamaskować impotencję. Chana zna Tortena... Jeszcze za czasów rosyjskiej inwazji przychodziła do niego po radę i pomoc... Wdzięczną mu była za jego stanowisko w jej sprawach... On jej dał pierwsze pieniądze na utworzenie mleczarni... nie miał w tem żadnego interesu. W głębi duszy bolał nad jej losem, tłumaczył jej, że takie jej przeznaczenie, że ma do spełnienia swoją misję i to w tej formie. Rzadko z nią rozmawiał... Nie miał czasu, jakkolwiek coś go do niej zbliżało. Jej perypetje i wyłączenie z koła ludzi, osiadłych i statecznych, czyniły ją bliską Tortenowi...

I ona wiedziała, że o Herszku Tortenie, nie mówiono inaczej, jak tylko; lekkomyślny Hersz! Wstrętne jej było to całe kłębowisko ludzi, z którego niektórzy stateczni przedstawiciele przychodzili do niej chyłkiem i rozbierali spodnie i kalesony, a inni jägerowską bieliznę, którą troskliwe żony narzucały, łatwo ulegającym zaziębieniu, mężom. Wie jak dygocze jeden z drugim z pożądliwej niecierpliwości i jak zaśliniony i zasmarkany kryje głowę na jej piersiach...

Herszka takiego nie znała, on nie widział w niej kobiety, był jej bratem. Teraz to czuje... patrząc na poranionego Hersza...

Skulony, bez okularów, leży na żelaznem łóżku. Wieczorny zmierzch zasłania czeluść oczną, a tłusta ręka Chany mocuje się z chudem ciałem Hersza...

— Czekaj na mnie żono... moja żono! Obowiązkiem żony jest pozostać przy mężu... wygrałem sto koron... kupię naszemu gimnazjaliście nowy mundur... zobaczysz, co ja im wszystkim powiem! Głupcy, wy nie wiecie, co potrafi Hersz Torten... Panie radco... niech pan weźmie Chaima Epsteina i postawi na samym rogu raju... On ma ciężką szablę... Podnosi się na palcach i wznosi szablę i szabla spada i... jej nie wolno... wara... ona jest święta... ona jest większą od archanioła Gabrjela... Nie wyrzucaj mnie! Jaśko uważaj na boroźnego, zdaje się lekko kuleje... Pod nią czternaście kilogramów... Dlaczego się okna obracają... Moja żono, bądź ze mną...

Przestraszona Chana, bez przerwy zmienia zimne okłady na skroniach i czole Herszka...

Hersz wyciąga ręce ku swojej żonie, a wargi jego zwinięte w trąbkę dziecinnem seplenieniem przywołują przeszłość... Wychudzone ręce obejmują Czarną Chanę, miejską kurwę...

XL.

— Nikt inny, tylko wy mi pomożecie. Powiedzcie im jedno dobre słowo, ja nie sprzedaję wódki... Wam bym powiedział prawdę, zadenuncjował mnię sąsiad, Hryśko Sołtys... on na mnie zły, bo przegrał proces, tuż przed wojną... Jabym za żadne skarby nie sprzedał wódki, skoro istnieje zakaz. Ktoby tam zaczepiał Moskali, Kozaków... boję się na nich patrzeć. Tylko wy tatuńciu możecie ratować. Już mnię zbili, dwadzieścia pięć nahajek na gołem ciele, a teraz każą płacić karę 5.000 rubli. Mam żonę i czworo dzieci. Siedzę na wsi i wszystkich się boję. Człowiek niepewny życia. Chłopi patrzą na mnie, jak wilki, nawet nie wiedziałem, że nas tak nienawidzą... —

Mówił szybko, sycząc i śliniąc. W rwącym potoku wymowy, chciał ukryć kłamstwo...

Hersz Torten wie, że karczmarz kłamie, ale pójdzie do prystawa i uzyska zwolnienie kary... Będzie to coś kosztowało. Karczmarz zapłaci ze dwie setki...

Hersz Torten zastanawia się czyby nie zarobić na tym interesie, może weźmie trzysta rubli, a prystawowi da tylko dwieście, a może sto pięćdziesiąt... i tak mają z prystawem interesy... dość dużo mu płaci...

Karczmarz budzi w Herszu odrazę, zaślinioną wstrętną, rudą maską i czarnemi kłamiącemi oczyma...

— Psia jego mać, dlaczego on nie powie mi prawdy, przecież musi sprzedawać wódkę... A co będzie innego robił, a co robi przez całe życie?.. On jego żona i dzieci?... Sprzedają wódkę...

Zniechęcenie ogarnia duszę Hersza, rozpartego na ceratowej sofie, takby nie chciał mieć z tem wszystkiem nic wspólnego... z prystawem... Żydami szukającymi u niego protekcji i nie chce mu się poprostu wyjś na mróz...

— Zarobiłem na nieszczęściu tego człowieka, korzystałem z podobnych sytuacyj wielu innych.

Wiedział o tem dobrze i teraz w tej chwili, kiedy siebie widzi przed karczmarzem i prosi o pozwolenie przespania się w stajni...

Karczmarz się nie zmienił, siedzi na bankbetlu i niechętnym wzrokiem godzi w nędzarza.

Ruda gęba, ta sama, jak niegdyś, kiedy stał skulony przed Herszem Tortenem i skomlał o wstawiennictwo u prystawa, a dorzecze żyłek na policzkach, nabrzmiałych czerwonym płynem niesie bezradną złość. Tylko oczy nie kłamią... i usta odmawiają. Torten nie jest w tej chwili usposobiony do czynienia porównań na temat zmienności losu. Jest bardzo zmęczony i śpiący. Tak zmęczony, że nie usiłuje przypomnieć się karczmarzowi. Pada, a drewniane szczudła hałaśliwie układają się na podłodze.

To nieoczekiwane poddanie się słabości... upewniło Hersza Tortena, że się zestarzał. Dotąd o tem

nie pomyślał, bo właściwie nie było sposobności. Pracował bez wytchnienia. Niedawno zarabiał, spełniał chętnie swoje obowiązki prezesa kahału i nigdy nie czuł zmęczenia... Niebawem jednak uspokoił się i bezapelacyjnie usprawiedliwił swój wypadek i karczmarza... — Karczmarz nie poznał mnie, a czasy obecne nakazują ostrożność... Forsowny marsz umęczył wynędzniałe i zbolałe ciało, ale to przejdzie... —

Gnało go z obrębu Zbaraża, nie mógł dość szybko odejść od miejsc, które znał tak dobrze i dokładnie. Bolało jeszcze dotkliwie miejsce, w którem odcięto nogę. Za każdym szybkim krokiem ból natrętnie wypominał tę znaną lekkomyślność Hersza, a wspomnienie okoliczności, która towarzyszyła utracie nogi, było nieprzerwaną więzią z światem, który zostawiał poza sobą.

Unikał gościńców, aby się nie spotkać ze znajomymi ludźmi. Postanowił całkiem stanowczo i na zimno, odczepić się od całego szeregu znajomych ludzi, związanych pokrewieństwem, interesami i rozmaitymi węzłami dokładnie wynotowanemi w kodeksach prawnych i podręcznikach ekonomji społecznej.

Pomimo dotkliwego bólu w nodze, czuł w sobie jakąś lekkość, jakgdyby zrzucił z pleców gniotący ciężar. Zdawał sobie sprawę z tego, że prawie wszyscy ludzie, z którymi się spotykał, z którymi czyto rozmawiał czy handlował, oni wszyscy stanowili ten gniotący go ciężar.

Wraz z utratą pieniędzy poczuł się zupełnie zwolniony z łączności z otaczającym go światem pełnym doskonale widocznych celów...

Kiedy spoczywał w jakimś przydrożnym rowie i zajadał kawał chleba użebranego w karczmie czy chacie, przychodziły raz poraz na myśl okoliczności poprzedzające jego ostateczne postanowienie ucieczki ze szpitala... Bez cienia gniewu przypomniał sobie bezradnie zezłoszczoną twarz swojego szwagra, na wiadomość, że on, Chaim Torten cały swój majątek miał w sienniku swego — kawalerskiego — łóżka... Szwagier nie wierzył, że Torten mówi prawdę. Posądzał, o chęć udawania większego nieszczęśnika, aniżeli nim był naprawdę.

Nikt zresztą ze znajomych, odwiedzających go w szpitalu nie spodziewał się, że cały olbrzymi majątek Hersza był ulokowany w sienniku. Nikt nie wie, jak tam — z pieniędzmi bliźniego. — Poprostu nie wierzy się mu, kiedy opowiada o sposobie lokowania kapitału.

Pewnie ma jeszcze gdzieś indziej ulokowany pieniądz... niechce się przyznać... albo narazie nie może sobie przypomnieć...

Aż wreszcie pierwsze stwierdzenie niezbitej prawdy, że Hersz Torten urodził się lekkomyślnym i takim umrze, zwolniło znajomych Hersza od obowiązku odwiedzania i goszczenia byłego bogacza i prezesa kahału. Najbardziej komiczną wydaje się teraz, rada bezradnego szwagra...

— Zmienisz miejsce pobytu, bo tu źle ci będzie znosić niedostatek... Och ty lekkomyślny człowie-

ku! Jak można było wszystkie pieniądze trzymać w sienniku? Trzeba natychmiast napisać do dzieci...

Torten przyzwyczaił się do natrętnych zagadywań odwiedzających go w szpitalu znajomych. Starał się im odpowiadać, ale myśl jego błąkała się około dziwnego zdarzenia z Epsteinem... ktoś mu zdążył opowiedzieć o tem, że Chaim Epstein zwarjował. Nie obeszło się przytem bez zauważenia, że to było do przewidzenia... Tortena zaś bardzo zdziwił nieoczekiwany los Epsteina, nigdy nie zauważył u Epsteina odznak zbliżającego się szaleństwa... Hersz zapytywał ustawicznie o stan zdrowia Chaima, czem ostatecznie wyprowadził z równowagi, tak bardzo panującego nad sobą szwagra.

— Co ciebie obchodzi, zwarjowany Epstein, ty jesteś w gorszem położeniu... co teraz z tobą się stanie?... — Nie dopowiedział reszty, ale Torten zrozumiał, że szwagier jego jest zatroskany o przyszłość jego, Hersza Tortena i boi się, że miękkie serce kobiece jego żony, a siostry Hersza, gotowe tę przyszłość związać z ich domem... Ta ewentualność była przykra, a nawet niedopuszczalną ze względu na i tak — poszarpane nerwy — żony... Nie, nie chce wprowadzać kaleki do domu... Więc możeby napisać do dzieci...

Dzieci?! Wspomnienie kilkoro ludzi przez siebie spłodzonych, jakże mu obcych, zmusiło Hersza do zastanowienia się nad tem, co wymędrkował szwagier.

Dzieci! dawno je powierzył samym sobie i losowi! W każdym razie nie zwróci się do nich z pro-

śbą o pomoc. Chwilowy ból w nodze, uprzytomnił beznadzieną sytuację...

Szwagra już dawno nie było przy nim i reszta znajomych odeszła do swoich domów i zajęć, kiedy w umyśle Hersza Tortena, dojrzewał plan ucieczki z miasta. Niczem niewytłumaczona obawa przed zetknięciem się z dziećmi poruszyła do głębi duszę, schorowanego człowieka. Nie chce pomocy od dzieci, nie zasłużył na nią... Poczuł dopływ nowych sił, a leżenie stało się w pewnej chwili niemożliwe do zniesienia. Jak za dawnych czasów na Zbaraskiej Budzie podrywało go do zmiany miejsca. Leżącego na szpitalnym łożu, poczęła ciągnąć przestrzeń. Otchłanna dal, ssała go w siebie. Wpadał w olbrzymi lej chaosu.

Nawet sobie nie zdawał sprawy, z tego, co czyni, kiedy w nocy mijał niestrzeżoną furtę szpitalną. Nie myślał w tej chwili o tem, że stracił majątek, ani o tem, że Iwan Kostomacha syn Horpyny dziwnie się zachował, podczas choroby swojego chlebodawcy, bo nawet się nie pokazał w szpitalu, nie uważając za potrzebne zdać sprawę z ostatniej podróży do Proskurowa i oddać pieniądze, które przywiózł w dniu nieszczęścia Hersza.

Szedł przed siebie, a noc sierpniowa otuliła go ciemną opończą zda się, niewidymką. Polne drogi pokracznie rozwartemi ramionami brały go w swoje uściski i rosą gasiły gorączkę znękanego ciała...

XLI.

Ostatni okres życia Hersza Tortena liczy się

miesiącami, dniami, godzinami, a większych jednostek czasu nie można zastosować...

Możnaby się posprzeczać na temat użytego wyrażenia — życie. — Hersz bowiem w tym okresie nie chciał absolutnie niczego i za niczem nie tęsknił. Zdobywanie pokarmu i napoju odbywało się w formie tak bardzo nieznacznej, jak u rośliny, rosnącej w ziemi pulchnej i wilgotnej.

Żebranym chlebem i darowaną wodą żywił ciało. Pozatem nie istniał dla siebie. Nie kosztowało go to ani jednej minuty przezwyciężenia się, ani chwilki goryczy. Opanowała go tylko jedna, wielka świadomość rzeczy, Widział, słyszał i wszystko zrozumiał w ciągu ostatniego roku swojej tułacki. Możnaby od biedy postawić tezę, że skoro nie odczuwał tęsknoty za innym trybem życia, obecne musiało mu się wydawać dobrem. Ale on wogóle nie odczuwał żadnych emocyj ani zmian.

W ciągu sześciomiesięcznej wędrówki odszedł daleko od Zbaraża, minął setki wsi i wiele miast. Nie odnaleziony przez nikogo spowodu działań wojennych na terenie Małopolski Wschodniej, ani nawet bardzo poszukiwany.

Jeszcze w sześć miesięcy po ucieczce ze szpitala, próbowano go odnaleźć, a specjalnie zależało na jego świadectwie, młodemu przedsiębiorczemu adwokatowi Izydorowi Komaryńskiemu. Jemu powierzyły dzieci Hersza Tortena rewindykację dość dużej kwoty, od Iwana Kostomachy, pozostałej z transakcji w Proskurowie. Z całą gorliwością wypoczętego po trudach wojennych (był oficerem w strzelcach siczowych) prawnika prowadził na

własną rękę śledztwo celem udowodnienia, że Iwan Kostomacha nietylko zagarnął pieniądze, przywiezione z Proskurowa, ale także wtargnął do mieszkania Hersza Tortena i z siennika zabrał resztę pieniędzy. Rozbite drzwi i nieład w nawiedzonym przez rabujących żołnierzy domu Tortena, nie odebrały Iwanowi nadzieji, że ci się nie natknęli na właściwy skarb Tortena. I nie pomylił się, Iwan był powiernikiem Hersza, wiedział w którem miejscu są schowane pieniądze papierowe, a tylko srebro i złoto stało się łupem żołdactwa...

Tak w sądzie udowadniał Izydor Komaryński i gryzącą ironią na rozprawach nękał podsądnego Iwana Kostomachę. Syn Tortena przyjechał z Wiednia na rozprawę i ze zdumieniem konstatował, że ojciec jego miał olbrzymi majątek. Sam był doktorem filozofji i we Wiedniu utrzymywał się z handlu wiktuałami przywożonemi z odległych wsi austrjackich, oraz z handlu walutą... Miał nadzieję; po odebraniu pieniędzy od Iwana Kostomachy wrócić do Zbaraża i kupić akcje, które napewno pójdą w górę, a może zarobić nawet jeszcze więcej pieniędzy. W tych czasach zarabiało się łatwo i dużo,a po piętnastu latach, najtęższe umysły nie mogły sobie ani innym zdać sprawy, skąd się wziął początek świetnej konjunktury i dlaczego się bardzo rychło ta konjunktura skończyła...

Zbaraż pozostał na tem samem miejscu....

Ludzie zzamieszkujący tę połać Europy, którą samotnie przemierzał jedną nogą, stary Hersz Torten, nie korzystali z kalendarza. Nie było komu drukować ani ściennych, ani biurkowych... Fabryki

cykorji nie wysyłały do konsumentów reklamowych kalendarzy ściennych stały nieczynne, a fabryki broni nie mają w obyczaju wysyłania żołnierzom kalendarzyków w safianowej oprawie. Natomiast towarzystwa ubezpieczeń Anker i Feniks i wiele innych, bardzo skrupulatnie każdego ubezpieczonego obdarowują kalendarzykami, teczkami z imitacji skóry, ale wszystkie centrale usadowiły się we Wiedniu. Wiedeń wymarzone miasto dla centrali Towarzystw Ubezpieczeń, dla dyrektorów i prezesa Rady Nazorczej... — Ach Femina... Ronacher... Europa! Panie łaskawco... Europa!.. — Lukę tę zapełniały komunikaty sztabu wojennego... Zależnie od okoliczności czy dany wycinek gazety dostał się do rąk przeciętnego obywatela w dniu jej wydania, czy też w kilka dni później, dowiadywał się o datach i pewnych mniej lub więcej znanych punktach, na wschód od Zbrucza, Stochodu, wreszcie o magicznem znaczeniu Złotego Kijowa... W jakimś ułamku czasu zamknął się krąg możliwości poruszania się. Nim się stała widoczną w najrozmaitszych przejawach potęga nieprzyjaciela — zapanowała na obszarze pozostającym pod administracją polską — atmosfera przygnębienia... Komunikaty głosiły nowe daty i nowe miejsca coraz to bliższe i bardziej znajome... Strach przed nieznaną potęgą bolszewicką dyktował mieszkańcom Waru najniedorzeczniejsze pomysły...

Gazety pełne opisów najokropniejszych zdarzeń, wiązanych z niezwykłą nazwą czeki, truły miszczańskie dusze strachem...

— Sowiety socjalizują kobiety... — czytali za-

zdrośni małżonkowie i w tej crwili widzieli już swoje umiłowane żone skierowywane przez obrośniętego chudego urzędnika, wedle zapotrzebowania, do wstrętnego komisarza strostwa doktora Puka miejscowego, Don-Juana, albo do lubieżnego koncypienta adwokackiego doktora Bertowskiego albo co gorsza może nawet do przechodzących przez miasto żołnierzy. — Wszyscy oni są jednacy, czy w Polsce czy w Rosji... Don-Juan i basta... — konkludował urzędnik sądowy, Marcin Kaczor, znany w Zbarażu z zazdrości o bardzo brzydką żonę.

Nielitościwa fantazja wysila się na coraz to nowe obrazy udręki własnej duszy.

Zbliżały się wojska bolszewickie.

W miarę ich blizkości cichły wybuchy antysemityzmu, jeśli Żydzi są bolszewikami, lepiej ich nie drażnić. Naczelnik poczty łaskawszem okiem, patrzy na swojego podwładnego Syrkiesa, a prezes Sokoła już kilka razy przemówił do lekarza doktora Fischera. Ten ostatni już żałuje, że przed dwoma miesiącami, niezaproszony na bal do Sokoła, wypowiedział pochopnie, że — lepiej niech przyjdą bolszewicy, z tymi wściekłymi antysemitami, już nie sposób wytrzymać. — Poczta pantoflowa uzupełnia komunikaty sztabu wojennego. Są ludzie, którzy rozmawiali z ludźmi, którzy — sami na własne oczy widzieli...

Co chwili, nowe wiadomości i nowe ustosunkowanie się do nich. Nadzieje i zwątpienia obracają się dookoła osi... A obok życia pełnego emocyj i wzruszeń, przesuwa się życie i inne zupełnie nie-

zależne od wojny i komunikatów sztabu generalnego i poczty pantoflowej...

Naczelnikiem sądu jest sędzia Rutkowski. Nie szuka więcej towarzystwa Chaima Tortena, nie dlatego, że ten zniknął z miasta, ale dlatego, że ożenił się ze zbaraską pięknością, panną Maniusią, która nie dawno temu zaprawiała na flaczki przystojnego Stanisława Pająka. Pająk, niedawny narzeczony panny Mani jako podchorąży zdobywa piękne odznaczenia na froncie wołyńskim. Żony adwokatów, poborców, komisarzy straży skarbowej i żony innych mężczyzn wzajemnie stawiają sobie pytania — o czem też ona tyle rozmawia z tym komisarzem starostwa? — I same sobie nawzajem odpowiadają — wiadomo młoda żona pięćdziesięcioletniego męża... — I znów pytają — jak się to wszystko skończy, — aby z pewnością odpowiedzieć — ależ moja pani, zresztą jej to wszystko nie nowina, a co było z panem Pająkiem?... Radcowie, poborcy, naczelnik straży pożarnej, urzędnicy straży skarbowej, lekarze, adwokaci i wszyscy inni, którzy po pracy codziennej mają czas do swojej dyspozycji rozprawiają o sytuacji politycznej, o zniżce marki polskiej, o ponętnych kształtach urzędniczki starostwa, którą ze sobą przywiózł starosta, o Żydach, o bolszewikach, o kłopotach marszałka powiatu, pijąc piwo, przedrzeźniają miejskiego warjata Danila Pypka, albo z Izakiem Stockiem zwanym rebem grają w ferbla...

Na stację zajeżdża dwa razy dziennie pociąg, wyrzuca z siebie jakąś ilość ludzi, poczty i dymu, poczem wraca do Tarnopola...

Normalne życie pokoju, obok życia wojennego płynie zdawałoby się niezależnie bezustannie.

Jak w kotle wre życie miasta. Kipią namiętności, a apatja na dnie kotła z trudnością broni się przed corazto gęstrzemi falami wydarzeń...

O Herszku już się zapomniało. Nawet szames bożnicy, w której tak niedawno Torten zwykł był modlić się, a której ofiarował cenne rodały, zapomniał o Herszku, a przecież miał obowiązek corocznie, w dniu rocznicy śmierci żony Tortena, zebrać dziesięciu Żydów i wraz z nimi odprawić modły za duszę zmarłej. Torten zapłacił z góry szamesowi za trud i pamięć.

Tylko Czarna Chana nie przestała interesować się losem Hersza. Próbowała za pośrednictwem znajomych żołnierzy, dowiedzieć się o miejscu pobytu dość wysokiego Żyda o ródawej bródce jednem oku i jednej nodze. Żołnierze etapowi dość często przemierzają wzdłuż i wszerz Małopolskę Wschodnią, ale na człowieka o rysopisie podanym przez Czarną Chanę się nie natknęli.

Zgarbiony opierający się o dwie kule zdawał się być raczej niskim, a zielone okulary kryły czeluść prawego oka. Ani jeden włos rudy nie ostał się na siwej długiej brodzie, a czapka austryjackiego żołnierza i podarty mundur polskiego legjonisty (w Czernichowie Mazowieckim, chłopcy wiejscy zdarli z niego ubranie cywilne, zmuszając go do przywdziania munduru) czyniły z niego postać śmieszną i nie wzbudzającą litości.

W wędrownym półwarjacie nikt z dawnych znajomych ani z wysłanników Czarnej Chany nie po-

znał Hersza Tortena, znanego karciarza i bywalca tarnopolskich kawiarń i klubów towarzyskich na całem Podolu i bogacza, prezesa Kahału w Zbarażu i doradcy wielu wysokich urzędników polskich, ukraińskich i austrjackich, przyjaciela Mikołaja Antonowicza Markowa... Chana natychmiast po ucieczce Hersza ze szpitala zdyszana pobiegła do szwagra Tortena... śpieszno jej, bo otrzymała wezwanie od komendanta miasta — celem rozciągnięcia kontroli nad kobietami, oddającemi się prostytucji. — Czarnym drukiem ułożone słowa, jak kolby karabinów milicji etapu, biją po plecach i popychają ją ku komendaturze miasta...

— Na chwilę wstąpiłam, by powiedzieć, że po pańskiej wizycie w szpitalu dostał gorączki... a w nocy gdzieś znikł... — Ascetyczna twarz szwagra nie zdradza żywszego zainteresowania, nową sytuacją wytworzoną, ucieczką Hersza i tylko obecność i interwencja Czarnej Chany w jego domu zamieszkałym przez młode córki, zmusza do zrzucenia maski obojętności... — no nie moę w tej chwili niczeo zrobić. Nie pora obecnie na poszukiwania. On sobie już jakoś poradzi... taka jego natura... nie może usiedzieć na jednem miejscu... —

Ależ on jest ciężko chory... nie wolno mu się poruszać... proszę zróbcie coś na miłość boską, aby go zawrócić z drogi... jeszcze jest pewnie blisko... Ascetyczna twarz szwagra nabiera rumieńców, a konieczne w takiej sytuacji, uszczypliwe słówko ma na celu, oddalenie Chany — nie macie Chano już innych trosk... są tu w mieście młodsi i ładniejsi i... bogatsi ... — dobitnie akcentuje szyderstwo.

— Celem rozciągnięcia należytej kontroli nad kobietami, oddającemi się prostytucji... — Ciągną słowa, Czarną Chanę przed oblicze lekarza powiatowego, pełniącego, równocześnie funkcje naczelnego lekarza szpitala... Doktor medycyny, podpułkownik Muraszek zna Czarną Chanę. Zdążył się zaznajomić z domkiem trzech dziewcząt — tak nazwał, będąc pijanym, mleczarnię Chany. Poznał ją zresztą natychmiast po odbiciu Zbaraża w szpitalu opuszczonym przez ukraińskie władze. Opiekowała się ranionym Żydem i pomagała w pielęgnowaniu kilku ukraińskich żołnierzy, chorych na tyfus, pozostawionych przez Ukraińców „głównemu lekarzowi", studentowi któregoś tam roku medycyny... Wyrzucił ich oboje, pielęgniarkę Czarną Chanę i „naczelnego lekarza" na pierwszym roku medycyny, a na pożegnanie poradził, aby sobie wzajemnie zrobili lewatywę.

— Swoją drogą, bestja dobrze kraje — pomyślał, oglądnąwszy zoperowane miejsce na nodze Tortena... i łaskawszym wzrokiem przywitał Czarną Chanę, natrętnie narzucającą się gotowością pielęgnowania Hersza Tortena...

Ale ten uciekł...

— Niech go djabli porwą — głośno myśli doktor Muraszek. Dzisiaj nie pyta Czarnej Chany, ani o tego zwarjowanego Żyda, ani o głównego naczelnika szpitala, wielkiego, chirurga...

Jest trzeźwy i spokojnie bada Czarną Chanę... — Trzeba trzymać w porządku... to jest pani sklep... pierwsza rzecz czystość i tylko czystość...

XLII.

Hersz w mundurze austrjackiego piechura wędruje i żebrze. Nie zwraca uwagi na zdarzenia w Europie, Azji, Ameryce i innych częściach świata.

Po drodze niewiele ma sposobności do dyskusji politycznych. Nie spotyka się z Mikołajem Antonowiczem Markowem, jak dawniej na Zbaraskiej Budzie. Natrafi natomiast czasami na innego żebraka, nieufnie patrzącego na konkurenta... Niema z tymi ludźmi nic wspólnego...

Czy może się miał wdać w rozmowę z wesołym paniczykiem, elegancko ubranym, który dziękującemu, Herszowi za rzuconą jałmużnę wielkodusznie powiedział: — towarzyszu, okryjcie swoją głowę, nie stójcie przedemną z odkrytą siwą głową... daję wam to co się wam należy... daję z pewnością mniej, aniżeli mogę... — Towarzysząca eleganckiemu paniczykowi, panienka, głęboko wzruszona, przemową młodego przyjaciela, silniej przytuliła się do niego i z większą ochotą poszła do jego garsoniery... Po drodze uzasadniał swoje stanowisko — miły, kochany chłopiec, konstatowała w myśli panna — naukowo w kwestji niesienia pomocy biednym... — Świat, moja kochana, jest zbudowany na złych fundamentach... trzeba to wszystko zmienić.. od samych fundamentów... —

Dochodzili do domu, w którym mieszkał miły, kochany chłopiec, a w gustownie urządzonym pokoju nie było miejsca na dalsze uzasadnianie potrzeby budowania nowego świata. Tam był chaos, do którego bezwiednie tęsknili młodzi...

Torten popatrzył przez chwilę na parę młodych stworzeń, ginącą z oczu w ulicach miasta i z przyjemnością brał za dobrą monetę, fanfaronadę młodzika. Znał jej źródła i ujścia... To było w Tarnopolu.

Szedł dalej przed siebie...

Z kamiennych chodników miast, z murowanek i ścieżek polnych... dochodziły go słowa... kapitalizm... komunizm... tradycja i wiara... Na rynkach i w karczmach i przed cerkwiami wiejskiemi napotykał grupki ludzi, głośno protestujących przeciw czemuś. O uszy jego obijały się nieustannie, wypowiadane przez ludzi najrozmaitszego stanu i różnych klas słowa... „walka z antychrystem"... „koniec świata"... „nie mamy nic do stracenia"... „świat kapitalistyczny"... „klasa robotnicza"... Cóż jego może obchodzić zmaganie się świata z klasą robotniczą. Dla niego sprawa jest jasną. Są syci i obok nich istnieją głodni. A głodny człowiek chce się najeść, więc szuka jedzenia. Bogaci mają nadmiar jadła... Niech oddadzą nadmiar, albo w innym wypadku głodni zmuszą ich do tego. To nie jest wielka filozofja i dziwna rzecz, że wszyscy wielcy politycy i uczeni nie doszli do tej prostej prawdy...

Myśli te i podobne, przychodzą same, nieproszone. Szczególnie w czasie dokuczliwego głodu i w okresie mroźnych wiatrów, otulających troskliwie, przeświecające z podartego łachmana, ciało Hersza Tortena.

Wystarczy jednak darowana przez kogoś litościwego, kartoflana juszka i w niej pływające kluseczki z lanego ciasta, aby myśl poszła w innym kie-

runku. Wtedy owiewa go zapach ludzkiej dobroci, szybko wypierającej mróz zimowego wiatru, a z nią nadzieja bliskiej wiosny. Ciepła strawa doskonale działa na usposobienie zziębniętego osobnika. Wprost cudownych może dokonać zmian w harmonji pięciu zmysłów. Hersz mógł w lutym wyczuć cieplejszy podmuch wietrzyka, zabłąkanego w gromadzie, wściekle usposobionych wiatrów, lecących z Syberji. Umiał go wyłuskać i nim się rozkoszować. I nic nie znaczy wtedy mróz ścielący się po grudach bezśnieżnej polnej drożyny. Jakże nieistotne są zamarznięte, małe kałabańki, niby oczy umarlaków... Nic nie znaczą, wobec jednego wyłuskanego podmuchu wiosennego wietrzyka, w ciężkim miesiącu lutym...

Wsie blisko obok siebie rozrzucone jakby umyślnie uciekły od miast, rozsiadły się w dużym promieniu od — miejskiej — drogi i żyją swojem własnem, odrębnem życiem. A kapusta i ziemniaki troskliwie przechowane w lochach służą, za konieczne paliwo w chłopskich organizmach.

Przez całe chłopskie życie, ciągnie się sznurkiem dążenie do gromadzenia kapusty i kartofli, czasami przetkane cieniutką, barwną niteczką tęsknoty za czemś zupełnie innem od kapusty i kartofli. Tęsknota ta umieści się w zielono pomalowanych okiennicach chaty, albo w barwinku czy w mircie z trudnością oddychającym w kurnej chałupie... albo wstążkach wplecionych w jasne warkocze dziewczyny i w śpiewie chłopca rozrzucającego gnój przed stajnią... czy Marusi Balonównej, zawzięcie czyszczącej skopek (już dawno błyszczący).

I nie, słowa o Jasieńku — co to w Dunaju utopił Kasienkę — znaczą drogę Marusinej tęsknoty, tylko dłużąca się w nieskończoność melodja, niesie serce Marusi daleko od chaty, w której jej matka od tylu lat rządzi i zrzędzi, — bo to chłopa w domu niema, poszedł wojować (nie wierzy w jego śmierć), a ty haruj niebogo i pracuj za niego... Jezu... Jezu... jakaż moja dola... —

I taka dola Marusi...

A wójt, jak zwykle wójt. Osoba urzędowa, wie, co należy czynić, aby utrzymać się przy władzy. Pouczają go w mieście panowie urzędnicy starostwa. Do znudzenia powtarzają na rokach, że powinien dbać o to, by zboże nie szło na pasek, no i — żeby raz wreszcie zapomnieli o głupich ruchawkach... —

W pobliskiem mieście jest, P. U. Z. A. P. P., kierownikiem tego urzędu jest były właściciel ziemski Janusz Hajkowski. PUZAPP, skupuje zboże po maksymalnej cenie, a wójt wie, że Icko Haas płaci drożej od pana Janusza Hajkowskiego, dlatego sprzedaje Haasowi swoje zboże i pozwala swoim przyjaciołom politycznym, na handel z Żydem. Natomiast Semen Kurduba jest przeciwnikiem wójta i dlatego nie otrzyma z urzędu przepustki na wywóz zboża ze wsi, albo jeśli mu się już uda wyprosić przepustkę, wtedy wójt dobrze przypilnuje, by zboże dostało się do PUZAPP-u, gdzie cena jest niższa, aniżeli u Icka. Tak samo nie otrzyma Semen ani jego adherenci, bezpłatnie desek z Urzędu Odbudowy, bo wójt źle zaoinjował podanie i dlatego właśnie żona Semena, bierze cięgi od męża. Rozsierdzony na wójta gniew swój likwiduje na żoninych plecach. Po-

tem żałuje, patrząc na zapłakane dzieci i smutne oczy żony... — Przed dziesięcioma laty mówili we wsi, że te oczy były najpiękniejsze...

O umieraniu szeroko się rozpowiada. Już nie o wojennem umieraniu, tylko o tyfusowej śmierci... idą wieści... — Mój mąż pojechał do Chodaczkowa do swojego brata i zastał w chałupie trzy katafalki... żona, mąż i córka... zostało tylko maleńkie dziecko... bawiło się na podłodze... —

— W Milatyczach, to prawie cała wieś wymarła... —

— Wszystko zależy od lekarza... w Żurawnie jest taki doktor, który ratuje człowieka przez samo popatrzenie. —

— Chyba ta baba z Chorostowa jest lepszą od doktora... da ci takie ziele i z choroby ani śladu...

— Wszystkiemu winne są wszy... tłumaczył to naszemu synowi nauczyciel... Tylko wszy roznoszą zarazę. —

— A gadanie austrjackie... co może zrobić głupia wesz... Najlepiej to podpalić środek... wódką... Codziennie dwa kieliszki i człowiek jest bezpieczny. —

W karczmie o tem wszystkiem się nasłucha wędrowny Żyd, siedzi w kącie, niezauważony przez plotkujące starsze gosposie i popijających wódkę gospodarzy.

Aż spostrzegą rozbawieni tanecznicy, Żyda w podartym mundurze i pozwolą sobie na docinki, i wreszcie ośmieleni niezwykłem, niejako milczącem przyzwoleniem na żart, porywają i na środku karczmy zmuszają do tańca... I tańczy Hersz Torten,

postukując szczudłem, dla uciechy chłopców i dziewcząt. Tańczy bez cienia irytacji. Tańczy z uczuciem nurzania się w błocie, z uczuciem zapadania się w miękkość jakąś... nawet wygodną...

Nie złości go nawet szczutek w nos, udzielony, przez pięknego Leśka Stadnika, syna miejscowego parocha... Wysoka postać „czernobrewego junaka" góruje ponad otoczeniem skupionem w niedużej izbie, karczmy. Po maturze poszedł na wojnę z Polakami i osiągnął stopień komendanta oddziału służby wywiadowczej przy sztabie. On odkrył w kapitanie Liskowskim, polskiego szpiega i spowodował jego rozstrzelanie. Następnie był komendantem placu w Zbarażu i wydawał przepustki na przywóz nafty za pośrednictwem żony zbaraskiego weterynarza. Narażała się na złe języki, ale zarabiała dość dużo, aby nie uważać na obmowę, przytem komendant placu był bardzo miłym młodzieńcem, mawiała; — nawet mój mąż go lubi i ceni... cóż z tego że Ukrainiec? Czy Ukraińcy nie są ludźmi? —

Po wojnie i klęsce wrócił, były komendat placu do wsi do ojca, władze polskie pozwoliły na noszenie egzotycznego munduru obszytego złotymi sznurami, w ten sposób przyczyniły się do innych zwycięstw nie narażających człowieka na przelew krwi, a jednak słodkich i pożądanych. Klęski ponosiły dziewczęta wiejskie i żydowskie panny w pobliskim Zbarażu...

Za kilka lat Leśko Stadnik pojedzie do Krakowa. Piękny i obyty młodzieniec będzie studjował prawo, pozyska miłość córki znanego lekarza. Zapomni o wojnie z Polakami i nikt w Krakowie mu

o niej nie przypomni i Aleksander Stadnicki w cztery lata po wojnie będzie reprezentował na zjazdach zagranicznych narodową młodzież polską. Będzie reprezentował godnie i przyznają mu to sprawozdawcy polskich pism narodowych...

W tym czasie już nikt nie przypomni sobie komendanta placu w Zbarażu, ani Hersza Tortena ani żony weterynarza.

W karczmie unosi się gęsty dym z tlejącej się machorki, a zapach wódki pomięszany z parą piwa łączy się w nierozdzielną całość z wyziewami kapusty i kiełbasy. Nieustanne, blaszane dźwięki cymbałów zagłuszają nieśmiałą melodję skrzypeczek ślepego Dośka Hercuna, tylko śpiew podochoconej, starej Jewdochy, zwycięsko przedziera się przez opary trunków, rzępolenie Dośka i blachy cymbałów — idzie na dwór chrapliwem wołaniem, wzywa z karczmy swoją tęsknotę za młodością, zagubioną gdzieś wśród nieskończonych dotąd poszukiwań za spokojnem bytowaniem, wraz z swoim nieślubnym dziesięcioletnim synem...

Wsie są bardzo podobne jedne do drugich i życie płynie takie same w Ochrymowcach, w Szlachcińcach i w Czernihowcach i miasteczka bardzo podobne jedna do drugich i ludzie...

Konstatuje to Hersz Torten, odwiedzając wsie i miasteczka...

Wchodzi do chałup, kiedy go głód zmusi do żebrania, albo pragnienie. Czasami snu zażyje w jakiejś szopie, lub w stogu ukryty głęboko...

Nie zraża go opryskliwy ton odmawiającego pomocy. Niekiedy wysłucha usprawiedliwienia i myśli

o niem, że jest zbyteczne. Wie bowiem, że zawsze zawsze się znajdzie ktoś... miłosierny... chłop czy Żyd... czy pan... chętny żebrakowi i bodaj przez chwilę życzliwy. I wystarcza ta jedna chwila życzliwości, aby Hersz Torten otrzymał szklankę gorącego mleka i kawał chleba. A czasami ktoś odmówi. Torten rozumie wszystko. Dlatego wie nawet co mu powie zagadnięty pierwszy lepszy napotkany człowiek i co mu zagadnięty odpowie...

Stwierdził, że świat jest zbudowany wedle jakiegoś utartego szablonu, a ludzie poruszają się w kierunkach szablonem przewidzianych i porozumiewają się ograniczoną ilością słów i zdań. Wiedział, że bogaty Żyd czy chłop wyrzucą go z podwórza i nie obronią go przed psami. Tak już jest i tak ma być.

Natomiast biedniejsi mają litość w sercu i lżejszą rękę. Nic go nie obchodzi dlaczego tak jest, a nie inaczej. Bogatsi chętnie ofiarowują na cele ogólne. Pamięta zresztą, że sam chętnie chciał ofiarowywać grubszy pieniądz dla domu starców czy na macę dla biednych, aniżeli z każdym biedaczyną z osobna się rozprawiać. Bogaci nie mają poprostu na to dość czasu.

XLIII.

Stało się wreszcie tak, że Chaim Torten w okresie swojego wędrowania zrozumiał wszystko, a przedewszystkiem swoją rolę na świecie. Nie dziwił się przeto, ani nie żalił przed nikim, że go po

drodze gawiedź wszelaka zaczepiała, wyśmiewała i nieraz dotkliwie pobiła. Uspokajał się twierdzeniem prawdy, że jemu przypada właśnie rola rozśmieszania i pobudzania do wesołości, właśnie tę gawiedź. On wszystko rozumiał, a chłopcy i dziewczątka o niczem nie wiedzą, tylko dają się porywać swoim najrozmaitszym chceniom, a przedewszystkiem chcą się weselić... to znaczy coś w nich pragnie tej wesołości. Niech więc ją mają, on ją im da, bo taka jest jego rola na świecie. Dowiedział się o tem dość późno, ale się dowiedział. Cóż jemu na tem zależy, że go otaczają małe smyki i na całe gardło wrzeszczą „żydowski generał", albo „bej... bej... hawrej". Niechaj sobie krzyczą, owszem podejmie z nimi rozmowę i z mieszaniny słów luźnych, nic nie znaczących podchwyci jedno słóweczko, aby niem jeszcze bardziej zabawić dzieci ulic miejskich i wiejskich dróg — położy się na ziemię i sam krzyknie donośnie, „bej... bej... hawrej"! Aż przestraszone niezwykłem zachowaniem się Żyda, rozczarowani ulicznicy, precz pójdą... Nie gniewa się na nich, ani im nie złorzeczy. Ani ich nie lubi. Spełnia swoje zadanie i o tem wie. Powie o tem nawet przypadkowo nadchodzącemu księdzu proboszczowi, który uważa za swój obowiązek połajać małych pogan...

— Nie trzeba... nie trzeba, niechaj się bawią. —

— Kosztem waszej osoby?... Nie pozwolę grzeszyć!

— Jaki tam grzech? Zabawa i nic więcej... — Księdzu, nienawykniomemu do podobnych sytuacyj wydaje się dziwnem, stanowisko człowieka prześladowanego, a tembardziej Żyda... bierze go za warjata i tem ostrzej strofuje dzieci...

— Nieszczęśliwego nie wolno prześladować... —

— on warjat!!! on warjat!!!

— tem bardziej nie pozwalam choremu na umyśle dokuczać...

Ksiądz proboszcz przemawia językiem książek szkolnych i katechizmu, ale Chaim Horten najspokojniej w świecie stara się udowodnić, że nie jest warjatem, że doskonale sobie zdaje sprawę z wszystkiego, co się dzieje... Proboszcz dla stwierdzenia, pyta o bolszewików... czy wie co o nich?... Wie, wie dobrze, że polskie wojska cofają się krok za krokiem, że bolszewicy prą na Warszawę i na Lwów...

Podejrzenie u księdza rodzi się i coraz to szerzej rośnie, aż wreszcie urasta do przekonania, że ma przed sobą szpiega... Skąd o tem wie? Skąd o tem wie? Niech powie!...

— Chodzę po całym kraju i słyszę co mówią i widzę co się dzieje... —

Dlaczego udaje warjata, kiedy jak wnioskować można orjentuje się i myśli normalnie... dlaczego z przyjemnością patrzy, jak grzeszą dzieci?...

— Właśnie dlatego księże proboszczu, że myślę normalnie... cieszę się, że dzieci się bawią... —

— Szarpaniem człowieka skaleczałego, bezbronnego?... W tej chwili nie wierzącemu „w te głupstwa" natrętna myśl o djabłach się napiera i nie chce ustąpić... ksiądz żegna się krzyżem... spluwa na ziemię.

— Księże, nie jestem djabłem, jestem człowiekiem, który ma swoje przeznaczenie... —

— Jakie ono? — bezwiednie pyta ksiądz...

Ot takie, jak tej trawki... czy ksiądz się gniewa na dzieci kiedy dla swej uciechy wyrywają trawę?... Ja jestem taką trawą i nic więcej... — Niema odwagi, a zresztą i potrzeby przyznać się księdzu, że w tej chwili sam ma wątpliwości w takie swoje przeznaczenie. Więc gra rolę obraną, czy też przez kogoś mu narzuconą... Rozmawia z księdzem i równocześnie dokonywa odkrycia, że pomysł o aktorowaniu jest bodaj że lepszy od samego przeznaczenia... Chce mu się urządzić przedstawienie ze siebie, i swoich przejść i czyni to chętnie. To wszystko... Nikt go nie zapyta, coby było, gdyby on niechciał grać swojej roli... W każdym razie, sprawdza osobiście najdokładniej swoje ruchy, nawet mimikę i swoje słowa.

Ksiądz się uspokaja przekonaniem, że warjat bredzi... Nie będzie mu odpowiadał mądremi słowami, o tem, że przeznaczeniem ludzi wszystkich jest doskonalenie się i umiłowanie Boga w Jego Trójjedynem Objawieniu się... Pewnie nie zrozumie ten dziwny warjat, że gdyby były różne przeznaczenia dla różnych ludzi, wtedy, by łatwo ktoś mógł fałszywie ująć swój cel, łatwo minąć się ze swojem przeznaczeniem i straszliwie grzeszyć... tymczasem wiąże ludzi wszystkich w jedną całość — Bogu Niebieskiemu Chwała — przez Syna Jego, Odkupionych — dążenie ku doskonałości... — Myśli sobie ksiądz proboszcze... — ot kiepski warjat... —

A Torten dalej idzie otrzymawszy od księdza jałmużnę, mija ostatnie opłotki, okalające cmentarz, aby w szczerem polu, w przydrożnym rowie usiąść i spokojnie zjeść kawałek użebranego chleba... Zajada się chleb i przytem myśli o swojem przeznacze-

niu, człowieka lekkomyślnego, który przez całe życie, to zarabiał, to tracił... z rąk wypuszczał... nie umiejąc zatrzymać dla siebie, dla swojej wygody... dla swojego szczęścia... W tej chwili ogarniała go rzewność bolesna i wspomnienia czegoś nieuchwytnego, bezpowrotnie utraconego i żal... I kontrola własnych myśli z koniecznym dodatkiem autoironji...

Niema prawa do żalu... Jest lekkomyślnym. Jest takim, jakim jest i nie może się zmienić, jak lew nie może się zmienić w osła... Czy może mieć żal do swoich dzieci, przecież o nie, niewiele się troszczył... więc niema prawa do żalu... Ale żal nie pytał o prawa... Zmagał się z rozumem i czasami zwyciężał. Wtedy z jednego oka spływała łza, a w całem jestestwie zobjektyzowanem, w poszarpanem ciele Hersza, rozlewało się uczucie bezgranicznego bólu. Tak bywało czasami, w szczerem polu, a niekiedy na ławie bożniczej, która służyła za nocleg. Latem... jesienią... zimą... Ale taki stan bywało, trwał krótko. Wystarczyło kichnąć (człek łatwo się przeziębia) albo załatwić inną fizjologiczną potrzebę... a mijało rozrzewnienie...

Pozostawało doskonałe zżycie się z słońcem, księżycem i gwiazdami, jako najlepszemi energjami światła i zżycie się z rowem, twardą — i jakże rozkosznie miękką dla strudzonego ciała — ziemią, objektami człowieczej tęsknoty do poziomego ułożenia swej osobowości... równolegle do... nieba...

XLIV.

Tylko niezwykła sytuacja wojenna, mogła się

przyczynić do tego, że Tortena przepuszczono, przez szereg komnat hnizdyczowskiego pałacu i stawiono przed oblicze hrabiego Pochwalskiego. Ściągnął go prawie gwałtem z drogi, hnizdyczowski ekonom, żądny nowin o sytuacji wojennej. Spodziewał się od wędrownego człowieka — a specjalnie Żyda... oni wszystko wiedzą — świeżych wiadomości, pewniejszych od tych, które podają spóźnione komunikaty...

Dyrektor dóbr hnizdyczowskich, wysłał ekonoma na trakt łączący Stryj z Tarnopolem, aby ten zasięgnął języka... Już od kilku dni stoją konie zaprzągnięte do trzech wozów, gotowe do wyruszenia w kierunku Stryja. Hrabina z dziećmi od tygodnia przebywają w Krakowie, Uciekli przed dziczą ze Wschodu, mąż jej nie chce uciekać, żal mu bibljoteki i rozpoczętej pracy nad dziełem socjologicznem p. t. „Assymilacja Żydów na tle nowoczesnych stosunków ekonomicznych".

Tortena wepchnął ekonom do gabinetu, w chwili sprzeczki hrabiego z dyrektorem dóbr.

— Mam już dość waszej kurateli — nie mieszam się do zarządu majątków, nie mieszajcie się do moich spraw osobistych. Bardziej, aniżeli zbytnia troskliwość o jego życie i całość, złościła hrabiego jedna, z wielu porozkładanych na różnych sprzętach w gabinecie, fajek. Nie mógł dzisiaj zapalić fajki, gasły z jakiegoś powodu, a tu nadomiar dokucza mu dyrektor dóbr, swoją nieproszoną opieką... — uciekaj pan, ja zostaję. —

Dyrektor krępuje się chlebodawcą, nie wyjedzie bez hrabiego, a pogłoski niesprawdzone i potworne nie pozwalają na chwilkę spokojnego snu.

Wieś w jakiejś chwili, oddaliła się od dworu... Zapadło się gdzieś pod ziemią, „tradycyjne pożycie z dworem" (z okazji dożynek używał dyrektor niezawodnych w wywieraniu wrażenia słów „tradycyjne pożycie wsi z dworem"). Ludzie z dworu osamotnieli, wśród gromady wieskiego społeczeństwa... zjawił się strach, przed nieznanemi możliwościami, tkwiącemi w duszy zdawałoby się znajomych Jaśków Świstunów, Semków Sałamachów, czupurnych Warwar i Mikołków. Murowanka dudni w oddali, od nieprzerwanego łańcucha fur, pojazdów, bryczuszek pełnych uciekinierów i ich dobytku. Wysokie topole na przestrzeni kilkunastu kilometrów majątków hrabiego, budzą nocą w duszy uciekinierów obawę przed możliwą zasadzką kozaków Budiennego — tyle się o nich słyszy — we dnie zaś, troskliwie chronią przed upalnem słońcem sierpniowego południa... Gna ich wszystkich strach przed bolszewikami. Jedyną otuchcą dla mieszkańców folwarku, oddalonego o milę od głównego traktu pozostaje gwizd pociągów, sunących w kierunku Tarnopola... Jeszcze w tamtą stronę można jechać...

Komiczna postać Tortena, udobruchała nieco hrabiego... a pierwsze zdanie Hersza o sytuacji utwierdziły hrabiego i dyrektora, że rozmawiają z dziwnym człowiekiem. W dość dobrej polszczyźnie starał się uspokoić przestraszonego dyrektora, nie zaprzeczając wszelako, że bolszewicy są już blisko... Posiada o nich wiadomości wiarygodne, usłyszane z ust innych włóczęgów, którzy przez dość duże oka sieci frontu bojowego, swobodnie przechodzą to na jedną, to na drugą stronę frontu... — Nie

są oni tacy straszni, jak ich malują... gorsi od nich są swoi rodzimi bolszewicy. —

Na chwilę błyśnie podejrzenie, że wagabunda może być szpiegiem, ale dalsza rozmowa i w toku tejże zdradzona znajomość galicyjskich stosunków, a przedewszystkiem powołanie się na znajomość ziemian powiatu zbaraskiego, rozwieją nieufność. Przy herbacie łatwiej opowiada o rzeczach ciekawych. Słucha już tylko hrabia, bo dyrektor uspokojny wiadomościami i upewniony, że dzisiaj może spokojnie spać, poszedł do swojego mieszkania „nieco się zdrzemnąć". Hrabia pykając fajkę, rozkoszuje się rozmową z ciekawym okazem Żyda...

Jest wprawdzie konserwatystą, ale nie ucieka od postępu... pragnąłby tylko spokojnej przemiany, przygotowanej przedtem w naszych umysłach... Herszko nie widzi potrzeby zastanawiania się nad problemami społecznemi, bo w nich gubi się jednostka, a tymczasem każda jednostka jest inna i inne jej przeznaczenie... — nie porzuca teorji o przeznaczeniu. — Chmura dymu z fajki oznacza niezadowolenie arystokraty z napotkanego sprzeciwu, tyle lat bada duszę masy i tu mu ktoś, nieledwie pozbierany z ulicy, mówi o jednostce... W hrabiu budzi się poczucie odpowiedzialności socjologa za wszystko, co jest i co będzie, a zagadnienie konfliktu pomiędzy jednostką i ogółem jest stare jak świat. Hrabia uważa za stosowne rozmawiać z każdym na temat zaciekawiających zagadnień. Idzie o zaznajomienie się z najrozmaitszymi „rozumami"... chłopskim... żydowskim. W pracy socjologicznej wszystko się przyda... Naprzykład taka anegdota

zasłyszana od handlującego wołami Szmulka Gottlieba. — Przyjechałem do jednego Niemca, kolonisty w Ramowem Siole, pan hrabia ich zna?... dobrzy gospodarze i bogaci ludzie... Pan Grossbauer wprowadza mnie do swojego domu i poleca swojej żonie by mnie ugościła, nie pamiętam już czem — zdaje mi się, że barszczem... oni od Rusinów nauczyli się gotować barszcz... Mnie jednak śpieszno było do załatwienia transakcji, bo nazajutrz miałem ładować bydło do Katowic, a tu zabrakło mi do kompletnego wagonu jeszcze dwóch sztuk bydła... Aby jednak nie zdradzić się, że mi bardzo pilno do kupna i temsamem narazić się na wysoką cenę, za dwa pięknie wypasione woły... odpowiadam, że jako religijny Żyd nie mogę zajadać u innowiercy... Pan hrabia wie, że ja się nie liczę z przepisami, bo i z kuchni pana hrabiego nieraz jadałem, ale w tamtym wypadku szło o wybieg... Grossbauer zaproponował wobec tego jaja i kawę, ja znowu kryję się za parawanem przepisów... więc jabłkowe wino... ale wieczór się zbliża, a ja siedzę jak na rozżarzonych węglach... nie, nie, nie będę pił, ani jadł, bo niechcę się strefnić u innowiercy. Wtedy rozżalony Grossbauer powiada — ach Ihr Sajuden... mit uns heiraten, essen und trinken wollt ihr nicht... nur die Paar Ochsen wegkauffen... —

W tej anegdocie znalazł hrabia wielką socjologiczną prawdę. Omówił ją szeroko w swojej pracy. o assymilacji Żydów...

Z Chaimem Tortenem dyskutował o interesujących problematach, pragnąc wypocząć po zawiłych rozprawach Tarde, Dmowskiego, Wasilewskiego,

Muckermana i tylu innych — co więc się ma dziać wedle pańskiego zdania? —

— Nic! —

— Jakto nic? Czy my ludzie nie mamy możności zmienić otaczający świat w kierunku udogodnienia życia? A co nas odróżnia od zwierząt, jeśli nie boski rozum, pozwalający nam przewidywać i unikać raz poznanych i w pamięci utrzymanych błędów...

Chaim Torten wie, jedno, że się doskonale siedzi w fotelu i pije smaczną kawę, a co najprzyjemniejsze z mądrym człowiekiem rozmawia, o rzeczach ogólnych, tak, jak za dawnych czasów z Mikołajem Antonowiczem Markowem... Z całą swobodą człowieka doświadczonego stara się pouczyć hrabiego doktrynera, że właściwie to się nic na świecie nie zmieniło, tylko ludziom się zdaje, że mogą coś tworzyć...

— Wynalazki,,, choćby wojenne?

— Co one znaczą wobec tego, że nie mogą wyrzucić z człowieczego wnętrza ani głodu, ani pożądania? —

— Właśnie, że ułatwiają zdobywanie pokarmu i innych objektów pożądania. —

— Sprawa polega w pożądaniu, a nie w sposobie zaspakajania tegoż. Panie hrabio ja wiele wiem i niczego nie chcę... —

— I jest pan szczęśliwy?...

— Szkoda używać takich niepotrzebnych słów... szczęśliwy! Gdzie jest powiedziane, że człowiek ma być szczęśliwym... —

— Więc jaki cel życia?... —

— Nie szuka się celu, panie hrabio, tylko się żyje... i spełnia swoje przeznaczenie. Każdy ma jakieś przeznaczenie... jeden jako rewolucjonista, a jeden jako konserwatysta, inny ma do spełnienia wielki czyn bohaterski, a inny musi wydłubać oko swojemu przyjacielowi... i połamać nogę... —

Ostatnie słowa jakby do siebie samego powiedziane, upewniły hrabiego o jakichś przejściach dziwnego Żyda. Hrabia już dawno nie miał sposobności do wygadania się o sprawach, które go interesują... Tyle się naczytał, poważnych książek. Musi z kimś o tem wszystkiem porozmawiać, a dyrektora zajmują tylko gospodarka i kobiety... Z dyrektorem nie może poruszać zajmującego tematu o woli...

— Człowiek posiada wolną wolę, może czynić to, co mu rozum nakaże.

— Wartoby wiedzieć, kto temu rozumowi dyktuje? —

Wszystko się jakoś tak dzieje, koniecznie i ciągle, że niema powodu wsadzać pręta pomiędzy szprychy poruszającego się koła... a zresztą, to się na nic nie przyda.

Switało, a w szarzyźnie kąta gabinetu, rozprawiały półgłosem dwa kontury męskich postaci. Jedna w długim szlafroku żywo gestykuluje, a druga żołnierskim mundurem objęta, skulona i beznamiętna... Nie uszło uwagi Chaima, że odgrywa rolę doświadczalnego królika. Hrabia Pochwalski natomiast nie zadawał sobie trudu, by ukryć, że Żyd jest objektem naukowego zainteresowania... Niema nic przeciw temu. Hersz, wie dobrze, że wielki pan przemawia do niego przyjaźnie, nie może jednak

być jego dobrym przyjacielem, jakim był dawno, Mikołaj Antonowicz. Nawet nie dlatego, że hrabia jest arystokratą, a on nędzarzem w łachmanach. Tej różnicy nawet nie dostrzega, a jeśli hrabia nie może być jego przyjacielem, to tylko dlatego, że w sercu Hersza jest tylko jedno miejsce dla przyjaciela i to dla Mikołaja Markowa... W ciągu wędrówek odnowiła się tęsknota za Mikołajem Antonowiczem, a wraz z świadomością i pewnością, że to Markow go postrzelił obok chałupy Czarnej Chany zrodziło się przekonanie, że, taką ma do spełnienia misję jego przyjaciel. Tkliwość i nieczęsto dostępna litość dla Markowa, (uczucia zdawałoby się siedziały w głębiach duszy zmęczonego człowieka) łączyły go z przyjacielem i to właśnie wtedy, kiedy przyszła pewność, że Mikołaj Markow musi go zabić, że taki już los Mikołaja Antonowicza, byłego wachmistrza ułanów księcia nordlandzkiego, stacjonującego niegdyś nad granicą, koło Zbaraskiej Budy. —

Hersz chętnie służy panu hrabiemu za dokument ludzkiej duszy (w najciaśniejszem tego słowa znaczeniu). Na wszystko patrzy i wszystko słyszy... każde miasteczko, każdą wieś wyekspolatował, nie mówiąc o wielkich miastach, w których się zatrzymywał przez kilka tygodni. Żebrał i filozofował. A sposobności tyle wśród ciągłych zmian terenu i ludzi. Poznawał na nowo rzeczy i stosunki, które niegdyś zdawałoby się, znał, aż teraz wydawały mu się zupełnie odmiennemi. Inny zupełnie charakter i całkiem inne przeznaczenia. Najważniejszą cechą ludzi jest ich przeznaczenie, każdego z osobna... trzeba tylko je poznać, wyczuć i ma się spokój.

Torten notował pilnie w umyśle, nowe spostrzeżenia, wiązał je z innemi i wysnuwał wnioski. Filozofował... Chętnie zda sprawę hrabiemu ze swoich spostrzeżeń. Siedząc na miękkim fotelu, wygodnie rozparty, wraca do dawnej formy. Odzywa się w nim niezgasła zupełnie, potrzeba zwierzania się ze swoich spostrzeżeń. Więc się łatwo i rozciągliwie prawi, zaciekawionemu arystokracie, o swojem życiu i chętnie słucha tego, co wyczytał uczony hrabia.

— Tak, panie hrabio, inaczej się widzi świat kiedy przestaje się być.. niejako osobą oficjalną... Jak długo płacimy podatki, jesteśmy wymienieni w statystykach, w spisie ludności... jesteśmy oficjalnemi osobami... — On kaleka żebrak, poznał biedę i nędzę ludzką. Przedtem patrzył na to wszystko, ale nie widział tak, jak teraz, od kiedy rozpoczął swoje wędrowanie. Nie wiedział, że w jednej chałupinie o przestrzeni sześciu metrów sześciennych, może mieszkać dziewięć osób... Nie spać, pokotem przez kilka godzin, ale żyć. Odbywało sięw tej norze o glinianej podłodze i oknach, w których papier zastępował szyby, wszystko to, co należało do życia. Ludzie meldowani na policji jako mieszkańcy chaty Nr. 613, rozmawiali ze sobą językiem, jakiego używają osiadli gospodarze, księża, kupcy i przemysłowcy. Mieli w pamięci przeszłe, dawno przebrzmiałe zdarzenia. Mieli nadzieję na coś innego, niż jest obecnie. Chcieli doczekać się czegoś... Kłócili się wzajemnie i przepraszali. Handlowali, żenili się i mnożyli. Chcieli żyć! Wszyscy razem i każdy z osobna pragnęli żyć, oddychać i ta z odparzeliną na

pośladkach powstałą od długotrwałego leżenia na tyfus i ta baba z odpadającym nosem i jej córka, której już nikt nie chce nawet za darmo... Chcą żyć i oddychać stęchłem powietrzem śmierdzącej nory... Dawno, dawno już temu mawiał Juljan Konieczny (zabił się biedaczek) — po jakiego licha ludzie się pchają na świat... wszyscy chcą równocześnie żyć... to tak nie idzie moi państwo... jeden za drugim... jeden za drugim... jeden umrze, drugi się narodzi... taki porządek zaprowadzić... Klasa, prawda panie Heniu... Heniusiu.? — Juljan Konieczny lubił się pośmiać i pożartować.

W takich norach nieraz nocował Hersz Torten. Nie litował się nad mieszkańcami tych nor, ani nad sobą. Co widział i słyszał było przedmiotem jego badań i jego studjów. On wie już jakie jest jego przeznaczenie, szukanie i oznaczanie przeznaczeń wszystkich napotkanych ludzi i rzeczy...

Poza wyjątkowemi chwilami, zapatrzenia się w swoją przeszłość i zadumania nad tem, co się działo, nie bolał nad swoim losem.

Zrozumiał bowiem, że jego charakter, przeznacza go na takiego, a nie innego człowieka, a inni jego znajomi żyją wedle możliwości tkwiących w nich samych. Naprzykład jego szwagier... w każdej sytuacji utrzyma swój stan posiadania. Cała jego działalność życiowa polega na asekuracji i reasekuracji... Jeszcze dawno przed wojną, mawiał Hersz do swojej żony — twój brat posługuje się systemem tak zwanym szufladkowym... zamyka część majątku w jednej szu-

fladzie, a klucz wraz z inną cząstką majątku chowa w drugiej szufladzie, zaś klucz od tej ukrywa w innej i tak w nieskończoność, życie jego polega na utrzymaniu w świadomomści, kolejności tych szuflad i kluczów.

Kiedyś się naśmiewał Hersz Torten z swojego szwagra, chociaż ten mieszkał w własnym, murowanym domu, z werandą pomalowaną na żółto, ocienianą dzikiem winem i miał skład desek. Szwagier Tortena nie grał w karty, ani nie czytywał gazet i nie filozofował... składał pieniądze na posag dla dwóch córek i przez całe życie nie zamienił z nikim dwóch niepotrzebnych słów... Hersz ujmuje, dzisiaj tę właściwość (nie wadę) poważnie, jak uczony botanik przyjmuje do wiadomości, że jakiś kwiat ma jeden słupek zrośnięty z pięcioma pręcikami... Jak hrabia ujmuje właściwości duszy „jeszcze jednego z tłumu" Hersza Tortena... Więc się nie dziwi niczemu, patrzy na wszystko i notuje przyczyny i skutki i umieszcza zjawiska dostrzeżone, jako poznane, w jakiejś komórce mózgu. Tam ono sobie leży spokojnie i czeka, aż je kiedyś użyje jako ważne ogniwo w łańcuchu zdarzeń. Układały się one w warstwy lodu na duszy Chaima Tortena. W tem doleciał do uszu czuwających, turkot zbliżających się wozów i tętent podkutych koni... Na dziedziniec folwarczny wjechało kilkanaście podwód i kareta zaprzężona w cztery konie...

Nawpół rozebrany dyrektor, zachrypłym, od snu i przestrachu, głosem — oznajmił przyjazd barona Huna z Lubianek w zbaraskim powiecie...

— Ledwie uciekli z życiem... panie hrabio jeśli pan nie pojedzie... sam uciekam...

XLV.

Oddalał się corazto bardziej od gościńca. Ciągnęły go ze sobą czarne dróżki szukające możności, otrząśnięcia się z prochu, w lasach rozrzuconych łukiem na niewysokich wzgórzach. Coraz bardziej pochylony, kuśtyka po nieznanych okolicach i nie budzi już śmiechu. Raczej go się boją dzieci, a i starsi chętnie omijają... Coraz trudniej mu o wyżebranie kawałka chleba, więc próbuje smaku surowej kukurydzy, albo kapusty czy ogórka. Są jeszcze pod ręką, po ogrodach, polach... Czasami przydrożne drzewo uginające się pod ciężarem owocu, ugości Hersza Tortena... jabłkiem... gruszką... śliwką...

Hersz nie umie obliczać gramo-kaloryj ciepła, mieszczących się w surowiźnie jarzyn, czy owocu. Nie zastanawia się nad tem, że przechodzi lekką czerwonkę. Porusza się bardzo powoli, ale idzie ciągle przed siebie. Już niema żadnej troski ani o wczoraj, ani o jutro. Dla niego, istnieje tylko dzisiaj. Dlatego nie rozumie wcale, Ojca Jacentego, pustelnika z Czarnej Góry.

W kamiennej grocie wykuta kapliczka i cela mnisza, są jedyną własnością O. Jacentego. W trumnie sypia pustelnik z Czarnej Góry, a żywi się ogrodowizną, uprawianą na małym kawałku ogrodu. Przyniosła go w te miejsca wojna. Rosyjski akcent jego polskiej mowy stwierdza pochodzenie z Rosji.

Osiedlił się na najwyższem wzniesieniu lesistego wzgórza i nikt go stamtąd nie wyrzuca. Do, nieudolnie z drzewa wyrzeźbionego Chrystusa zanosi modły o oświecenie go w jego pracy. Leczy chorych bezinteresownie, z głębokiem przeświadczeniem spełnionego posłannictwa, wśród chorej okolicznej biedoty... Obok swej budy, wysoko wciśniętej pomiędzy stare dęby, znajdzie łatwo rozmaitego zielska, zaznajomi się z niem i jego charakterem i możliwościami leczniczemi i podaje odwar skrzypu chorym na pęcherz i spalane na węgiel żołędzie, przeciw chorobom żołądkowym, dziegciem smaruje opryszczone ciała dzieci okolicznych wiosek. Od wielu lat leczy, pomimo nagonki ze strony okolicznych lekarzy, ale ani władze austrjackie, ani rosyjskie, ani ukraińskie nie śmiały zamącić spokoju świętego człowieka. Wojna przeszła mimo niewysokie pasemko górskie. Teren nie nadawał się ani do obrony, ani do wypadów w okresie bitew. Starzeje się więc O. Jacenty, w swojej samotni, rzadko spowodu trudności dostępu — droga rozdarta, deszczami i wiatrem, od lat nienaprawiana — przez potrzebujących pomocy nawiedzany.

Niski, rumiany siedemdziesięcioletni brodaty staruszek, ubrany w rodzaj habitu, w chłopskich szarawarach, raczej do karzełka podobny, aniżeli do mnicha, w jakieś popołudnie podczas zbierania ziół leczniczych natknął się na osłabłego i wycieńczonego czerwonką Hersza... Ze zwykłą u niego radością i satysfakcją pomagania bliźnim pociągnął, co chwila słaniającego się, Hersza ku swojej pustelni...

W ciągu dwudniowego pobytu na Czarnej Górze, miał sposobność Hersz Torten przyjrzeć się bliżej ludzkiej dobroci. Cóż mógł odpowiedzieć Ojcu Jacentemu, kiedy ten, drżącemi rękami podając węgiel lipowy twierdził, że czasami przyłapuje siebie na grzechu, bo błogosławiąc Pana Boga za zesłanie możliwości czynienia dobrze bliźnim, temsamem niejako życzy, by bliźni tej pomocy potrzebowali... Pustelnik nie miał zresztą nijakich wątpliwości. Bez najdrobniejszego przezwyciężenia się, oczyścił z brudu butwiejące ciało Hersza Tortena, umył je i szczątki koszuli wyprał, a Hersz nagi leżąc przykryty chłopską opończą O. Jacentego, kłapiąc zębami z zimna i osłabienia nie przestawał się dziwić serdecznym zabiegom pogodnego dziwaka i wiele pytał. Chciał koniecznie, wiedzieć, jaka przyczyna przywiodła go tutaj, do tego lasu, a przedewszystkiem szukał źródeł dobroci i pogody mnicha. Niewiele się mógł dowiedzieć od Ojca Jacentego. Ani o przeszłości, ani przyczynach ucieczki do samotności... Padły jakieś słowa... anegdota... legendy... nie bardzo przez Hersza zrozumiane... Musiał się zadowolić stwierdzeniem, że Ojciec Jacenty nic nie wie, o różnicy pomiędzy sobą, a resztą otaczających go ludzi, a najmniej o swojej własnej dobroci. Wszyscy ludzie są dobrzy, a trudności wynikają z nieświadomości, w jaki sposób tę dobroć ludzką ujawnić. On też modli się gorąco do Chrystusa, który swoją ofiarą dał najlepszy i jedyny przykład ujawnienia miłości dla całej ludzkości, cierpiącej tylko spowodu nieświadomości — o siły i oświecenie w pracy nad uświadamianiem ludzi i uwalnia-

niem ich od ciężaru złych uczynków... Torten tego wszystkiego nie rozumie. Pamięta natomiast jedną z licznych rozmów z Mikołajem Antonowiczem Markowem... Było to dwa lata przed wybucham wojny, siedzieli w lesie na murawie obok studni po stronie austrjackiej i jak zwykle gwarzyli sobie. Torten wrócił był z jednej z licznych karcianych podróży, pełen materjału do omawiania, a Mikołaj Antonowicz Markow, powrócił właśnie z urlopu, który spędził w Proskurowie u swoich dzieci. Przywiezioną fotografją obdarzył swojego przyjaciela Hersza wzamian za to otrzymując flaszkę, doskonałej ratafji Baczewskiego... Popijając ratafję omawiali szczególny wypadek dobroci ze strony amerykańskiego miljonera, który cały majątek zapisał na rzecz Instytutu Carnegia... Rozentuzjazmowanemu, wielkodusznością i bezinteresownością Amerykanina, Herszowi, wyłożył jego serdeczny przyjaciel Mikołaj Antonowicz, pamiętną teorję moralności... — Widzisz gałubczik — gadka o waszym mędrcu, który miał wszystkie przykazania żydowskie zmieścić w jednem zdaniu „kochaj bliźniego, jak siebie samego" to absurd. Kochać bliźniego, to znaczy: trzeba o nim myśleć, o jego zdrowiu, o jego interesach... Tymczasem, ludzka głowa nie jest na tyle pojemną, aby móc o wysokich myśleć, bez szkody dla siebie...

Herszko próbował przeciwstawić dobroć, jako argument przeciw egoistycznej teorji Mikołaja.

— Dobroć... może jeszcze dodasz litość... Ej mój Boże, myślałem i o tem... dobroć, powiesz sobie sówko „dobroć" i już, a tymczasem prawdziwej dobroci szukaj po lasach i polach a nie u ludzi... Nie

Herszu Szmulowiczu! Z tą twoją litością też nie jest tak gładko... Ludzie dają jałmużnę, bo muszą ją dać ubogiemu, aby go nie doprowadzić do szału... Sytuacji nie poprawia mu na stałe, do tego ich niema, ale groszem okupić sobie spokojny pobyt w teatrze, w barze, to słuszne... to całkiem w porządku. —

— Obydwaj staruszkowie w słoneczne południe siedzą przed grotą, Hersz Torten i O. Jacenty, o ludzkiej dobroci gwarzą... Nieustanny poszum jesiennego liścia, opadającego na ziemię, oznacza przemijanie czegoś bezpowrotnie. Boleśnie to odczuwa Torten. I tylko w jesieni...

Hersz Torten podjął myśl Mikołaja Markowa i sugeruje nią goszczącego go mnicha...

— Cóż mnie obchodzą powody dobrych, ludzkich uczynków? Nie biorę dla siebie prawa do zgadywania ludzkich intencyj... Najważniejszym jest fakt, dobrego uczynku, a myśl? Któż ją z żyjących zdolny wybadać u swojego bliźniego? Czy nawet u siebie samego? Torten upaja się wspomnieniami z przeszłości, a w pamięć wryły się dyskusje z swoim przyjacielem, dlatego bezwiednie, z przyjemnością ciągnie przed laty przerwany tok myśli Mikołaja Markowa...

Ojciec sądzi, że taki nakaz, jak: „nie czyń drugiemu, co tobie niemiło" ma jakiekolwiek znaczenie... tu w tem miejscu należy dopisać czerwonem pismem „bo dostaniesz po mordzie"... Teraz bolszewicy uczą nowych przykazań, a kto ich nie posłucha,, ten ginie, usunięty bez najmniejszego skrupułu.

Ojciec Jacenty nie wie, czego chcą bolszewicy, nie miał sposobności ich poznać... Nie uważa jednak

za potrzebne poprawiać tekstu biblijnego przez uzupełnianie „bo dostaniesz po mordzie"... Nie będzie się gniewał na bijącego, będzie żałował, że strasznie błądzi... — Szkoda mi każdego człowieka, każdej zbłąkanej duszy... —

— Mnie nie szkoda ani jednego człowieka, rozumiem, że tak musi być, jak jest, każdy człowiek ma inne cele i inne zadania w swojem życiu... Nie trzeba ojcze kochać bliźnich, wystarczy ich rozumieć...

Nie mówi tego z przekonaniem, bo w tej samej chwili rodzi się w nim jakaś opozycja przeciw wypowiedzianemu komunałowi... Rozumieć, znaczy się wczuć w czyjeś położenie, to coś tak, jakby żałować.

— Chryste Panie, dziękuję Ci, że nie nauczyłeś mnie mędrkować. — O nieznajomym Żydzie, myśli pustelnik, że jednak to jego życie, to schody, po których pnie się ku zbawieniu...

— Tak jest mój przyjacielu, pniesz się ku zbawieniu — półgłosem, jakby do siebie samego przemówił.

— Ja sobie nie życzę żadnego zbawienia... —

— Dlaczego więc cierpisz bez szemrania? —

Nie cierpię wcale i nie wmawiam sobie żadnej zasługi. Żyję tak, jak sam chcę. — W tej chwili niechciał tak żyć... kłamał i w duchu to kłamstwo stwierdzał, ogarnęło go w tej chwili przemożne lenistwo, a słowa korzystały, by ujść kontroli i leciały przed siebie.

— A Bóg najmiłosierniejszy żyje w tobie... —

Nawet nie przeszło mi przez myśl, szukać Boga

ani w sobie, ani około siebie. Może jest, a może go niema wcale... Tylko, że to nie stanowi żadnej różnicy dla mnie. Wiem ojcze, że są chmury, błyskawice i pioruny, nieboszczyk, strażnik graniczny Konieczny opowiadał mi o elektryczności...

— Wszystko to dzieło Boga. — Mnicha zaczęła irytować, wrodzona, czy może udana obojętność Tortena. Nie zamierza go wcale nawracać, a najmniej jest skłonny do dyskusji na tematy religijne... Zły na siebie, że się dał wciągnąć do nieprzyjemnej rozmowy, ostro zapytał: — z jakiej racji ja pomagam wielu ludziom, no i w tej chwili wam, którego nie znam? Kto mnie natchnął miłością bliźniego? —

Hersz i na to miał odpowiedź, ale jej nie dał, wyczuł bowiem rozdrażnienie w tonie Ojca Jacentego. Pocóż miał podważać lewarem zwątpień, wiarę dobrego człowieka? Mógł mu przytoczyć mądre zdania, o przyzwyczajeniu do dobroci, jak się mówi o przyzwyczajeniu zwierząt do rozmaitych czynności... Tak byłby napewno powiedział Mikołaj Antonowicz. Ale go nie ma na górce... Gdzie on się w tej chwili tłucze?... Postanowienie ruszenia w dalszą drogę odsuwa z pamięci Hersza, natarczywie dopominającą się uwagi, postać dawnego Mikołaja Antonowicza Markowa...

Wiecie Ojcze, są na świecie pewne słowa, które ułatwiają ludziom wzajemne stosunki... ot naprzykład dziękuję wam za wasze zajęcie się mną...

— Nie mnie, tylko Bogu dziekuj... —

— Dziękuję więc Bogu za waszem pośrednictwem. — I poszedł Torten dalej przed siebie. Mnich pozostał w swej samotności, zadowolony z pozbycia

się gościa... Zmęczyły go rozmowy z mądralą. Nie mógł się opanować przed stwierdzeniem, że te żydowskie rozumowania są przecież inne od wnioskowań tutejszych chłopów... Suche i trudne do przełknięcia... Ojciec Jacenty nie jadał ani masła, ani mięsa, a porównania, zostały na podniebieniu z dawnych lat, kiedy jedzenie było ważnem dopełnieniem innych rozkoszy... Modli się i nie może zapomnieć herezyj połamanego Żyda. Modli się bardzo głośno, aby słowami zagłuszyć zasiane zwątpienia...

W zapadającąym zmroku, poprzez promienie zachodzącego słońca, w dolinie, spostrzega drobną, skuloną postać wędrowca, zdawałoby się stojącego na jednem miejscu. Ojciec Jacenty modli się w tej chwili cicho o zbawienie dla zbłąkanej duszy nędzarza.

W kancelarji, o kilkanaście kilometrów oddalonego pałacyku, właściciela lasów i zakładu kąpielowego (wody siarczano-jodowe) śpiesznie pakują się do ucieczki, przed grożącą inwazją bolszewików... W zamieszaniu padają słowa dyrektora zakładu...

— Możeby posłać po Ojca Jacentego... był w ciągu tylu lat doskonałą atrakcją dla kuracjuszy... —

„Pustelnik z Czarnego lasu"...

XLVI.

Zbliżał się znowu do gościńca. Ruch wozów i ludzi pieszych świadczył o panice spowitej zasłoną

szarego pyłu, unoszącegc się nieustannie ponad głowami pędzących naoślep ludzi i zwierząt.

Jednem okiem dostrzegał pojedyncze postacie i całe grupy umundurowanych. Wszyscy o tym samym wyrazie twarzy, ludzie cywilni i wojskowi. Wszyscy pragnęli za wszelką cenę wyprzedzić jeden drugiego przynajmniej o metr. Ogarnęła ich obawa pozostania w tyle. Strach przed wolną przestrzenią poza plecyma.

Pozatem cisza... i zaciętość, jak na wyścigach... Misterjum jakiegoś szalonego ruchu... opuszczania miejsca...

Zanim Hersz doszedł do murowanki, obserwował zdarzenia i w pamięci swoje spostrzeżenia — notował, ale w pewnej chwili, jakaś nieznana siła wciągnęła go w linję ruchu, Hersz zatracił zmysł spostrzegania. Szedł z wszystkimi... albo doczepiał się do wozów... Przybywały mu ciągle świeże siły.

Oderwał się dopiero w Sokołowie. Ochłonął wraz z innymi, strach go opuścił. Długa linja wozów rozerwała się na drobne człony i powoli poczęła wnikać w boczne ulice i uliczki miasteczka. Na rynku rozłożył się jeszcze w ciągu dnia, nieliczny tren wojskowy. Noc przywróciła Herszowi zdolność rozumowania...

Przed czem ucieka i co ze sobą unosi? Księżyc poprzez zachmurzone niebo oświetla miasteczko, rozłożone na płaszczyźnie okolonej lasami. Uciekający za wszelką cenę pragnęli opuścić teren lasów. W tajemniczej ciemni drzew widzieli groźbę. Szła stamtąd, najeżona kolcami i do krwi kłująca trwoga... udzielająca się naraz spokojnym mieszkań-

com Sokołowa. I oni, znający doskonale swoje lasy, dostrzegli w nich groźbę. Poruszyło ich... Porwało ich — jak kartkę papieru, wiatr niespodziany.

W piątek wieczorem zajechały pierwsze fury uciekinierów i rozpoczęła się panika w Sokołowie...

XLVII.

Czytamy w statystyce... Małopolska Wschodnia, położona w dorzeczach tych i tamtych rzek... wywozi rocznie... przywozi rocznie... Liczba ludności wynosi tyle miljonów... Obliczono nawet przeciętną ilość opadów atmosferycznych. Specjalni ludzie obliczają w specjalnych urzędach. Albo jeszcze wiele innych rubryk, wypełnionych kaligrafowanem pismem urzędników, daje dokładny obraz gospodarki kraju znanego pod nazwą Małopolski Wschodniej, a przed wojną Królestwa Galicji i Lodomerji z Ks. Krakowskiem...

Cyfry wpisane do rubryk o ciekawych nagłówkach, chórem oznajmiają, że śmiertelność wynosi X% a przyrost Y%... a wykresy upstrzone różnobarwnemi kołami świadczą, że towarzystw politycznych zarejestrowano „z", religijnych jakąś inaczej, dokładnie określoną ilość...

W Sokołowie jest specjalna szafa umieszczona w zatęchłym pokoiku „odnośnego urzędu", obok szafy stoi duży stół. Do odnośnego urzędu należą odnośne urządzenia i odnośni ludzie.

Ludzie ci znają dokładnie swoje imię i nazwisko... lata służby... i pragmatykę służbową. Nie wie-

dzą tylko, że w procentach śmiertelności, urodzin, w liczbach, odzwierciedlających spadek obrotu i wzrost importu oni sami wyrażają się jakąś cyfrą, coś znaczącą i oznaczającą... W Sokołowie i w Zbarażu, w Tarnopolu, w Berlinie, w New-Worku...

— W Sokołowie i w Zbarażu i w całym szeregu miast i miasteczek żyją ludzie, o różnych lub podobnych nazwiskach, a ich zajęcia nadają im konieczność „charakterystycznego" reagowania na „bodźce zewnętrzne"... —

Pisze o tem ambitny syn adwokata w Sokołowie, Resport... Po wojnie Resport zostanie profesorem uniwersytetu w Warszawie, przedtem wypisze się z izraelickiej gminy wyznaniowej, a w jakiś czas potem przyjmie chrzest.

Hersz Torten nie zostanie profesorem uniwersytetu i nie napisze rozprawy w trzech językach... Nigdy nie zasiądzie w Radzie Czterech, aby się wypowiedzieć w sprawie przynależności Małopolskiej Wschodniej... A przecież Hersz Torten tak samo konstatuje, że ludzie w Sokołowie są bardzo podobni do ludzi w Zbarażu... życie ich takie same i uwarunkowane temi samemi potrzebami i możliwościami. Starosta, jako wierzchołek trójkąta, sędziowie, urzędnicy państwowi, gminni, powiatowi, panowie adwokaci, lekarze, weterynarze, aptekarze to linje boczne i podstawa; chłopi, robotnicy i rękodzielnicy no i Żydzi... Żydzi muszą być — tak jak są w Zbarażu, w Sokołowie, Mikulińcach, Tarnopolu...

Wszystko to takie same, choć domki w Sokołowie są niższe — i niema elektryczności...

Pewnie jest taki sam szynk, jak Tauby Gott-

lieb, gdzie gromadzą się w wolnych chwilach, łaską losu rzuceni w ten zakątek, absolwenci uniwersytetów, w Wiedniu, Krakowie, we Lwowie...

Pierwszy raz w życiu przebywa w Sokołowie. Wśród ogólnego zamieszania dotarł do jakiejś bożnicy z zamiarem przenocowania. W jednym kącie drewnianego budynku paliło się kilka świec, a blask ich słabo oświetlał trzech starych Żydów, pochylonych nad postrzępioną księgą. Jeden z nich o białej brodzie, odznaczający się potężną gulą na czole cienkim palcem wodząc po kartach księgi, cichym głosem tłumaczył słuchaczom, znaczenie zawiłego wersetu...

Nie zwrócili uwagi na wchodzącego żebraka. Jedyni w miasteczku, których nie obchodziło absolutnie nic, poza księgą i jej komentatorem...

Obok drzwi wejściowych mieścił się piec okolony ławkami. Hersz położył się na jednej z ław, ale nie mógł spowodu zbytniego zmęczenia zasnąć. Snuły mu się po głowie najrozmaitsze myśli o swojem „incognito". Jeszcze w dzieciństwie czytywała mu matka małe po żydowsku pisane bajeczki. Prawie w każdy piątek przywoził z Zbaraża — wracając z łaźni — stary Szmul synowi, upominek, w postaci żydowskich bajeczek, kupowanych za 2 halerze u rudego Jankla Reisera, zaopatrującego pozatem żydowskich nowożeńców w modlitewniki i w białe tałesy, lamowane srebrnemi pasami... Jakże ciekawe były dzieje Hersza z Ostropola? Czytywała mu o nich babka.

Jedna z bajek miała za treść dzieje wielkiego króla, który przebrany w dziadowskie łachmany

zwiedzał swój kraj, chcąc się naocznie przekonać o nadużyciach urzędników... Teraz kojarzą się postacie z bajek z nim samym. I on wędruje incognito po całym kraju, niby ów król z bajki... Wielu go zna, a nikt go nie poznaje. Nawet w Sokołowie ma znajomych. Spotykał tutejszych kupców na jarmarkach w Tarnopolu, Bołszowcach i samym Zbarażu, dokąd zjeżdżali niektórzy na zakup koni, przemycanych z Rosji...

Nie mógł dłużej, niż godzinę uleżeć na ławce. Opadła go duszność, wyszedł, aby zaczerpnąć powietrza...

Na dworze mżył deszczyk, wystarczający jednak do ugniecenia błotnistego ciasta z ulicznego prochu... Na rynku stały wozy wojskowego taboru...

Na drogach, placach i małych skwerach (ambicja tutejszego burmistrza) stoją wozy uciekinierów... Sokołów zdaje się być narazie bezpiecznem schronieniem. Tu popasają konie, aby o świcie dalej ruszyć... Kulejąca postać w czarnych okularach wałęsa się pomiędzy furami i ciekawie przygląda się zaprzęgom... Po uprzęży i wozie poznaje okolicę, z której ludzie pochodzą... albo z zasłyszanego słówka woźniców, półgłosem rozpowiadających nowiny dnia przebytego.

Woźnicy, obojętnie rozmawiają o bolszewikach. Sami nie zainteresowani, losami wojny. Niektórzy szydzą z wystraszonych dziedziców... Co ich obchodzą bolszewicy „mene z chłopa ne skynut". Radziby wrócić do swoich chat, ale nie mogą głośno objawiać swoich zamiarów... Znajdują się jeszcze w obrębie działalności polskiej policji...

Jednem okiem dojrzał Hersz, policjanta, zbliżającego się miarowym krokiem, aby więc uniknąć spotkania z władzą i nieprzyjemnych indagacyj, zawrócił wprzeciwną stronę. Obok targowicy końskiej natknął się na znajomego żebraka. Na jarmarkach św. Anny w Tarnopolu nieraz mu dawał jałmużnę. Chaim się nie zmienił, tak samo krótko strzyżony, jak przed wojną, tesame cynicznie wyszczerzone zęby i jakaś niezwykła u żebraków czystość odzienia.

Torten niepoznany zapytał o możliwość przenocowania.

— Dalibyście parę groszy za spanie?... —

— Nie mam pieniędzy... ale może wezmą chleb?...

— Spróbujemy... chodźcie ze mną... —

XLVIII.

W chacie wyraźnie oznaczonej numerem 981a — księżyc promieniami wskazywał numer 981a — nie mógł znaleźć upragnionego spokoju. Jojne Cyrk, jest właścicielem chaty i gości u siebie najrozmaitszego typu żebraków. Pobiera od nich zapłatę w pieniądzach i w rzeczach, dając im przytułek i nocleg... Włóczędzy trafiają do „hotelu" Jojny Cyrka zda się wiedzeni niezawodnym u nich węchem. W chałupie nawpół zawalonej, spodziewali się ujść uwagi ciekawskich członków policji i rzeczywiście bardzo rzadko człowiek władzy kierował swój wzrok w stronę chałupy, stojącej w rzędzie bliźnia-

czo podobnych innych chałup, kolistym rzędem otaczających rytualną łaźźnię i miejski wychodek.

Hersz Torten niechętnie zawierał znajomości z ludźmi, żebrzącymi, jakkolwiek nieraz się z rozmaitymi włóczęgami spotykał. Nigdy też nie nocował w podobnych hotelach, jak ten, do którego go zaprowadził Chaim. Wolał nocleg w bożnicach, albo nawet w przydrożnych rowach. Mimo wszystko nie chciał z włóczęgami mieć coś wspólnego, uważał się przedewszystkiem za członka klasy posiadającej. Jakkolwiek nie spodziewał się zmiany swego losu — bo takie jego przeznaczenie — nie mógł się pogodzić z twierdzeniem, przygodnie napotkanego, zdaje się w Tarnopolu włóczęgi, że jest ofiarą nienormalnych stosunków klasowych... Oburzył się wówczas na ekonomistę wykładającego dziwnym językiem, zawiłe teorje o podziale dóbr. I zobaczył go teraz w norze Jojne Cyrka...

Nie myli się, to on. Poznaje go po spłaszczonym nosie, skośnych, zielonkawych, mieniących się kocich, oczach i paru kosmkach włosów, markujących brodę. Te same długie, wymowne palce, gestem uzupełniają namiętne, słowne przekonywania, grupki ludzi, nie mających najmniejszego wpływu na bieg Wielkiej Rzeczy. Wyschła gęba, oczy lśniące żywą zielenią i długie palce, głośniej przemawiają od ust wyrzucających ochrypły, suchotniczy ton.

W milczeniu słuchają otaczający, jego siedzącego na niskim stołku, porozkładani na glinianej podłodze, włóczędzy. Niezrozumiałe słowa, pomieszane z cytatami z biblji i komentarzy pisma świętego, dalekiemi analogjami, przybliżają im rzeczywistość,

tak bardzo od nich, przyprószonych prochem gościńców, skręconych głodem i reumatyzmem i znękanych okropną niepotrzebnością — daleką...

Z słów suchotnika gwałtownie się wyszarpuje i do nich przybiega jakaś nadzieja. Nie wiedzą oni czego się mają doczekać lepszego, nie rozumieją słów „narzędzie pracy" ani nadwartości, nie rozumie ich napewno ten, który te słowa rzuca, a jednak wieje od niego ciepłe uczucie, całkiem inne od uczucia samotności... Nawet nie wydają się im śmieszne takie zdania „wy jesteście potęgą, tylko o tem nie wiecie". Tylko stary kompan Jojny, Michał, Gułaj znany na jarmarkach gracz w „trzy karty" i Bolko Stachurski znany w mieście awanturnik siedzą na bankbetlu, na uboczu, grając w karty, nie troszczą się żydowską gadaniną, klijentów Jojny Cyrka... Wynajmują bankbetl za miesięczną opłatą i nie odstąpią swojego legowiska nikomu. Michał Gułaj, już 50 lat obchodzi corocznie swoje imieniny w szynku Judy Voglera... Dnie te zaznaczją się zwykle awanturą i bójką, ustępujący z drogi, obywatele poznają, że Michał Gułaj święci rocznicę imienin. Resztę czasu zużywa na kradzieże, grę w trzy karty i opiekę nad młodym Bolkiem Stachurskim. Znalazł go kiedyś niemowlęciem i na swój sposób wychował. Od dwudziestu lat opiekuje się dzikim chłopcem, razem z nim sypia — pozatem brzydzi się innymi i za żadne skarby nie pozwoliłby na ułożenie się obcego w swojem legowisku. Wie o tem Jojne, bo go raz Gułaj uczciwie sprał kiedy, korzystając z nieobecności Gułaja i Stachurskiego, poddzierżawił bankbetl, przygodnemu gościowi.

Gułaj uczy Bolka chwytów, koniecznych przy grze w „trzy karty", przekonywując sennego pupila, że warto poświęcić nieco uwagi, bo kto to zna, ma zapewnione, spokojne, całe życie...

Torten w tej chwili myśli o swojej lekkomyślności, nie tylko w okresie dziecinnego zapamiętywania się w dociekaniach tajemnic natury, nietylko w okresie swojego młodocianego stosunku miłosnego z Horpyną Kuź (tam przy studni w lesie, o której to porucznik... powiedział, że jest zabytkiem pogańskich czasów...). Rozpamiętuje swoją lekkomyślność karczmarza i stwierdza, że uwydatniła się w całej jaskrawości w czasie swojego materjalnego wzniesienia się na szczyty niedosiężne w małem miasteczku...

Tam, krótka byskawica powodzenia oświetliła jego osobę samotną, nie liczącą się z niczem i z nikim, postać, krocząca w kierunkach dowolnych... za... podmuchem wiatrowego widzi mi się... Gdzie tu szukać zbawienia, w jakimś głupio określonym rozdziale dóbr... Z Chaimem Epsteinem rozmawiał ongiś na ten temat, ale raczej dla zabawy i przyjemności przekomarzania się z fanatykiem przeczytanego i często niezrozumianego rozdziału książki...

Od bolszewików nie spodziewał się pomocy. Był mimo wszystko burżujem i omało z tego powodu nie zadźgał go nożem właściciel chaty, zapisanej w katastrze gruntowym jako posesja Nr. 981a, własność Jojny, zwanego Cyrkiem...

Jojne, właśnie tego wieczoru nabrał przekonania, że on i jego żona Cipojra i kilkoro dzieci, głodują i to spowodu nierównego podziału dóbr... Gdyby

Michał Gułaj nie był zajęty nauczaniem Bolka Stachurskiego ważnych wiadomości, z dziedziny gry w „trzy karty", byłby z pewnością bez ogródek zdradził obecnym, że Jojne Cyrk z dziećmi i z swoją żoną wcale nie głodują, a nawet gdzieś poza domem ukrywają ponętny kapitalik. Byłby Michał Gułaj, to powiedział, bo przysłuchując się od kilku lat prowadzonym rozmowom w „hotelu" Jojny, nauczył się mówić po żydowsku... Gułaj jednak był zajęty nauczaniem swojego pupila, a Jojne Cyrk był przekonany, że głoduje wraz z żoną i dziećmi...

— Salomon Mandelbaum ma tyle, że o mało co nie udławi się, a my wszyscy zdychamy z głodu... to wszystko musi się zmienić... trzeba między głodnych podzielić jedzenie. —

— A kto to podzieli? pyta naiwnie Hersz... Zna dobrze, te i tym podobne rozhowory, i sam nieraz przemyślał powikłane kwestje i nie znalazł odpowiedzi. Nawet Mikołaj Antonowicz Markow nie umiał dać wyczerpującej odpowiedzi na pytanie, dlaczego istnieją różnice majątkowe i dlaczego niema sposobu do zatarcia tych różnic?...

Kto wie? Gdyby Hersz zapytał w tej chwili Mikołaja Antonowicza o te sprawy, czyby nie otrzymał wyczerpującąej odpowiedzi, przecież Markow walczy o równość i szczęście ludzkości. Cóż? Kiedy się nie mogą zejść, jak dawniej, usiąść przy wódce i porozmawiać o tem i o owem... Dążą drogami równoległemi... — czasami zbiżonemi na króciutką odległość i tylkoby do siebie przemówić jak dawniej — aby się w tej chwili rozejść. Nie istnieją więcej wspomnienia dwóch spotkań z Mikołajem Antono-

wiczem Markowem, spotkań bolesnych i krwawych. Znikły, a pozostała tęsknota za przyjecielem wiąże się z Zbaraską Budą i granicznemi słupami.

Tymczasem są: Jojne Cyrk i jego goście. Z nimi trudno się dogadać. Herszowi nikt nie podał dat z życia Jojny, a jednak wie o nim wiele. Wie, że Jojne to taki sam pasażer na gapę, jak jego goście, a z oczu mu patrzy chytrość i kłamstwo. Ale cóż to wszystko obchodzi Hersza... rzucił swoje pytanie od niechcenia i nie czeka odpowiedzi. Przysuwa się do Michała Gułaja i przypatruje się grze w „trzy karty"...

Dopiero, kiedy Bolek Stachurski zmożony sennością położył się, zbliżył się Michał do grupy gwarzących ludzi... i jednem zdaniem ożywił dyskusję...

— A kto ci się kazał zakochać i ożenić z babą bez posagu? Teraz musisz kraść... —

Jojne oniemiał na chwilę, ale natychmiast się otrząsnął, aby z wściekłością rzucić się na stojącego na rozstawionych nogach Gułaja. Ale i pogardliwy wzrok, olbrzymiego Gułaja odrzuca pieniącego się Cyrka...

— Skurwysyn... — syczy przez zęby Cyrk... Nie lubi kiedy mu kto wypomina złodziejstwo... Czasami zdarzy się ukraść coś z koszyka roztrzepanej wiejskiej baby, ale czyni to raczej dla sportu, aniżeli z potrzeby... Nie znosi właśnie wspominań o tym jego sporcie, bo go kilkakrotnie przychwycono na gorącym uczynku. Można mu przypomnieć, że oszukuje gdzie się uda, że trzyma bank na „trzy karty"... to jest jego zawód, ale złodziejstwa się wypiera i wsty-

dzi się „nieudanych skoków". A Gułaj prawi dalej...
— ożeniłeś się brachu, z miłości to i cierp...

— Oby tego Mandelbauma pokręciło!... —

— A co ci winien Szlomko Mandelbaum? Twoja Ciporka służyła u niego, a on jej płacił regularnie pensje... —

Ciporka z dziećmi śpi w alkierzu spokojna o jutro, bo kupiła dzisiaj za bezcen, parę kap na łóżka, od zastraszonej bliskością bolszewików, żony kancelisty sądowego. Ciporka od kilku dni skupuje od wybierających się w drogę urzędników, rzeczy nie nadające się do transportu. Jojne jest podniecony przemową nieznajomego, o skośnych oczach i niepotrzebnem wmieszaniem się do rozmowy Gupłaja.

— Ja chcę by Jojne Chuwen miał tyle majątku ile ja mam... —

— A co ci z tego przyjdzie?... —

— Ja chcę ich wszystkich widzieć w nędzy, ich żony i ich dzieci... —

— A ja wam powiem, że jak oni mają dużo pieniędzy, to biedacy korzystają z tego, zawsze im coś kapnie... —

Niefortunnem odezwaniem się, Hersz zwrócił uwagę, szukającego ofiary, Jojny.

— Ty psie parszywy, ty ślepaku połamany, stajesz w obronie bogaczy... ja chcę, by oni zbiednieli... a ja żebym wtedy zdechł wraz z tobą... — Zapieniony wrzeszczy i z nożem w ręce, rzuca się na Tortena. W tej chwili Gułaj, jedną ręką odrzuca Tortena, drugą chwyta rozszalałego Jojnę...

— Cherlaku parszywy przestań, bo cię zmiażdżę

jak żabę — i rzuca spoconego Jojnę na ławę, stojącą pod oknem...

Obaj odetchnęli spokojnie. Wszyscy obecni pomyśleli o grożącej interwencji policji...

Hersz podniósł z ziemi swój worek i niezatrzymywany przez nikogo wyszedł.

Szedł spowrotem do bożnicy, myśląc po drodze, że ludzie są zdolni do straszliwej nienawiści, której on sam nigdy do nikogo nie odczuł.

Nie kosztuje go to ani krzty przezwyciężenia się — jedni są takimi, a drudzy znowu innymi, jedni palą papierosa, a drudzy nie palą, ani nie piją... —

On sam chętnie by się napił czegoś mocnego ot tak naprzykład ratafji Baczewskiego, jak niegdyś z Mikołajem Markowem, wtedy przychodził do domu nieco podchmielony, a żona (ach ta żona, dlaczego była zawsze cichą i pokorną) opiekowała się nim, jakby był chorem dzieckiem.

W bożnicy dogasała ostatnia z woskowych świec... — Pustka wiała z wszystkich kątów, a na wzniesieniu, przeznaczonem do czytania rodałów, z drzewa rzeźbiony gryf z wyciągniętym, długim językiem napróżno starał się odstraszyć zmęczonego Hersza.

XLIX.

— Dziwną doprawdy była wojna z bolszewikami. Biliśmy się właściwie z Ukraińcami, aż tu naraz dowiadujesz się, że wczorajszy Ukrainiec, to dzisiejszy bolszewik. Więc bijemy bolszewika... Pędziliśmy

naprzód... Zajęliśmy Kijów. Szło się w jakąś miękkość aksamitną... —

Opowiadał o kampanji bolszewickiej porucznik Krysiak, późniejszy dyrektor Banku Rolnego. Natomiast Stefan Pałko, syn organisty z piotrkowskiego powiatu, nie mógł opowiadać o odwrocie wojsk polskich, ani o chaosie, jaki zapanował wśród armji — do jakiejś chwili — zdawało się niezwyciężonej.

Nie danem mu było opisywać, swoim dzieciom, dziejów odwrotu, wśród pojawiających się znienacka — jak błędne ogniki — podjazdów kawalerji Budiennego.

Zginął w jakiejś wsi, wraz z kilkoma towarzyszami, otoczony przez gromadę chłopów i bab. Legł rozszarpany przez wściekłych ludzi i do ostatniej chwili nie mógł pojąć, z jakiej przyczyny ci sami, których może znał, może z nimi kiedyś spokojnie rozmawiał — może nawet żartował z dziewczętami — dlaczego pragną jego śmierci... Nie mógł wierzyć, że te dziewczęta, na które patrzy, że one chcą go zatłuc...

I zabiły go baby i dziewczęta.

W tej części świata, jeszcze zabijano z wściekłością, to znowu, naprzemian z zimną krwią, na podstawie wyroków śmierci. Sądy wojenne i karne ekspedycje likwidowały powstania chłopskie, a skrytobójcze mordy i tortury; likwidowały drobne oddziały polskie, odłączone niebacznie od większych jednostek bojowych. W powietrzu girlandami zwisały lub snuły się, teoretyczne podstawy ludzkich poczynań. Była walka o chłopską wolność i w imię tej walki, śmierć zadawana żołnierzowi poskiemu. Była

walka o wolność Ukrainy i w imię tej walki ekspedycje karne i masowe, rozstrzeliwanie band chłopskich. Tłem bywała; czasem zieleń lasów i pól, albo kwitnące wiśnie, albo umajone chaty, albo szeroki step, przecięty sznurami wód... Tłem wydarzeń, bywała pieśń, nagle zrodzona, z przypadku, obrazy i poezje i nienawiść, której początków nie znajdzie nikt. Skłamią, mówiąc o początkach tej nienawiści, ekonomiści, socjologowie i dyplomaci...

Była nienawiść i to wystarczało, by się przejawiła w mordzie i pożodze...

Wojowało się na Ukrainie.

Mikołaj Antonowicz Markow, nieco się postarzał, ale ciągle czynny i zawsze przy szabli. To na wschód pędzi, to na zachód ostrożnie się kieruje. Komunikaty mówią wtedy o cofaniu się albo o ofenzywie. — Mikołaj Antonowicz żyje, działa i co najważniejsze, nie zastanawia się nad niczem, co się działo wczoraj. Ważne jest tylko dzisiaj. Zatraciła się w tysiącu przygód i wydarzeń, potrzeba reasumowania zdarzeń... w problem. Do tego był potrzebny Hersz Torten, a o tym się dawno zapomniało. Tymczasem sam Mikołaj Antonowicz, zwykły wachmistrz, każdem prawie swojem poruszeniem się wprawiał w ruch innych ludzi, a ci inni, poruszali dalsze kręgi, „i tak bezustannie jednostka zazębia się o ogół i naodwrót ogół ciąży na poczynaniach jednostki". Filozoficzne spostrzeżenia, notuje skrupulatnie galicyjski Ukrainiec, oficer w bolszewickiej armji doktor Omeljan Mudryj. Obserwuje codziennie Mikołaja Markowa i notuje swoje spostrzeżenia

w notatniku szumnie zatytułowanym: „Z psychologji twórców nowego świata". Cóż jednak wie o Mikołaju Antonowiczu, doktor Omeljan Mudryj? Czy może wie o jego dawnych myślach, jakże ściśle splecionych z takimi ludźmi, jak żona, dzieci, no i Hersz Torten? Przecież te myśli nie znikły w sferze poza życiem leżącej, bo takiej sfery niema, ani takich myśli, ani z nich zrodzonych takich poczynań. Można o tem wszystkiem zapomnieć, to znaczy, danych myśli i zdarzeń nie prowadzić w ewidencji, ale nie można się otrząsnąć z tego narastającego — od chwili urodzenia — bałaganu, ułożonego w warstwice, na ciele i duszy. Bodaj przez jedno mgnienie oka, przemknie się w myśli postać żony, kiedy Mikołaj Antonowicz, kwaterując w wiejskiej chacie, pożądliwem okiem spojrzy na tęgą, rozłożystą gospodynię. Białe ramiona wiejskiej baby, bezwarunkowo nakazują wspomnienia o białych ramionach żony, ale nietylko o ramionach. One stanowią punkt wyjściowy dla wspomnień i dla równoczesnego ustosunkowania się do teraźniejszości, związanej z kwaterą u tęgiej i rozłożystej właścicielki chaty, w jakiejś wsi podolskiej.

Zresztą wspomnienia z dawnych lat nie muszą iść w parze z świadomością objektów tych wspomnień... Mikołaj Markow napewno nie uświadomił sobie, że właściwym powodem głębokiego żalu, nad dwiema zgwałconemi przez żołnierzy córkami małomiasteczkowego popa, były jego własne córki. Żydowskie dziewczyny, gwałcone i zabijane, nie budzą w Markowie uczucia litości, bo nie mogły one wywołać analogji z jego prawosławnemi córkami.

Natomiast zdarzyło mu się raz, obronić przed niechybną zgubą, jakiegoś rudawego Żyda o brodzie a la Edward VII. Czy mógł o tem wiedzieć doktor Omeljan Mudryj, kiedy Mikołaj prawdy o sobie samym nie znał. Doktor Omeljan Mudryj pragnął napisać dzieło naukowe, albo literackie. Myślał — pustki panują w naszem ukraińskiem piśmiennictwie, trzeba tę pustkę zapełnić. — Po latach, już jako pięćdziesięcioletni redaktor dziennika „Harazd" napisze powieść o wojnie polsko-sowieckiej. Tematem będzie tło tej wojny, a nie ludzie. Doktor Mudryj dojdzie do przekonania po latach głębokich rozmyślań, że nie może napisać powieści o ludziach, bo nie starczy na to ani lat życia, ani, co najważniejsze, talentu...

Pierwszą powieść napisał o Mikołaju Markowie i jego przeżyciach i nie był z dzieła swojego zadowolony, jakkolwiek krytyka bardzo przychylnie przyjęła pojawienie się książki młodego bolszewickiego pisarza. To było w parę miesięcy po wojnie. Od tego czasu zmienił swoje zapatrywania. Wrócił do Lwowa, aby pracować dla swojego narodu, a nie dla, „chimery międzynarodowego społeczeństwa". Były pisarz bolszewicki przez dziesiątki lat przedzierał się przez gąszcze międzynarodowych pojęć, przekonań i interesów, do duszy swojego narodu. Wtedy to zrozumiał, że nie trudno opisać dzieje kilku osób, uwydatniając zresztą wyraziście pewne dramatyczne momenty w przeżyciach jednego albo najwyżej dwóch osób... Trudno natomiast i warto pokusić się o przedstawienie w powieści olbrzymiego tła, na którem rozgrywa się drobne zdarzenie. Tło

jest wieczne, a zdarzenia krótkotrwałe i zmienne i jak trudne jest do uchwycenia to tło, prawie niemożliwe. W swoje powieści szukał przykładów i nie zadowolił się postacią Mikołaja Antonowicza. Z rozmów z Markowem dowiedział się coś niecoś o Herszu Tortenie i dziwnym jego stosunku do Mikołaja, opisał to, okrasił po swojemu, ale czy stworzył przez to coś nowego? Czy stworzył? Wielkie słowo, domagało się rewizji i doktor Omelan Mudryj na tę rewizję się zgodził... Mogło się zdarzyć, że Hersz Torten miał dzieci, które cierpiały w swej młodości, z tego powodu, że ich ojciec zamiast zarobkować, spędzał wiele czasu na pogadankach z wachmistrzem nordlandzkiego pułku ułanów, pilnujących austrjacko-rosyjskiej granicy... a jeśli cierpiały? To jak się ich cierpienie ujawniało i co najważniejsze, jak reagowało, otoczenie dzieci Tortena, na ich ujawniające się niezadowolenie z ojca, albo, jak reagował na nie Hersz Torten? I to jeszcze nie wszystko! Przecież Hersz Torten i jego dzieci żyją w jakimś kraju, wśród tysięcy ludzi, znanych im osobiście, lub zgoła nieznanych... Ludzie, stanowiący społeczeństwo, wśród którego bytuje rodzina Tortenów — jako całość reaguje — na najrozmaitsze bodźce, w swoisty sposób, a dzieci niezadowolone z ojca, dzieci Hersza Tortena do jakiego stopnia zidentyfikują się ze społeczeństwem? Albo co jeszcze jest bardziej ciekawe i trudne do zobrazowania — w powieści — jak zareagują dzieci innych rodziców, np. Mikołaja Antonowicza Markowa, czy dzieci Jojny, zwanego „Cyrkiem", albo Michał Gułaj, a przedewszystkiem tysiące i miljony indywidyów,

którzy w jakiejś chwili zjedli nieświeże mięso, albo przegrali, w karty, albo upoili się wonią orchidej?

Mudryj przestał widzieć jednostki, spostrzegał co najwyżej grupy, które niwelowały bóle żołądka i uczucia radości spowodu uzyskania na targu dobrej ceny... za świnie...

Ostatnia praca Omeljana Mudryja nie zadowoliła, ani autora, ani krytyków. Autor, przyłapał się nawet na szukaniu indywidualności i nie pomogło usprawiedliwienie się przed sobą samym, że jego indywialności to typy. Krytycy zarzucali chaotyczność w wiązaniu ułamków rzeczywistości, którą — wedle ich zdania — pisarz winien przedstawić w harmonijnem ujęciu chaosu... Posypały się inne zarzuty. Słuszne i niesłuszne. W każdym razie niezrozumieli niektórzy krytycy i czytelnicy, intencyj autora, ogarniętego ideą objektywnego ujęcia epoki.

Omeljan Mudryj pisał na 108 str. swojej książki p. t. „Ukraina i oni".

„— Nie możemy panów dopuścić do Naczelnika..." —

— Musimy się z nim rozmówić... i to natychmiast... —

— proszę zrozumieć, że po nieprzespanych nocach należy się odpoczynek... —

— dzisiaj spać?... —

Oficer dyżurny nie odpowiada na pytanie...

— jak można dzisiaj spać? — jeszcze raz pada pytanie...

Oficer wyczuwa ironję, chciałby natrętów wyrzucić, ale wie o tem, że Naczelnik, nie życzy sobie scysji z członkami sejmu, wzrusza więc ramionami

i próbuje lapidarną odpowiedzią zamknąć dyskusję. Zapewnia, że Naczelnik wrócił przed godziną z objazdu kilku odcinków bojowych... Jest zmęczony... cóż? Człowiek... tylko człowiek...

Ale obydwaj wysłannicy Sejmu nie zadawalniają się odpowiedzią oficera... Jeden z nich starszawy chudy, wysoki.. trzęsie bezzębnemi szczękami, wyrzucając ogromną ilość słów na minutę... Słowa spływają, po capiej siwiejącej bródce i zdają się ją oblepiać, jakby niezżutym pokarmem...

— Naczelnik śpi, a stolica za dzień, za dwa, padnie... Chcemy usłyszeć z ust Naczelnego Wodza, czy opuszczamy stolicę? Jesteśmy odpowiedzialni przed narodem za to, co się dzieje w Polsce.

Drugi poseł, młody, w eleganckim frenchu nieźle harmonizującym z resztą sportowego ubrania, stara się spokojnym, głębokim basowym głosem przekonać dyżurnego oficera, że wódz chętnie wysłucha referatu... Właśnie wraca z Paryża... uczestniczył pozatem na konferencji w Spaa i Hythe... — naczelnik dowie się czegoś odemnie.

— Mam rozkaz niedopuszczenia nikogo, absolutnie nikogo.

Czekają. Tikanie ściennego zegara zapewnia, że się doczekają. Na wąskiem, polowem łóżku, z boku na bok, przewraca się człowiek. Strudzony całodzienną szarpaniną wśród tysięcy spraw wojskowych i cywilnych, (najbardziej męczące cywilne) pragnie na chwilę zapomnieć o wszystkiem. Przespać jedną noc. Noc pełną wydarzeń i ruchu. Spoza zamkniętych drzwi dochodzą gniewne głosy, doma-

gających się widzenia, posłów sejmowych. Z innej strony dochodzą go głosy dyżurujących oficerów.

Nie ciekaw nowin, które mu cywile niosą, ani niema ochoty odpowiadać na ich pytania... Ma ich wszystkich dość w Warszawie. Czego od niego chcą? Po przeciwległej stronie jego gabinetu mieści się sztab jednej z operujących armij... Bezustanne dzwonienie telefonów nie przeszkadza w wypoczynku. Znalazł go w tym dworku, w okresie wielkiej bitwy... Gna go od szeregu tygodni z miejsca na miejsce, sfora szczekaczy... Nie może się opędzić gryzącej i plwającej zgrai... I tu go znaleźli... Chciałby za wszelką cenę usnąć, ale sen ucieka wraz z przeciągłym poświstem wiatru. Beznadziejność. Wystrzał armatni, melduje się obcesowo i głośno. Jeden, drugi, trzeci, aż wreszcie dziesiątki bateryj wysyła grzmoty pnące się po schodach wyżej, wyżej i powrotnem echem bezsilnie opadające żelazo. Patrzy na zegar — kieszonkowa lampka elektryczna oświetla cyferblat chronometru. Konfrontuje czas z natężeniem strzelaniny. Strzelanina potrwa ze dwie godziny, a potem?... Nie śmie dopowiedzieć do końca, ani pomyśleć... Co Bóg da! Tylko się przespać... bodaj przez te dwie godziny... Ma dość tych wszystkich konferencyj... Nawet w głównym sztabie nie czuje się dobrze... Pełno obcych oficerów... zaglądają wszędzie, pytają i radzą... radzą... Przedewszystkiem radzą! Męczą radami.

— Należałoby tak zrobić...

— Nie można, bo...

— a przepraszamy... wobec tego należałoby...

Przepraszają i znowu radzą...

Mają miljony pomysłów. Operują kilometrami, linjami rzek, tysiącami ludzi... Słowa gładkie, zdania fachowe i plany akuratne. Tylko... kilometry... linje rzek i tysiące ludzi, nie są ich krwią i ciałem, ani ich najsłodszem marzeniem... Ciężko się przebić przez gąszcz przyjacielskich planów. A teraz, ci tam czekają... Cóż mu powiedzą nowego o Spaa? Naczytał się raportów i nasłuchał w ostatnich tygodniach. Ani na chwilę nie może zapomnieć o międzynarodowych konferencjach. Widzi je przed sobą na każdym kroku, w sztabie, na pozycjach w Radzie Obrony Narodowej... Wszędzie docierają słowa kupczyków i robotników z doków angielskich...

Konferencja w Spaa... Fizyczny ból niesie myśl, o doznanem upokorzeniu... Nie swojem!!! Po stokroć razy... nie jego upokorzeniu... Dziecinna wprost potrzeba przekonania o niewinności, wyrywa z głębi duszy łkania duszące i astmatyczne... Jak im wytłumaczyć — tym tylko, na których mu zależy — żołnierzom... że to nie jest wojna, wywołana „nadmierną ambicją jednostki". Przemawia do nich w rozkazach, ale czuje, że to za mało... Niema słów, któreby mogły przekonać miljony zmęczonych i zgłodniałych ludzi... że w Spaa obrażano i lekceważono, przedewszystkiem ich samych i serdeczną krew, wylewaną w obronie. W czyjej obronie? Syknęło w ryku armat... Chce odpowiedzieć... Pragnie pokazać, przedstawić w całokształcie objekt obrony...

Z chaosu wyłania grecki dom, katedra w Wilnie... Czy dlatego, że urodził się na Wileńszczyźźnie i kocha każdą uliczkę, każdy najdrobniejszy kamyk wileński?...

A jeśli, tak jest? To ich krew za jego umiłowane miasto? Czy może za Lwów... Białystok i Brześć?!

Czuje, że to nie jest to. Ale jak im powiedzieć, że biją się o jakąś cudną całość, którą on z pewnością zna i widzi, a którą oni najpewniej przeczuwają...

W młodości znał chłopa, który odsiedział pięć lat więzienia za zabójstwo sąsiada — poszło im o miedzę. — Bijemy się o miedzę? Konferencja w Spaa... Nazwa miejscowości kąpielowej rozrzuca się, jaskrawo świecącemi literami na tle rozgorączkowanej wyobraźni... Na chwilę zgaśnie i znów błyśnie neonowem natręctwem. Do Spaa przyjechały skurwysyny z całego świata, aby stanowić o Polsce...

W okresie, pomiędzy wypijaniem, jednej szklanki wody alkalicznej, a flachami szampana, stanowią o Polsce. Wściekłość rośnie wraz z przedstawieniowem myśleniem o takiej konferencji. Willa Farnese, Hotel Francais, „Anglais", alkaliczna woda, którą prospekty drukowane na welinowym papierze, polecają w rubryce „wskazania": przeciw: hysterji, hypochondrji, chorobom żołądka, niemocy nerwowej...

— I kwestja polska...

„Radziliśmy... ostrzegaliśmy przed dziecinnym imperjalizmem"...

Ostrzegali... handlarze krwią negrów... i ludów niecywilizowanych... Gniewają się na krnąbne dzieci... starsi, poważni panowie, popijający wodę alkaliczno-żelazową. Wycie wiatru uwydatnia wyraźnie atmosferę beznadziejności. Daleko gdzieś wyrywa się z paszcz armatnich skowyt pocisków. Każdy wy-

strzał armatni wiąże się z ogromem możliwości zmian, korzystnych, chyba tylko korzystnych... Cóż może być gorszego od tego co jest? Nie może tu leżeć, kiedy armaty strzelają. Nie ma prawa. Wstanie i pojedzie tam do nich... Dokąd? Do cofających się oddziałów? Czy ma stanąć na czele jakiegoś pierwszego lepszego pułku i zaapelować do nich, skulonych od zimna i zmoczonych słotną siąpaniną, krzyknąć: Wyprostujcie się dzieci! Za mną marsz!! I pójdą! Poleci za nim cały pułk! I zwyciężą lub zginą! Zginą! Myśl o śmierci zjawiła się nagle i rozwinęła się tyraljerką w mózgu i w duszy wodza... Załatwiona sprawa. Lata niemałe i przeżyć dość, a śmierć musi prędzej czy później ośmieszyć każdy entuzjazm i najdrobniejszy poryw...

Dudnienie rynny, wolno ociekającej kroplami deszczu świadczy o tem, że wszystko zostanie po staremu, konieczne i bezlitosne, bez względu na wysiłek i walkę... Walkę z koniecznością... z kroplami deszczu. Porywa go myśl o śmierci. Ale równocześnie z myślą o śmierci, skrzyżowała się nagle w ciągu długiego żywota, nabyta umiejętność i potrzeba mierzenia śmierci jej ceną. Wie o tem najlepiej z własnych przeżyć, że śmierć musi mieć cenę. Jaknajwiększą. Nietylko jego śmierć, ale ich wszystkich... tych, którzy tworzą armję. Armja! Wraz z tem pojęciem, spłynęło dawno niedoznane, rozkoszne wzruszenie. Armja! On, człowiek szalonych marzeń, całą swoją jedyną w Polsce sugestywną mocą ściągnął ich; pojedynczych i w grupach i masach na jedno miejsce...

Z nad Isonza, z nad Irtyszu, z Murmania, z Champanji, z całego świata, szły, niby w śnie som-

nabulicznym, wołane głosem lip, topol, dębów, nęcone barwami pól i lasów, zapachem rozmarynu, małej, polnej koniczyny. I jego głosem. Podjął pleśniejące w starych arsenałach, zamienionych na urzędy, w muzeach, w nudnych, nieczytanych, księgach — słowo „Wolność" i rzucił w serca najbliższych. Zapalił je jednem słowem i poruszył nieziszczalnością nadziej... Wydał rozkazy... kilku ludziom i usłuchały go miljony... Nie może, ani rusz przypomnieć, kiedy stała się armja polska. Czy wtedy, kiedy kilku ułanów wracżało do Miechowa? Czy wtedy, gdy wśród gwałtownych zmagań ambicyj i donkiszoteryj, świetnych ludzi na różnych odcinkach polskiego życia, wykrzesało się poczucie wspólności i dążeń — już nie marzeń — ale dążeń i celów. Nie wie, kiedy powstała armja polska, w pamięci ma pierwszy komunikat wojenny polskiego dowództwa...

Strzały armatnie wydają się zbliżać... i wiatr coraz natrętniej, przypomina wycie wilków w tajgach... Deszcze niosą wodzowi gorączkę i suszę w usta i zwolna wyłaniające się ze wspomnień poczucie odpowiedzialności za wszystko, co się w tej chwili dzieje i za przyszłość i niczem, nie do zrzucenia łączność z przeszłością...

Leży na wznak i patrzy w ciemność obejmującą jego i wszystko, co w nim tęskni i pragnie. Na kwaterę wybrano opuszczony przez właściciela folwarku, dworek. Nie chce przebywać w Warszawie, gdzie wiecznie radzą i radzą i politykują. Nie znosi tej atmosfery, agonji śmiertelnie chorego człowieka, przy którym domownicy głośno mówią o spadku... Z białemi kolumienkami terasy łączy się wspomnienie lat

dziecinnych i skądsiś niewiadomo dlaczego nadpłynięta melodja japońskiej pieśni, zasłyszanej ongiś w Jokohama. Z wysokiej temperatury płynie, chaos wspomnień rozkosznych i naprzemian koszmarnych, związanych z osobami i rzeczami i aktami o „doniosłem znaczeniu"... Ponad tem wszystkiem dominuje potrzeba, usprawiedliwienia się przed samym sobą... I przed nikim innym! Teraz ze sobą samym chce być w porządku... Inni muszą słuchać rozkazów! Zaryzykował! Zaryzykował? —

Byle błazen prawi o igraszkach. Płazy, zlizujące proch z butów gnębicieli... Gniew podchodzi do gardła i krew uderza do głowy... Jest naczelnikiem i wodzem! Jest wyrazem ich dążeń. Chciał zabezpieczyć Polskę na zawsze... Przemysł polski, związany z rozległemi terenami zbytu, wolnej Ukrainy i Białorusi. Nie pragnął zagarnąć ani piędzi ziemi obcej, chce tylko zobowiązać, dla Polski dwa państwa... Miał prawo dążyć do swojego celu i intencje czyste i sił dość...

I przyszła klęska zupełnie nieprzewidziana... Bez przyczyny, poczęła się klęska. Ten sam żołnierz i ci sami dowódcy, którzy szli nieprzerwanie naprzód... w jakiejś chwili zawrócili... zaczarowani. Zawrócili. Rozbita armja bolszewicka skrzepła w udarny wał i ruszyła na Zachód...

Teraz bije polska lekka artylerja, podjeżdżając prawie do szeregów piechoty, osłania odwrót.

Zaryzykował wszystko. Wszystko traci. Nie on, ale Polska. Trzeba zginąć! Ale jednocześnie rośnie świadomość swojej wartości w ciężkiej chwili. Jest kimś dla ojczyzny — ważnym. Nie wolno o sobie

myśleć, jako o człowieku winy i kary. Rodzą się plany, z znajomości kraju i ludzi. Kłębią się w chaosie różnych możliwości... Gdyby nie przeszkadzały; natrętnie powracające odgłosy szczekaczy i japońska melodja z Jokohamy. — Trzeba skupić całą uwagę na linje rzek i możliwość oparcia o trójką wołyńskich twierdz. — Tysiąckrotnie omawiali plany kontrofenzywy z oficerami sztabu, ale nie mogli ustalić odpowiedniej pory.

Igraszki... sączy przez zaciśnięte zęby... moje igraszki i koncepcje. Gdyby tak mógł im wszystko powiedzieć, przemądrym parlamentarzystom o wszystkiem, co jest prawdziwem jak Polska i jego myśl o niej. Prać po tyłku i równocześnie spokojnie, tłumaczyć, co to jest wyprawa kijowska.

Nie pora teraz... nie teraz... jego plan... Jenerał Sikorski z swoją armją, pułkownik Hozer... byleby tylko jenerał Szeptycki... W dniu... o godzinie... zacznie się.

Poczęło świtać... Wiatr zamilkł i deszcz przestał padać. O rynny dudniły ostatnie krople. Tylko armaty waliły nieustannie i rozpaczliwie. Rozumiał ich mowę, naczelny wódz armji polskiej.

L.

Słowo Polskie 10 sierpnia 1920...

Wiadomości bieżące:

Ogórki żółto zielone, pomarszczone, z kształtu podobne do żydowskich nosów. Ich panowanie się zaczyna. Na straganach...

LI.

Mudryj bardzo bolał nad tem, że ustęp o polskim wodzu został przez ziomków uznany za panegiryk. Nie obeszło się bez docinków na temat zmienności „uczuć" autora... Napiętnowano go niemal mianem zdrajcy. W okresie obserwowania i niejakiego współżycia z przyszłym bohaterem swojej pierwszej książki, Mikołajem Antonowiczem Markowem, nie przewidywał, możliwości zmian swojego stosunku, do rewolucji rosyjskiej.

Mikołaj Markow nieraz słyszał na własne uszy, przechwałki Mudrego, — utrzymane zresztą w umiarkowanym tonie — że w tej potyczce zarąbał dwóch ukraińskich sługusów międzynarodowego kapitału. Innym razem ustrzelił osiemnastoletniego chłopca w mundurze petlurowskiego chorążego i to nie w bitwie czy potyczce. Opowiadał o tem rozgorączkowany, pod świeżem wrażeniem... Mówił głośno, aby zagłuszyć własne sumienie.

— Kręcił się, jak mucha w maśle, nie wiedział, jak się wydostać z rynku, aby podążyć za swoim oddziałem... ani jęknął... położył się cicho, jak na trawie, nawet krwi nie było widać, zakrył sobą skrwawione kamienie... paniczyk...

— Rąbało się szablami i słowami — stwierdził, po wielu latach Omeljan Mudryj, a dobrotliwe, siwe oczy mgłą zajdą, mgłą wspomnień i melancholji.

Towarzysz Antonowicz Markow, nie wysila się na zdanie sprawy z położenia oddziału konnicy, do której wedle ksiąg pułkowych, należy od kilku miesięcy. Nie entuzjazmuje się nazwiskiem Budiennego.

Nie imponuje mu wcale przeszłość wodza konnej armji — tkwiąca gdzieś w randze wachmistrza... Mikołaj Markow nie potrzebuje specjalnych bodźców do wojennego rzemiosła. Zna je wyśmienicie i para się niem z ukontentowaniem. Cel obojętny. Niech się tem trapią politruk i dowódca oddziału.

Zapędzili się w kilka tysięcy konnych daleko poza właściwą linję frontu...

Wciągnęły ich olbrzymie lasy, a teraz boją się, czy z lasami nie współdziałają ludzie. Zdziwieni łatwością konnego rajdu, pytają zaniepokojeni dowódcy, gdzie się podziały rezerwy polskie...? Komunikaty sztabu armji operującej w Galicji Wschodniej, wspominają o walkach nad Bugiem, Złotą Lipą... a oddział części, konnej armji Budiennego, operuje w okolicach Chodorowa, Żydaczowa, Mikołajowa i Stryja...

Markow wcielony do armji Budiennego, przeleciał z nią szmat rosyjskiego świata. Uganiał się za białymi nad Donem, przez jakąś chwilę zdawało się że go wreszcie zatłucze w potyczce, patrol wranglowej armji. Ocalał jednak niemal cudem... Żył i działał na froncie galicyjskim... O rodzinie nie miał pewnych wiadomości. Wprawdzie go, któryś ze znajomych pozostałych w Proskurowie informował o synu i jego kolejach jako petlurowskiego żołnierza, ale nie przyjmował tych nowin do wiadomości. Nie były one bezpieczne dla niego, sam miał chuligańską przeszłość, przypominał mu ją mimochodem politruk, bezlitosny ironista, żydowskiego pochodzenia, przyczem na słowo chuligański kładł specjalny nacisk. Szło się wprzód, w tył, a czasami w bok.. Zie-

mia cierpliwie znosi wszelkie ewolucje, mniej lub więcej umiejętne, wykonywane przez jej władców.

Czasami zazieleni się, osłoneczni uśmiechem wiosny, czasami zasmuci i osłoni łzami jesieni, czasami znowu rozpali się żarem letniego południa, albo zamrozi bielą zimowej, śnieżnej płachty... Markow ustosunkował się do tych zmian zależnie od swoich środków materjalnych. Zdarzało się, że w zimie nie miał kurtki podbitej barankowem futrem. Wtedy z rozrzewnieniem wspominał dawne, carskie czasy i służbę odbywaną na granicy, Budę Zbaraską i Chaima Tortena. Incydent na granicy w chwili przekraczania jej przez wojsko carskie, kładł na karb pijanej nieświadomości, w jakiej się wtedy rzekomo znajdował. Usprawiedliwienie niewytłumaczalnego zachowania się wobec Tortena, poszło gładko. Było ono nawet niepotrzebne dla człowieka, o niezachwianej dotychczas równowadze ducha...

Dopiero niedostatek w ubiorze i dość częsty niedosyt, zwróciły myśli Mikołaja Markowa w stronę przeszłości i mimowoli z niej wydostała się postać Chaima Tortena. Rozkazy Budiennego i prasa, prawiły o marszu na Lwów. Było tam wiele o uwolnieniu pracującego ludu, ale o tym najmniej myślał. Nie ironizował na temat swobody i klasowego upośledzenia warstw pracujących, bo nie miał nigdy poczucia humoru ani rzeczywistości krzywego zwierciadła... Szedł z innymi na Lwów, bo w pierwszym rzędzie tę chęć podtrzymywał politruk z całą kupą szpiegów, donoszących o duchowem nastawieniu bojowników czerwonej armji, a pozatem spodziewał się nasycenia głodu i możności dorwania się do pary

butów. Galicyjska kampanja, w zupełności go zadawalała. Szło się prawie bez napotykania oporu... Miasta i wsie mieściły w sobie dość dużo jedzenia, a i o but i o jakiś przyodziewek nie trudno... Spichrze dworskie dostarczały pokarm dla koni, a stajnie nie trudne do zdobycia, ofiarowywały zwycięzcom bydło rzeźne. Szło się w kraj, którego mowę dość łatwo się rozumie i urządzenia zna nieźle. Aż za łatwo... za dobrze!

Trochę to niepokoi żołnierzy... Rozmawiają ze sobą szeptem, aby nie zdradzić się obawą, a przedewszystkiem zakłopotaniem spowodu nieznajomości sytuacji wojennej.

Jeszcze tydzień temu... czytali komunikaty o wzięciu Warszawy... Politruk urządził z tej okazji specjalny miting, na którym zapewniał, że atakowi ideowego żołnierza nie oprze się najsilniejsza twierdza. Teraz pewnie dochodzą wojska czerwone do Poznania, a potem razem z Niemcami na burżuazyjną Europę...

Tymczasem od kiedy znaleźli się nad Dniestrem, nie ma nowych komunikat. Nie czyta się nowin o dalszych zwycięstwach. Nagle się urwały wiadomości, a gazetka pułkowa wiele rozpowiada o ataku na Lwów i Zamość...

Żołnierze mają doskonałe wyczucie prawdy zawartej w komunikatach... Umieją czytać komunikaty i rozumieć niedopowiedzenia... Gazetka pułkowa nie zaspakaja ich ciekawości... Rozsypały się drobne oddziałki konne w okolicy Sokołowa... Dowódca postanowił za wszelką cenę nawiązać kontakt z piechotą armji czerwonej... markuje ruch ofenzywy,

a w rzeczywistości skierowuje drobne oddziałki na wschód... tą samą leśną drogą, którą przyszli...

Markow dowodzi oddziałkiem, złożonym z dwudziestu ludzi.... Poruczono mu zadanie posuwania się w kierunku Stryja. Zajmie wsie leżące około Sokołowa i samo miasto... wypoczną jedną noc i pójdą dalej... Kilka innych oddziałków posuwało się równolegle do linji Dniestru... aż po Mikołajów... przez Rozdół, Żydaczów. Markow siedzi na „burżujce" — w jakimś momencie mignie mu w pamięci postać ekonoma hrabiego Grocholskiego z Budy Zbaraskiej, rozwalonego na takiej samej bryczce — obok niego na siedzeniu mieści się lekki karabin maszynowy, obsługę stanowią dwaj czerwonoarmiejcy... Mikołaj Antonowicz jest dowódcą oddziałku, a wraz z tą funkcją przybywa pragnienie dokonania czegoś nadzwyczajnego... Zjawiło się ono nieoczekiwanie i pociągnęło za sobą już upadającego na duchu Markowa. Wyprostował się, kiedy mu pułkownik tłumaczył na czem polega jego czynność... — Przeprowadzacie towarzyszu samodzielną operację... — wyprężył się, przyjmując do wiadomości rozkaz dowódcy, jak za dawnych, carskich czasów... rzucił okiem na swój podarty mundur nieznacznie się skrzywił i w myśli przyrzekł sobie w najbliższym czzasie sprawić nowy... Zwłaszcza teraz, kiedy samoistnie przeprowadza wojenne operacje...

LII.

Już było po szóstej, kiedy silne szarpnięcie szamesa obudziło Hersza Tortena... Przyzwyczajony do

takiego sposobu porozumiewania się... zwlókł się szybko z ławki...

— Pójdziecie ze mną do pewnego domu, jesteście potrzebni na dziesiątego do modlitwy

— a innych niema...?

— pouciekali tej nocy, jak warjaty...

— dlaczego uciekli?... — Hersz zaspany, zapomniał o bolszewikach...

— nie udawajcie... bolszewików tylko, że nie widać... są blisko.

Torten oprzytomniał, dźwignął się i zwrócił się do szamesa — dokąd idziemy?

— do domu tutejszego lekrza, Jägera. — Wczoraj pochowaliśmy go, została żona i syn siedzą na pokucie... i przez siedem dni będą odprawiane modły w jego domu za duszę zmarłego... Tymczasem co bogatsi Żydzi wczoraj pouciekali... Muszą zbierać biedotę... niech zarobią biedni, ale i z tych wielu nie wychodzi z domu z obawy przed bolszewikami...

— przecież ich jeszcze niema

— ale mogą w każdej chwili nadejść

— czegoż się bać?

— nie wiem

Szli przez opustoszały rynek. Nawóz koński i ludzki świadczył o bytności uciekinierów. Zamknięte okiennice sklepików przedłużały noc. Wczoraj ludne i wrzasku pełne miasteczko, było ciche i smutne. Ranne słońce niezbyt intensywnie przyspiesza parowanie końskiego moczu, a specyficzny zapach kwasu hippurowego unosi się i przesyca powietrze.

Na pryncypalnej ulicy stoi, wyróżniający się pewną elegancją i czystością piętrowy dom Salomona Mandelbauma, Jägerowie są lokatorami Mandelbauma.

Weszli drewnianemi schodami, przyczepionemi na zewnętrznej stronie domu żałoby. Wdowa po lekarzu czterdziestoletnia kobieta, dość pretensjonalnie ubrana — wypominano jej przez całe życie tę elegancję, w dzień po pogrzebie męża — kręciła się wśród gromady Żydów rozmaitego wieku i stanu, ciągle zajęta baczeniem, by jej czego nie ukradli. Pomiędzy nimi poznał Torten, dwóch czy trzech pensjonarjuszy hotelu Jojne Cyrka... — Dobrze, żeście przyszli... Trzeba się wziąć do modlitwy... —

Przy zaimprowizowanym — z komody — ołtarzu stanął w tałesie Salomon Mandelbaum, gospodarz domu i przyjaciel doktorów... Mandelbaum nie uciekł przed bolszewikami... Został, by osobiście przypilnować swego majątku. Niemal zadowolony z okazji, począł mocnym głosem wypowiadać słowa porannej modlitwy. Rozpoczęła się modlitwa. Szła łamaną linją dziwnej melodji pieśni liturgicznej, wznosiła się do ekstazy to opadała w ton codziennej rozmowy — a kanwa jej... nieustanne murmorando dziesięciu mężczyzn pogrążonych w przyjemny stan oderwania się od codzienności... Torten nie bierze udziału w modlitwie. Rozgląda się po pokoju, zauważa lustro, osłonięte jakąś kapą, nie spodziewał się, że u inteligentów, trzymają się starych, żydowskich zwyczajów. Mandelbaum modli się szczerze, nie może wprawdzie w szybkiem tempie wypowiadanych słów, znaleźć treści i znaczenia, wie jednak, że

one są święte i że popłyną niechybnie strumieniem miljonów modlitw i westchnień do Boga. Jeszcze po drodze dowiedział się Torten od szamesa wiele szczegółów o Mandelbaumie... Znał człowieka o tem imieniu i nazwisku... widywał go przed wojną na jarmarkach św. Anny w Tarnopolu, ale tamten był małym właścicielem banczku... — To ten sam, dzisiaj, należy do niego kilka wsi, dwa młyny, dziesięć domów w większych miastach Polski... Dorobił się... —

— myślicie, że nie pracuje? Więcej niż każdy z nas... taka jego natura

— to przekleństwo

— jakie... ot ja jestem szamesem w bożnicy, a przytem szklarzem... i żvie jakoś... może spokojniej od bogacza Mandelbauma

— on by się z wami nie pomieniał...

— ale pytajcie mnie, czy ja bym się zgodził na zamianę położenia?.. Mnie, Bóg, sprawia niemal codziennie jakiś nowy cud

— jaki cud?

— posłuchajcie, a przyznacie mi rację... Często się zdarza, że nie mam jednej marki, aby kupić na sobotę funt mięsa, a gąb, do jedzenia jest sporo... siedmioro ludzi... to coś znaczy... Bezzębna gęba śmieje się, a rudawa broda, późno przypomina sobie, że trzeba się śmiać i zaczyna się o jakąś sekundę później trząść. — I co robi Bóg?... Do mojej nory, zapchanej na strychu, w najciaśniejszym zakątku miasta... zapuka ni stąd ni z owąd chłop ze Starej Skałki i krzyknie „hej, stary Elu, trzeba mi dwóch obrazów świętych... więc mu sprzedaję dwóch świętych,

oprawiam w ramki i zarabiam, na obrazach i na ramkach no i na szybkach... czy to nie cud?... Chłop przychodzi do mnie, ominąwszy trzydzieści sklepów większych i mniejszych.. z wystawami, pełnemi ram i obrazów, cud... czysty cud... ale nie na tem koniec... Za parę dni ten sam chłop przychodzi do mnie i mówi Elu, te obrazy nie są dobre... Dlaczego? — ano bo są to święci polscy, a mnie są potrzebni ruscy, poczem wyciąga z kieszeni pomięte obrazy i oddaje mi... — ależ gospodarzu... czyż mogę przyjąć z powrotem zmięte obrazy?... gdybyście przynieśli zupełnie nie zmięte to co innego —

— więc co będzie? — pyta chłop... — Co będzie? sprzedam wam ruskich świętych... Chłop naturalnie się zgadza i zarabiam na ruskich świętych o pół marki więcej... i czy nie cud?... I tak jakoś prawie codziennie...

Dochodzili już do domu Mandelbauma, a Elo, szames ciągle opowiada o swojem zadowoleniu..

Kiedyśtu.. zdaje się, przed miesiącem, nie mogłem jakoś spać... o czwartej nad ranem, wyglądam oknem, aby zaczerpnąć świeżego powietrza, — astma mię trochę dusi — w tem patrzę i nie wierzę swoim oczom... Salomon Mandelbaum osobiście śpieszy... myślę sobie, do kogo?... patrzę, idzie do Symchy Żelaźnika... Osobiście, fatyguje się o czwartej nad ranem, aby wytargować parę podków, potrzebnych dla koni, na jednym z folwarków... Symche Żelaźnik musi wstać o czwartej, bo Salomon Mandelbaum sobie tak życzy. Jak to zobaczyłem, zaraz mi się zrobiło lżej na sercu i pomyślałem; niech Salomon Mandelbaum załatwia swoje interesy od

czwartej rano, a Elo — szklarz i szames w jednej osobie, położy się spokojnie spać... Położyłem się i spałem do ósmej... Czy nie cud Pana Boga?... Cud i nic więcej... Z zamyślenia wyrwała Tortena niemiła scena, odmawiania modlitwy za umarłych przez szesnastoletniego syna, zmarłego na plamisty tyfus, doktora... Chłopak nie znał hebrajskiego języka, wychowany poza zwyczajami i tradycją żydowską. Zdziwionym wzrokiem patrzał na to wszystko, co się działo wokół niego. Przejęty głębokim bólem po stracie ojca, nie zdawał sobie na razie sprawy z wszystkiego. Patrzył i milczał, gdy go wreszcie pchnięto ku ołtarzowi, aby odmówił modlitwę za zmarłych rozpłakał się — przecież wiecie, że nie umiem. — Wiedzieli, że nie umie, ale nie mogli sobie odmówić tej satysfakcji, aby w takiej chwili chłopca, a przedewszystkiem system wychowania wystawić na pośmiewisko...

Elo szames przystąpił do chłopca i głośno, powoli począł wypowiadać słowa modlitwy, a syn zmarłego, niemiłosiernie koślawiąc słowa, wyrosłe w Azji, powtarzał i całą swą dziecinną tkliwością do ojca, prostował niezrozumiałe i skrzywione. Po skończeniu modlitwy za zmarłych, nabożeństwo odbywało się w dalszym ciągu, a Elo szames posadziwszy obok siebie, syna, zmarłego doktora, usiłował mu przetłumaczyć słowa, strasznej modlitwy za zmarłych. Niezdarną polszczyzną tłumaczył szóstoklasiście, słowa, brzmiące uroczyście i ponuro „Jisgadal w jiskadejsz b'olmo..."

„Nech będzie pochwalony i uświęcone święte imię Boga, na cały świat, który jest przez Niego

stworzony wedle Jego woli. Oby Jego panowanie się rozpowszechniło za waszego żywota za dni naszych i za istnienia całego Żydowstwa, już wkrótce: i odpowiadajcie na to: Amen!..."

Chłopię, szeroko rozwartemi zielonemi oczyma patrzy w szamesa, spodziewa się usłyszeć wyrazy i myśli związane z ojcem, który na każdym kroku zaznaczał, że żyje dla swojego jedynego syna... Oczekuje w słowach modlitwy rezonansu swoich tkliwych wspomnień o ojcu. Nie może zapomnieć, tej łzy, która się potoczyła z oczu ojca w ostatniej chwili jego zamierającego życia... Kojarzy się nierozerwanie z tem wspomnieniem, łypnięcie dużemi oczyma, skrępowanego sznurami bydlęcia w chwili przeciągnięcia wyostrzonem ostrzem rzezackiego noża, przez rytualnego szocheta. Z dzieciństwa pozostał w pamięci widok ginącego zwierzęcia, sznurami ściągniętego w bezsilność i ten sam wyraz oczu milczących i bezbrzeżnie smutnych, jak u umierającego — w milczeniu i świadomości — ojca... Nic wspólnego z tą łzą — na zmarszczonem, gorączką zjedzonem obliczu, jego najlepszego ojca, nie mają słowa modlitwy, znaczące potęgę i imperjalistyczną troskę żydowskiego Boga...

Elo szames, zadowolony z swojej roli tłumacza hebrajskiej modlitwy na słowa polskie, niezmordowanie szamoce się z tekstem i polszczyzną, nie zważając na niecierpliwe miotanie się zapłakanego chłopaka.

Świetny słuch, pozwolił Tortenowi, dosłyszeć urywek rozmowy dwóch sokołowskich Żydów. Jeden stary o kaprawych, sklerotycznych oczach,

zgarbiony, przechyla się jeszcze niżej, jakby się kłaniał komuś niewidocznemu... sykiem przeciągającym przez lukę w przedniem uzębieniu, krytykuje nieobycie się Salomona Mandelbauma z modlitewnikiem...

— pcha się do ołtarza, a nie wie nawet co trzeba dzisiaj odmawiać... i co najgorsze, fatalnie czyta po hebrajsku...

— bogaty, wszystko umie — melancholijnie odpowiada o pucułowatej twarzy, z lekka wysypującym się zarostem wnuk — za mało mu majątku, chce mu się jeszcze zaszczytów... Zachciało mu się modlić przy ołtarzu...

— a nam nie zapłacą za stratę czasu?...

Z innej strony, z kąta, w którym stanęli wczorajszy znajomi od Jojny Cyrka, szło całkiem niedwuznaczne żądanie, kierowane w stronę gospodyni, aby uraczyła gości wódką i miodownikiem...

Torten dosłyszał nawet z kuchni dochodzące odgłosy kłótni wdowy ze służącą... — za grubo pokrajałaś piernik, oni, jak ta szarańcza objedliby cały dom

— czego tam żałować, ot parę kawałków więcej zjedzą biedacy...

— tobie, ich więcej żal, aniżeli mnie — wroga w domu człowiek hoduje i jaką ma podziękę... Co chwila wyodrębniała się jakaś scenka z całości złożonej z kabotyństwa modlącego się przed ołtarzem, Mandelbauma, zgromadzonego zespołu dziesięciu Żydów, z serdecznego bólu dzieciaka, skąpstwa wdowy w najcięższej chwili, troszczącej się o drobnostki, głodu i zawiści ludzi bardzo dalekich od te-

go, na którego cześć gromadzą się, aby za jego duszę pomodlić się i pobłogosławić. Chyba roje much natrętnie brzęczących, zaniosą na cmentarz to błogosławieństwo, nieszczere i obce...

Hersz podszedł do płaczącego chłopca i przytulił do siebie... Trudne do wysłowienia uczucie ciągnie go do chłopca — nieco młodszego od jego wnuka — ale wszędobylska gospodyni domu, gwałtownie odrywa syna od łachmaniarza... może zawszowionego — panuje tyfus plamisty. — Wezbrane uczucie Hersza, rozwiewa się w ironiczną uwagę o swojem przeznaczeniu, obywania się bez dzieci i wnuków. Nie czekał już na częstunek, wyszedł.

Salomon Mandelbaum, nie pracuje dzisiaj. Niewiele miał takich dni w swojem życiu. Dni, bez uganiania za interesami. Mandelbaumem zajmuje się od wielu lat, cała okolica, powiatowego miasta Sokołowa. Cokolwiek największy bogacz uczyni, to staje się przedmiotem rozmów i rozmyślań, wielu ludzi, którzy tego samego nie umieli zrobić. Jego jednego wszyscy spostrzegali. Był miarą i sprawdzianem dla wszystkich, którzy wiedzieli o tem, że przed czterdziestu laty pasał jedną, jedyną krowinę, własność rodziców żywiących, z utargów małej traficzki i handlu jajami i lnem, jedenaścioro dzieci. Bez wytchnienia pracował od najwcześniejszej młodości, aby zarobić więcej, aniżeli miał. Młyny, gospodarstwa rolne, gorzelnie, wypasy bydła, wreszcie sklep i bank, to tereny pracy Salomona Mandelbauma. Salomona a nie Szlomka. Każde materjalne powodzenie, oddalało Salomona coraz bardziej od znienawidzonego Szlomka. W nieobecności, najbo-

gatszego człowieka w okolicy, nie mówi się inaczej, jak: Szlomko Mandelbaum, ale hrabia Pochwalski w rozmowie z swoim byłym dzierżawcą nie zapomni zwrócić się słowami „kochany panie sąsiedzie“, albo „wielce szanowny panie Salomonie“.

Niepokaźny wzrostem, opalony słońcem i wiatrem, małemi, ciemnemi oczyma wiecznie kogoś wypatrujący, nie zajmował się nigdy wielką polityką. Ważne są ceny zboża, węgla i żelaza, ale by je znać, wystarczają cenniki producentów, a niebotrzebne są dla Mandelbauma ceduły giełdowe, ani polityczne, artykuły wstępne, stołecznych dzienników. Nigdy nie zastanawiał się nad tem, że jego interesy są zależne od politycznej konstelacji w Europie i Azji. On sam działa na terenie sokołowskiego powiatu, bez względu na zdarzenia w reszcie świata. W tej drobnej części świata, był wielkim przemysłowcem, największym bankierem i jednym z największych rolników. Reszta świata go nie obchodzi. Dopiero groza bolszewickiego najazdu na teren jego działalności, ujarzmiła na chwilę energję, niewolnika interesów.

Od chwili ukazania się na podwórzu jego domostwa w Sokołowie, Karola Humeniuka, na furze obładowanej tobołami i rodziną, sparaliżowała, zwykłą u Mandelbauma konieczność, kombinowania, przewidywania, a przedewszystkiem zarabiania.

Hersz Torten znał Mandelbauma jeszcze z tych lat, kiedy się spotykali w Tarnopolu na jarmarkach św. Anny. Znajomość raczej z widzenia, bo Torten nigdy nie znachodził tyle czasu, by z ludźmi nie grającymi w karty, bliższą zawierać znajomość czy to

handlową, czy towarzyską. Do takiej znajomości nadawał się Mikołaj Antonowicz Markow. Zresztą i Mandelbaum odznaczał się już w młodych latach idjosynkrazją w odniesieniu do ludzi o bujnej wyobraźni, albo temperamencie wyładującym się w czynach niekorzystnych. Nie znosił ludzi lekkomyślnych. Nie rozumiał ich, nie zbliżała go do nich nawet, możliwość dużego zarobku. O Herszu Tortenie wiedział Mandelbaum, że jest karciarzem, a Torten nasłuchał się dość anegdot o skąpym i ruchliwym wtedy dorabiającym się bogaczu. Więc przechodzili mimo siebie, obserwując się wzajemnie. Harsz, konstantuje, że Mandelbaum się nie zmienił, zgolił tylko bródkę, stał się nieco niższy, a włos strzyżony na jeża jest rzadszy. Rano przy modlitwie w domu zmarłego doktora, nie zauważył żadnych zmian, bo Mandelbaum w tałesie zdawał się być tym samym z przed wojny, rzutkim, surowym dla siebie i innych, człowiekiem, nawet ciemne plamy na policzku, znamionujące emocję związaną, zazwyczaj z interesem, przypomniały przedwojennego Mandelbauma z jarmarków św. Anny...

Mandelbaum stoi przy furtce i patrzy na oszalałe ze strachu pojedyncze grupki ludzi, przelewające się gościńcem ku Stryjowi. Ostatnie grupki uciekających. Stoi bezczynnie, on, który nigdy w życiu nie pozwolił sobie na nic niepotrzebnego. Trzęsący się ze strachu dozorca z jednego jego folwarku, Karol Humeniuk, opowiadał tem, co wyrabiają bolszewicy w zajętych miejscowościach, a specjalnie jak mszczą się na zaufanych sługach, wiernych, panom dziedzicom. Na sekundę przyjdzie miłe uczucie płynące ze sło-

wa „panom dziedzicom" i zniknie, ustępując miejsce gniewowi, za opuszczenie posterunku.

— Chłopi pokradną wszystko...

— Ratowałem życie panie dziedzicu... —

— życie? —

Pytanie, nieomal z pogardą wypowiedziane draźni Humeniuka...

— moje własne i mojej rodziny, my nie mamy nic, prócz życia... —

Nie czas teraz na dyskusje, bo Humeniuk nie pytając o pozwolenie odjeżdża furą zaprzężoną w konie swojego chlebodawcy.

Mandelbaum nie rozumie życia bez majątku, dlatego zostanie i będzie pilnował swojego majątku i swojego domu. Nie pomaga zaklinanie żony i dzieci, aby uciekał przed bolszewikami, bo go zabiją jako najbogatszego człowieka w mieście. Zostanie, aby się nie rozstać z tem, co własną pracą zdobył.

Słowa Humeniuka, przygarbiły Salomona... Słuchał wieści o poczynaniach bolszewików, całkiem innych od jego możliwości i nieuchronnie mających nastąpić...

Ale opanował się, przywołał żebraka w czarnych okularach, o jednej nodze, ubranego dziwacznie, w szczątki wojskowego munduru. Przemówił do niego po rusku, zdziwionemu, Hersz odpowiedział po żydowsku.

Salomon od żebraka spodziewa się usłyszeć zaprzeczenia plotkom naniesionym przez zwarjowanego chłopa Humeniuka, sądzi, że żydowski żebrak odznacza się większą mądrością od głupiego chłopa...,

— Porzucił powierzone jego opiece bydło na pastwiskach w Rogóżnie i wygaduje niestworzone rzeczy o bolszewikach, chyba ten strach jest nieuzasadniony. Sam starosta zapewniał, dzisiaj rano, że niema mowy o dojściu bolszewików do Sokołowa, kazał aresztować kilku Żydów za szerzenie paniki nieprawdziwemi wiadomościami o położeniu wojennem. Zresztą bolszewicy są tacy sami ludzie jak my. Zna Rosjan. Przez rok inwazji rosyjskiej, nieprzeszkodzony przez okupacyjne władze rosyjskie, ugruntowywał swoje bogactwo. — Ale Hersz nie zaprzecza plotkom Karola Humeniuka.

Z właściwą sobie zdolnością żywego opowiadania, tłumaczy bogaczowi, że ludzie ci sami, to prawda, ale oni wszyscy co do jednego mają przewrócone w głowie.

— Wszyscy co do jednego. Wywracają do góry nogami cały porządek. Oni wysyłają najbogatszych obywateli na ulice i każą im zamiatać jezdnie. — Mandelbaum nie wstydzi się żadnej pracy. Ile razy sam, osobiście bierze w ręce widły i wygarnia spod krowy jeszcze ciepły gnój...

— trzeba im pokazać, jak należy to zrobić, tamto zrobić... sami nie umieją i nie chcą się nauczyć, trzeba znać chłopów... Nie wstydzę się żadnej roboty,

— ale tu nie idzie o wstyd — tłumaczy. bogaczowi, o burżujskiej duszy żebrak, Hersz Torten.

— praca, pracą, ale zamiatanie ulic ma coś oznaczać...

— co znaczy? — pyta zaperzony bogacz. — Bardzo dobrze robią, niech będzie czysto. —

Mandelbaum jest znany z chorobliwego umiłowania czystości. Osobiście, sprząta, stawia i przestawia, w domu, w sklepie, a nawet często zapomina się u obcych, strofując ich za dostrzeżone nieporządki. W najdonioślejszych i najcięższych momentach swojego życia, nie wyzbywa się troski o drobne sprawy, związane z porządkami, w szafie, czy biurku. Znachodził, zdawało się, wypoczynek i wytchnienie w strofowaniu otaczających go ludzi, za śmieszne, drobne i niewspółmierne z jeko wielkimi interesami — małe uchybienia. Z dziwną zdolnością, dostrzegał plamkę na ubraniu syna, wyszczerbioną szklankę w sklepie, zbyteczny wydatek, drobnej kwoty na „pańskie" jedzenie, zarzucany żonie, zresztą kochanej i bardzo szanowanej. Krzyczał złorzeczył i czasami bił, a podwładni bali się samego nawskróś przenikającego wzroku. — Syn Mandelbauma będąc w czwartej klasie gimnazjalnej, zdążył odkryć w ojcu podobieństwo do cara Piotra Wielkiego. W analogji, tej mieściło się uwielbienie dla wielkiego ojca i strach z obcością zmieszany, przed gwałtownym, w gniewie i ironji rodzicem.

— Nic nie szkodzi, niech wszyscy zamiatają ulice, ot co to znaczy

— to znaczy, że teraz będzie inaczej. Bogaci będą zamiatali ulice, a ci, którzy to czynili dotychczas, będą spokojnie zamieszkiwali domy bogaczy.

Mandelbaumowi, nie było nic droższego, nad jego wygodnie urządzony dom. Dla tego swojego domu pracował. Tu mieściło się centrum jego zainteresowań i cel jego tęsknot. Z chaty, o glinianej podłodze, wyjrzał przed pięćdziesięciu laty, na świat

i pierwsze co zobaczył, zamorusany i głodny — matka kawałkiem chleba i szóstą częścią śledzia uraczywszy, usiłowała zasugerować, że jest syty — był dom sąsiada, lekarza. Biały murowany parterowy dom w ogrodzie. Przez otwarte okna, dostrzegł meble, jakże inne od tej jedynej, szerokiej, czarnej szafy, pełnej jaj, tałesów, rzemieni i ksiąg modlitewnych... jak bardzo innych, od żółtej szafeczki, w której mieścił się najpodlejszego gatunku tytoń i papierosy, przeznaczone dla okolicznych chłopów, przywożących na sprzedaż konopne kłaki, jaja i drób.

Głodny Szlomko, urzeczony pięknością domu lekarza, nie przestał marzyć o posiadaniu takiego samego, aż jako Salomon Mandelbaum wybudował jeszcze piękniejszy od tamtego, piętrowy dom. Budowę ukończył w roku wybuchu wojny i o mało nie przypłacił tej budowy, utratą całego majątku. W tym roku stracił pieniądze na handlu zbożem i na dzierżawie folwarku u hrabiego Pochwalskiego, a na dodatek zapożyczył się na budowę upragnionego domu. Wojna jednak uratowała go przed zagładą. Dorobił się majątku na handlu z Rosją, spłacił długi i uratował swój dom. W ciągu długich lat pracy bez wypoczynku, wśród ryzyka, bezustannego zmagania się z uporem ludzi i materji, zdobył swój dom. Umieścił w nim swoją rodzinę. Izolował ją zupełnie od swoich interesów, pozwolił żonie i dzieciom korzystać z miernego dobrobytu — był skąpy i obawiał się utraty majątku — zamknął ich, w wygodzie, o jakiej w swojem dzieciństwie, nie śmiał zamarzyć, a sam pozostał przed drzwiami, swojego wymarzonego domu. Bronił go. Zdawało mu się, że

cały świat się sprzysiągł przeciw niemu, aby mu odebrać jego dom. Już im się prawie udało, w roku 1914 go zniszczyć, ale się obronił. — Leniuchy parszywe, żarłoki, „dziwkarze"! — Nie miał dla bliźnich innych określeń, sam będąc zaprzeczeniem tych właściwości.

Na każdym odcinku swojego życia widział wrogich i zawistnych ludzi. Bał się ich i zawsze opancerzony, chłodem, surowością i skąpstwem, pozostawał w obronnej pozycji. Wszystko cokolwiek czynił, zmierzało do ugruntowania swojego stanu posiadania. Wszystkie interesy, tysiączne sprawy, to nic innego, tylko obrona przed atakiem zawistnych ludzi, niezdolnych do pracy tylko do zawiści. Mandelbaum łączył z pracą, pewność korzystnych efektów...

— Kto pracuje, ten ma. — Nie dostrzegał przykładów, zadających kłam temu komunałowi, a były liczne i narzucające się w oczy. Jeszcze nie zdążył się nacieszyć, spokojnem korzystaniem z posiadanego domu — reszta majątku to tylko wał obronny — jeszcze nie wszedł do swojego pokoju umeblowanego tak samo jak pokój sąsiada lekarza z czasów dzieciństwa. Widywał go tylko z daleka, przelotnie. Wygodny, skórzany fotel, mahoniowe biurko i bibljoteczna szafa, pełna książek — kupione na licytacji — czekały swojego użytkowca. Nie miał, jednak dotychczas czasu, zagłębić się w skórzanym fotelu, nie miał jeszcze pewności, że ugruntował potrzebne podstawy posiadania, a ten parszywy, jednooki, kulawy pies, grozi mu, że miejscowa nędzota zabierze mu jego dom. Dom wymarzony i z trudem zdobyty.

Stali przed furtą zatopieni w rozmowie, Salomon Mandelbaum i Hersz Torten i nie widzieli jak w pewnej chwili — najsprzeczniejsze relacje o tym momencie krążyły przez długie lata — powstała panika... Bolszewicy! Bolszewicy! Strach leciał od tych słów i podrzucał ludźmi, niby piłkami. W ostatniej chwili poczęli uciekać niektórzy mieszkańcy Sokołowa, którzy postanowili zostać, ale panika ogarnęła ich i wygnała z domów, obejść i gumien.

Gęsty pył, unoszący się nad miastem, przesłania wszystko, co gna przed siebie, w milczeniu, poważne, pewne bezpieczeństwa w ruchu. Słońce, niepoważnie ośmiesza, tę zbiorową wolę wydostania się z kręgu wydarzeń, na nową płaszczyznę spokoju, bezruchu, bezpieczeństwa. Promienie żartobliwie nastrojone suszą nocne błoto i wiatrowi podają gęste warstwy pyłu. Ostatnie podmiejskie domki, krzywo wrośnięte w ziemię, zdawały się popędzać ludzi i zwierzęta. Nowe tłumy ludzi, niesione strachem, pędzą naoślep przez miasto. Hersz jeszcze patrzy na wszystko, co się dzieje, jeszcze konstatuje to i owo, jakkolwiek trudno rozróżnić ludzi od rzeczy. Poruszają się nieprzerwanym ciągiem, płyną w wąskiem korycie gościńca. Na chwilę mignie znajoma twarz osobnika z zbaraskiego powiatu, z Tarnopola ze Skałatu z miast i wsi, które kiedyś odwiedzał, jako karciarz czy jako kupiec. Ale nie obchodzą go więcej dawni, znajomi ludzie, ani czasy i okoliczności wiążące wspomnienia dawnych lat. Nawet rozmowa z zdenerwowanym Salomonem Mandelbaumem nie miała dla niego tego uroku, jaki wywierały rozmowy nie tylko z Mikołajem Markowem. Sło-

wa spływają teraz łatwo, a kontrola rozumu odbywa się automatycznie, ale niema niedawnego jeszcze poczucia wagi słowa i odpowiedzialności za słowa wypowiadane w dyskusji. Jest natomiast znużenie i tęsknota za wniknięciem we wszystko, co go otacza i rozpuszczenie się w chaosie. Tylko dlatego poszedł dalej, nie przyjmując zaproszenia Mandelbauma, by u niego pozostał na nocleg. Nie zachęci go nadzieja wygodnego snu i nasycenie głodu, pójdzie z nimi, którzy są w ruchu, nie ze strachu przed bolszewikami, ale z potrzeby rozproszkowania się w olbrzymiem uosobieniu ruchu.

Bogaty Mandelbaum, nie mógł pojąć, jak taki zawszawiony nędzarz mógł wzgardzić ofiarowaną gościną. Nie był przygotowany na okoliczność, w której on Salomon Mandelbaum, będzie stał przed swoim domem, niezauważony przez nikogo i nadomiar wzgardzony przez najpodlejszego żebraka. Przez kości przeleciał mróz zniechęcenia i strachu przed nieuchronną zmianą położenia. Kto wie, czy będzie mógł kogoś ugościć. Dotychczas nie miał po temu ani czasu, ani ochoty — odwiedzać się bez żadnego interesu mogą tylko ludzie leniwi. — Mandelbaum dziwi się, bardzo ludziom uciekającym przed bolszewikami. Jeszcze na odchodne powiedział Tortenowi, że — ucieka hołota, bez próby stawiania oporu, jakby nic nie miała do stracenia, jakby nie mieli tu swoich domów. — Torten mu na to nie odpowiedział, właściwie sam nie wiedział, dlaczego ucieka. Życie nie przedstawiało dlań żadnej wartości, a majątku nie miał. Powoli posuwał się wśród tłumów pieszych i jezdnych, wyprzedzany coraz bar-

dziej, przez tych, z którymi przez chwilę razem podążał... Szedł prędko, opierając się o szczudła. Za miastem zaznaczał się coraz to mniejszy natłok. Przerzedzało się coraz bardziej widocznie, aż w jakiejś chwili, znalazł się Hersz Torten samotny na końcu uciekającego tłumu. Poza nim wytworzyła się wolna przestrzeń, przejrzysta, po opadnięciu pyłu i tajemnicza. Torten jeszcze jest cząstką tłumu, jeszcze identyfikuje się z całością, z całych sił podąża naprzód aż wreszcie, zmęczony siada w dolince na kupie kamieni, aby na chwilę wytchnąć i astmatyczną duszność przeczekać. Zsuwa się lekko z wierzchołka trójboku, kamiennego nasypu, aby się wygodnie oprzeć o jeden bok, nogę opuścił w kierunku rowu, szczudła odstawił sterczące i rozparł się wygodnie. Ciężko oddychał, przymknąwszy oko. Uspokajał się, oddech stawał się lżejszy i myśl stawała się bardziej samodzielna. Słońce zachodziło zmęczone, żółtemi promieniami, niby zębami wyszczerzonemi w wykrzywionym uśmiechu, wkopuje się gdzieś daleko w ziemię. Chmura skądsiś dobyta, ciężka ołowiem, niesie z sobą chłód nagły i przejmujący.

Hersz Torten spostrzegł wreszcie, że jest sam. Jedynem okiem skonstatował, że oderwał się od niego, wężowy ogon uciekającego tłumu. Za nim i przed nim bielił się gościniec niekończącą się kamienną długością. Nagle przyszła świadomość swojego osamotnienia, w tej dolince, przy rowie, skąd nie mógł dojrzeć nikogo i nic, prócz chmurzącego się nieba. Nierozmyślne poruszenie Hersza, albo może wiatr, spóźniony przechodzeń, strącił oba szczudła w rów.

Została bezsilność i przylgnięcie do kamieni i wrośnięcie w wytłoczoną nad rowem ścieżką. Przyszło wreszcie opamiętanie i równoczesne oderwanie się od ruchu. Zdawało mu się w tej chwili, że się rozsypuje bezszelestnie, jak puch gęsi z podartej pierzyny, a chwilami czuł wyraźnie, że cząstki jego jestestwa odrywają się i odpływają falami w różne kierunki. Prawie słyszał szum fal, jak wtedy nad rzeką w Zbarażu w dniu pogromu. Znikło wreszcie zmęczenie, ale nie ujawniła się już ochota do zmiany miejsca, ani nawet myśl o możliwości zmiany miejsca... Znikła na zawsze potrzeba ruchu. Tylko umysł jego reaguje na wołanie przeszłości. Z oddali dochodziły odgłosy, życia: z niewidocznych — stąd — osiedli ludzkich, skrzydlatego porywu przygodnego ptactwa i szeptu owadziego społeczeństwa. W jakimś zakątku mózgu, przyczaiło się wspomnienie wiosennego wieczoru, w dniu święta połączenia Ukrainy Zachodniej i Nadnieprzańskiej, kiedy, oczekiwał na moście powrotu fur z Proskurowa, i słyszał takie same oderwane stukoty i głosu ludzkie, niesione przez fale powietrza. Nie myśli o pogromie i swojem spotkaniu z Kozakiem koło domu Czarnej Chany, nawinął się w pamięci, niewiadomo dlaczego, aptekarz z Zbaraża.

— Śmieszna figura, wszędzie się wciska, gdzie go nie znoszą, ale ma dobre serce... pomaga biednym... Co się z nim dzieje? Synek aptekarza, mały chłopczyk, czekał na ukłon... paniczyk... Równocześnie, jego własne dzieci dopomniały się wspomnienia. Natarczywa i pełna wyrzutów myśl o nich sprowokowała go do usprawiedliwienia się. — Nic się

nie stało, nie warto się tem przejmować. Dzieci jego nigdy nie kochały, tylko matkę, taki jego i ich los, przed losem nie można uciec, a oni wszyscy uciekają przed swojem przeznaczeniem, warjaci. — Jakby dla ilustracji, stwarza się wizja: Jeszcze raz przelecieli jego znajomi, na furach, konno, pieszo, wśród tumanów kurzu. —Chaim Epstein, jest pewnie bolszewickim komisarzem w Zbarażu... — Zapomniał o szaleństwie Epsteina, a myśl ciągle wraca do Zbaraża.

— Niewielu musiało uciekać ze Zbaraża, tak jak on, Hersz Torten. Właściwie dlaczego uciekał, kto go zmusił do ucieczki? —

Nie umiał znaleźć odpowiedzi, pozostała świadomość konieczności opuszczenia swoich stron, bez możności naprowadzenia okoliczności towarzyszących ucieczce.

— Mikołaj Antonowicz? Czyżby on mnie prześladował? Uciekałem przed Mikołajem Antonowiczem? — To nie prawda! Mikołaj Antonowicz był przyjacielem i nim pozostał na zawsze... Mówili lekkomyślny Hersz! Łatwe słowo, natrafią przypadkowo na jakieś określenie i mają spokój. Wiedzą, że nie schował dobrze swoich pieniędzy, że zgubił — o pogromie nie pamięta — a nie wiedzą o tem, że każdy człowiek ma do spełnienia jakąś misję. Przecież to nie sztuka żyć, umrzeć i zgnić, ot tak sobie bez celu. Tak nie może być... Każdy ma swoją misję... lekkomyślni także spełniają swoją misję... —

Nie wiedział jakie cele, ma jego własna misja, ale nie przestawał myśleć o swojem przeznaczeniu. — Muszą być ludzie pracowici i skąpi, jak Salomon

Mandelbaum, i tacy lekkomyślni, którzy o wszystko pytają i wszystko tracą i tacy jak Mikołaj Antonowicz... —

Wraz zapadającym mrokiem chłódło powietrze, coraz bardziej czyste i bardziej przeźroczyste. Hersz Torten nie odczuwał więcej chłodu, ale zziębniętemi palcami z trudnością szperał po zakamarkach łachmana, szukał gorączkowo, równocześnie z pracującym gorączkowo mózgiem, aż wydobył plik potłuszczonych i poplamionych papierów. Z dziecinną niezdarnością trzymał fotografję swojego przyjaciela Mikołaja Antonowicza... Jedno oko Hersza Tortena wesoło patrzyło na swoją podobiznę w towarzystwie Markowa w mundurze wachmistrza ułanów, nordlandzkiego pułku. Siebie nie szukał, ani nie poznał. Szukał swojego przyjaciela, bo za nim tęsknił, a w swoich myślach miał, kategorje zdobyte w obcowaniu i rozmowach z Markowem. I jego znalazł. . Z fotografji patrzył Mikołaj Antonowicz, Hersz Torten nie miał potrzeby kontrolować rzeczywistości. Na siwym koniu jechał, a raczej zdawało się, płynął ku Herszowi jego przyjaciel Mikołaj Antonowicz Markow, powoli i pewnie jak przeznaczenie.

LIII.

Warkotem maszynowych karabinów, oznajmili swoje przybycie. W szalonym galopie wpadli do miasta, sami w strachu dla dodania sobie odwagi, strzelili parę salw naoślep, nie wyrządzając nikomu

szkody, pokręcili się na swoich ruchliwych, małych konikach, pognali dalej, aby znów powrócić, rozłożyć się obozem na rynku. Oddziałek Markowa miał za zadanie, szerzenie paniki w okolicy i posuwanie się wzdłuż gościńca ku Stryjowi. W ten sposób został zajęty Sokołów.

Po krótkim odpoczynku, koni i ludzi, przesiadł się Markow z bryczuszki na konia, i poprowadził oddziałek w dalszą drogę. W ciągu krótkiego pobytu zdołali mieszkańcy Sokołowa zróżniczkować się na przyjaciół bolszewików, ich przeciwników i obojętnych. Nie zwraca na to uwagi ani Markow, ani nikt z jego towarzyszy, bo nie czują się bezpiecznie w tych stronach, ale o nastrojach ludności, zaraportował, władzom polskim, emerytowany żandarm austrjacki Józef Krochla. On pierwszy ośmielił się wyjść z domu, aby przyjrzeć się bolszewikom. Później pojawili się, inni mieszkańcy Sokołowa. Krochla zapamiętał dobrze, kto przyniósł owies dla bolszewickich koni, kto ich witał przemową, chlebem i solą, zebrał dużo materjału dla przyszyłych politycznych procesów. Mandelbaum, bez krawata w podartem ubraniu, przypatrywał się z bliska grupce kozaków i nie mógł się powstrzymać od uwagi — i przed tymi obszarpańcami, ucieka polska armja. — Musiał potem udowodnić przed sądem, że wypowiadał te uwagi, pełen troski i patrjotyzmu. Uwierzono mu, bo w razie zmiany ustroju miał wiele do stracenia. Mikołaj Markow nie zajmuje się politycznemi sprawami, ani go nie obchodzą nastroje cywilnej ludności. Nie przejmuje się powitaniem przedstawicieli na prędce sklejonego komitetu miejscowych

komunistów. Nakazał zebranie się rady gminnej celem ustosunkowania się do nowego ustroju — sami powinniście wiedzieć, kto jest godny urzędu naczelnika rewkonu. Burżujów przepędzić, a proletarjuszy osadzić w urzędzie. Tu niema żadnej sztuki, a resztę nauczą was komisarze. Przyjdą tu do was wkrótce. —

Na tem skończyła się jeo rola administratora cywilnego. Pozatem zadania jego, są czysto wojskowe i on je spełnia z całem poczuciem odpowiedzialności. Oddział ruszył przed siebie, zostawiając za sobą miasteczko i mieszkańców, poruszonych dziwnem zachowaniem się zwycięsców i zdezorjentowanych.

LIV.

Po kilkudniowym rajdzie, połączył się Mikołaj Markow wraz z kilkoma towarzyszami, z resztą konnej armji bolszewickiej, operującej w dolinie Dniestru. Pod Stryjem oddziałek jego, napotkał na pierwszy, opór ze strony półkompanji podhalańskich strzelców. Straciwszy pięciu zabitych i siedniu rannych, zawrócił i uciekł z resztą niedobitków.

Wrócił zmieniony. Dostrzegli tę zmianę przełożeni i towarzysze i napróżno starali się wybadać przyczynę dziwnego usposobienia — zwykle wesołego i rozmownego — Antonowa. On jednak milczał, albo zbywał nalegających słowami z mgły.

Trudno było pogodzić się z domysłem porucznika Mudrego, że utrata kilkunastu żołnierzy w ostat-

niej potyczce, tak ciężko dotknęła niefortunnego dowódcę oddziału. Pułkownik Prokofjew z miejsca odpalił „głupie pomysły galicyjskiego doktorka".

— Mikołaj Antonowicz, wykonał swoje zadanie, bez zrzutu. Oddziałek był z góry skazany na zagładę, dobrze, że wrócił z ośmioma żołnierzami. Należy mu powinszować, a nie rozgadywać o niefortunnej wyprawie. —

Nigdy nie dowiedziano się, o czem dumał Mikołaj Antonowicz. W marszu czy na postojach, milczący, wychudzony i nagle stary. Jeszcze włosy nie posiwiały, ale bardziej widoczne zmarszczki i przygarbienie, uczyniły go zupełnie innym od znanego w pułku wachmistrza Antonowa.

LV.

Wrótce potem zginął. Trafiła go kula, w chwili kiedy najmniej się tego spodziewał. Na postoju, na folwarku we wsi Dobiesławy, zginął Mikołaj Antonowicz Markow.

Iwan Sołonynka, zasłużony bojownik o lepszą proletarjacką przyszłość, oglądał zrabowane cacko, malutki rewolwer o srebrnej rękojeści. Rewolwer, był własnością hrabiny Idalji Kokiełło Polewskiej, właścicielki majątku Dobiesławy, zajętego przez szwadron bolszewickiej konnicy.

Hrabina uciekła przed „czerwoną szarańczą", w pośpiechu zostawiając, drogocenne obrazy, zabrawszy natomiast trzydzieści par jedwabnej bielizny i osiem par obuwia. Rewolwer był przygotowany

dla obrony życia i honoru, w ewentualnych, ciężkich terminach podróży... Zapomniała go na szafce nocnej, leżał obok puderniczki i kremu „Mousson" wcale nie obrażony sąsiedztwem. Srebrna rękojeść lśniła się w półmroku sypialni zwracając na siebie uwagę, Iwana Sołonynki, czerwonoarmiejca i specjalisty w rewidowaniu „burżujskich skarbców". Właściwie zainteresował go krem, rewolwer cacko schował automatyczne do kieszeni, a kremem zajął się szczegółowo. Rozsmarował go po dziobatej twarzy, nie oszczędzając nawet włosów.

Zadowolony z kosmetycznego zabiegu, pachnący,, poszedł ku stajni, by zająć się swoim koniem. Następnie usiadł na stołeczku do dojenia krów, zapalił papierosa i przypomniawszy sobie srebrny rewolwerek, począł majstrować przy nieznanej konstrukcji broni, znalezionej na nocnej szafce, właścicielki folwarku. W tej chwili stanął nad nim, siedzącym na stołku, Mikołaj Markow. Sołonynka, nie wiedząc o tem, nieostrożnie pociągnął za cyngiel, bezwiednie otworzywszy bezpiecznik. Kula tkwiąca w lufie cacka-rewolweru, wysunęła się i bezgłośnie wdarła się do przepony brzusznej Markowa. Iwan Sołonynka, spowodował męczarnie i śmierć Markowa.

Umarł Markow i zabrał ze sobą tajemnicę swego wieczoru, kiedyto po zajęciu powiatowego miasta Sokołowa, pognał na koniu, uniesiony niezwykłą u pięćdziesięcioletniego żołnierza brawurą, aby po dwudziestu kilku godzinach, powrócić złamanym i smutnym.

Nikt się nie dowiedział, co było przyczyną tej

zmiany. Już najmniej można było, tę przyczynę wiązać ze znalezionym w rowie, o kilka kilometrów od Sokołowa trupem zarżniętego Żyda w czarnych okularach, bez jednej nogi.

Przejeżdżali konni żołnierze czerwonej armji, obok trupa, obojętni, bo co ich obchodzi skulone stworzenie, za życia obce i śmieszne, a cóż dopiero po śmierci.

Ktoby się zajmował sprawą, zamordowania nędznego Żyda? Nie mają na to czasu, ani politruk, ani komendat szwadronu Omeljan Mudryj. Myślał o niej Tylko Mikołaj Markow i często ukradkiem, brał do rąk zmiętą, starą fotografję.

Za słupem granicznym w Zbaraskiej Budzie, stoi Mikołaj Antonowicz Markow, obok Hersz Torten. Sfotografował ich dawno austrjacki strażnik graniczny. Markow ofiarował odbitkę Tortenowi, któregoś dnia po jego powrocie z jednej z wielu karcianych wędrówek. Dawno! Męczyło go wspomnienie strasznego wieczoru, aż do ostatniego tchu, bolało go bardziej od śmiertelnej rany, zadanej ręką Sołonynki. Zamieszkał w nim prokurator, który ciągle oskarżał. Rozszerzał się akt oskarżenia do niemożliwych rozmiarów. Siebie samego okłamywał — myślałem, że to przebrany burżuj. —

— Chciałeś bracie rabować — chrapliwym głosem odpowiadał prokurator i Hersz Torten w jednej osobie. Nocne zjawy, ciężkie i bezlitosne, powędrowały w beznadziejne zmagania się Markowa, z śmiercią. Zmieniła się osoba prokuratora, zastąpił go politruk.

W malignie, zdradzał się Markow, z swoją

śmiertelną troską i nienawiścią do politruka. Krzyczał — żydowska swołocz — i klął prześladowcę.

Oddziałek jego znajduje się w odwrocie, a Mikołaj Markow kona w szpitalu polskiego Czerwonego Krzyża. Gazety polskie, podają do wiadomości, swoim czytelnikom, że żołnierz sowiecki nienawidzi władzy sowieckiej, a nawet w gorączce wyklina politruka, jako widomego przedstawiciela komunizmu, w armji. Towarzysze musieli go zostawić w miejskiej szkole jakiegoś miasteczka, uciekając w popłochu przed poznańskimi ułanami... Umierającym zajęli się polscy sanitarjusze.

Ostatniej nocy przed skonaniem, Markow krzyczał: „Dobro wroga należy do państwa... a nie do poszczególnego człowieka... prawda wasza towarzyszu politruk... ja wszystko wiem, dlatego powtarzam nie rabować, abyście nie musieli ponieść haniebnej śmierci... Rewolucja nasza wymaga ludzi czystych rąk i czystego serca..."

Zdawało się, że Markow nie brał sobie do serca nudnych i stereotypowych przemów politruka, a jednak w gorączce dosłownie recytował przestrogi komisarza...

Powoli się uspokajał umierający Mikołaj Antonowicz Markow. Siostra miłosierdzia, litowała się nad starym żołnierzem i spragnionemu podawała wodę z lodem. Bezustannie jęczał i niezrozumiale majaczył półgłosem. Były godziny, ostatniej nocy, kiedy mu przybywały siły, wtedy zrywał się. Pragnął dosiąść konia i zajmować wsie i miasta. Wreszcie osłabł zupełnie, już się nie ruszał. Szczerniałe oblicze i zapadłe policzki, jaskrawo podkreślały,

śmiesznie sterczący wąs. Ostatnim chwilom życia, towarzyszy myśl o Herszu Tortenie. Głęboka potrzeba umierającego, skonfrontowania siebie z swoją ofiarą, w godzinie śmierci, przyzywa obraz owego wieczoru; Uniesiony żądzą przestrzeni, jedzie na czele swojego oddziału... śpieszno mu... nahajem tnie konia... oddala się od towarzyszących mu kozaków. Oni nie śpieszą się... a konie mają pomęczone, kilku rozwaliło się na „linijce" i śpią. Tylko Markow nie może spać... pragnie zdobywać wsie i miasta... Spocony, siwy, mały konik, nie męczy się, raczej orzeźwia go wieczorny chłód. Markow opiera się rękoma o biodra i oczyma zajmuje przestrzenie wokół niego leżące, milczące, poddane, wraz z wszystkiem, co na nich było i żyło. Nigdy dotąd nie doznawał przyjemnego uczucia zwycięzcy. Wkraczało się nieraz do zdobytych miejscowości, ale w gromadzie, wtedy się jest drobną cząstką... zwycięzcy, a zresztą laury zbiera dowódca. A teraz on sam jedzie na koniu i sam bierze w posiadanie kraj... cały kraj... za nim przyjadą towarzysze, a on im rzuci pod nogi zdobyte przestrzenie. Nagle wzrok jego zatrzymuje jakieś żyjące stworzenie... Słabnące oczy starego żołnierza starają się rozeznać w zapadającym zmierzchu, przywartą do kupy kamieni postać. Wytężony wzrok przychwyca czarne okulary. Nieruchomo jak mysz przyczajony, tuli się do kamieni Hersz Torten, ale zwycięzca dostrzega czarne okulary. Wiążą się one z uczuciem niesmaku i jeszcze z czasu odwiedzin u dziobatej Żydówki w Zbarażu i równocześnie z nienacka wypełza nadzieja zdobycia pieniędzy.

W tej chwili, kiedy Hersz upaja się wizją swojego przyjaciela z dawnych lat.., — słychać tętent podkutych kopyt końskich... Ktoś jedzie... —

Nie skończył frazesu... zwaliła go kula rewolwerowa... Skulony w kłębek, przechyla się powoli w stronę rowu.

Markow, opanowany antypatją do człowieka w czarnych okularach, a przedewszystkiem wiedziony nadzieją, zagarnięcia olbrzymich kwot u przebranego burżuja, zeskakuje z konia i podbiega do rannego... W zmroku sierpniowego wieczoru, dojrzało go jedno, jedyne oko... i poznało...

Ranny w płuca Hersz, miał dość dużo czasu, aby odezwać się do Mikołaja i przypomnieć okoliczności, któreby napewno uratowały jego życie, ale mu na tem nie zależy... Nie wydobył głosu, zaciął się, broniąc się przed resztkami samozachowawczego instynktu.

Nie odezwał się nawet wtedy, gdy Mikołaj Antonowicz Markow, jego wytęskniony przyjaciel sięgnął dłonią po żelazo. Jedno oko widziało ten ruch, a omdlałe z przestrachu i z upływu krwi ciało, już nie czuło, jak Mikołaj Markow, dorzynał swojego przyjaciela. Z szpargałów rozrzuconych niecierpliwą ręką Markowa, wypadła fotografja.